ANALIZUJĄ ZIEMKIEWICZ I ZYCHOWICZ

Jak daleko powinna się posunąć Polska w obronie Ukrainy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 07/463 14–20 LUTEGO 2022

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Senator Jan Maria Jackowski o swoich relacjach z PiS

KRZYSZTOF MASŁOŃ ŻEGNA JAROSŁAWA MARKA RYMKIEWICZA

Lewacka Katalonia w obronie kobiet „skazanych za czary"

CZŁOWIEK, KTÓRY WYMYŚLIŁ „WIELKI RESET"

Klaus Schwab chce urządzić nam świat

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 54 000 egzemplarzy

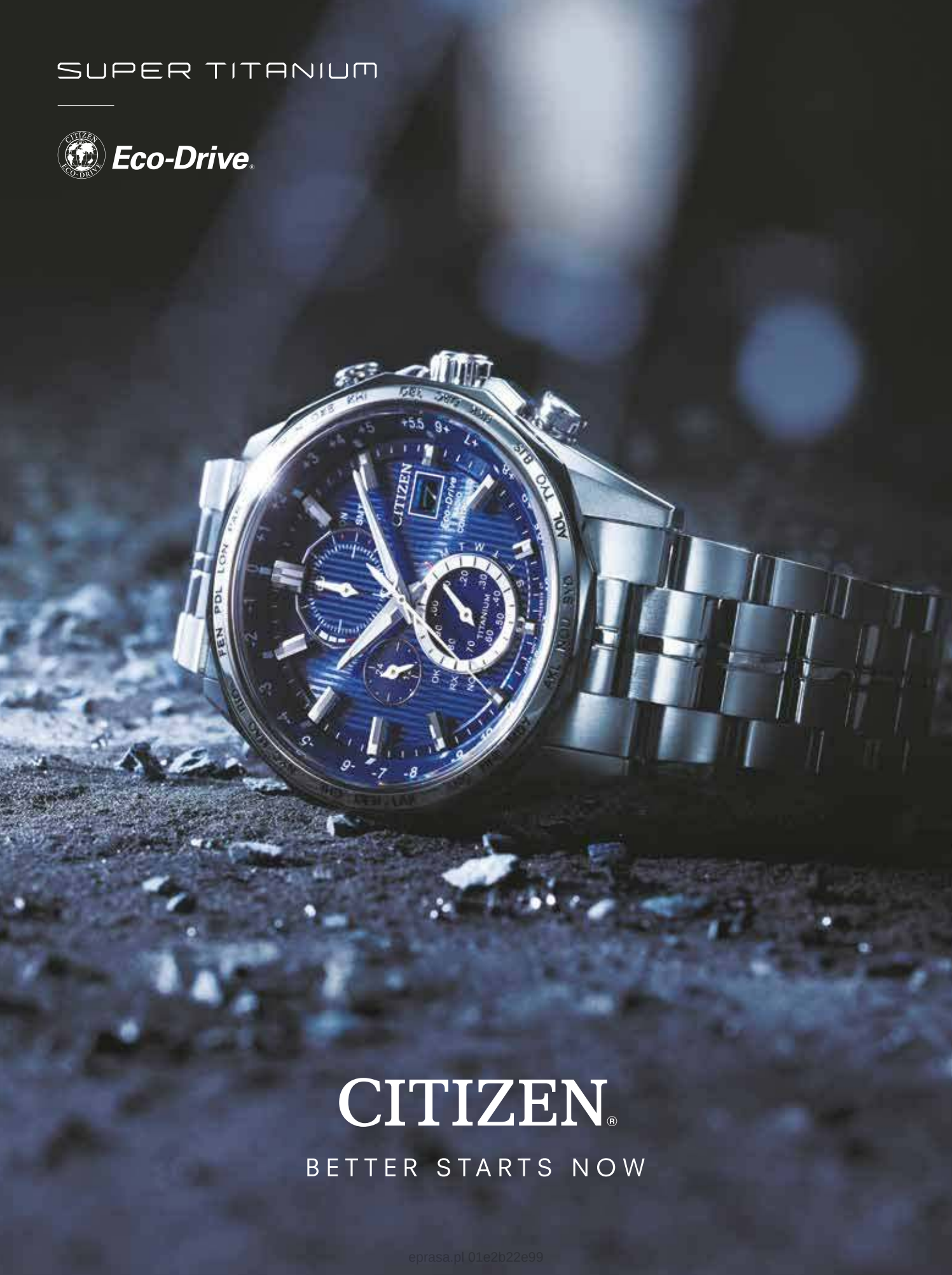

eprasa.pl 01e2b22e99

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Déjà vu

Najbardziej osobliwa nauka, jaka płynie z opowieści o kanadyjskim Konwoju Wolności – chodzi o dziesiątki tysięcy kierowców ciężarówek, którzy od tygodni blokują Ottawę, protestując przeciw drakońskiej i niedorzecznej polityce sanitarystycznej władz – polega na tym, że wybrani demokratycznie politycy i liberalne media mogą używać retoryki do złudzenia znanej z czasów PRL. Kiedy słuchałem wypowiedzi czy przedstawicieli kanadyjskiego rządu, nie mogłem się pozbyć wrażenia déjà vu. To samo wrażenie miałem, obserwując zachowanie wielkich mediów.

Jak przez mgłę przypomniałem sobie komunikaty komunistycznej propagandy z czasów strajków i protestów z lat 80. Komuniści mieli trzy sposoby radzenia sobie z oporem. Po pierwsze, nie zauważać, po drugie, kiedy protest społeczny był na tyle duży, że nie można było go pominąć, pomniejszać, po trzecie, a był to już stopień najwyższy złości, przygotowujący do rozwiązań siłowych – dezawuować, oczerniać i obrzucać błotem. A więc faza pierwsza to milczenie, druga – marginalizowanie, trzecia – demonizacja. To wtedy pojawiały się opowieści o elementach antysocjalistycznych, wrogich, aspołecznych, które wykorzystują ludzi w walce ze słuszną, oświeconą i socjalistyczną władzą.

Okazuje się, że w stosunku do antysanitarystycznych protestów tzw. liberalne media – „niezależne, wolne, demokratyczne", jak zwał, tak zwał – zachowują się dokładnie tak jak poddane partii media komunistyczne. Nie przesadzam, proszę przyjrzeć się samemu.

Faza pierwsza – przemilczenie. Mimo że w Kanadzie doszło do największego protestu społecznego w dziejach tego państwa – od dwóch tygodni kilkadziesiąt tysięcy ciężarówek, samochodów, traktorów blokuje stolicę państwa – początkowo o tym nie sposób było się z wielkich mediów dowiedzieć. To, co teoretycznie powinno być największą gratką, przechodziło bez echa. Dziesiątki tysięcy Kanadyjczyków okupujących w siarczystym mrozie parlament w Ottawie nie zasługiwały w ogóle na uwagę!

Faza druga – pomniejszenie. Kiedy już się okazało, że nie chodzi o protest chwilowy i jego skala znacznie wykracza poza to, co do tej pory widział świat, media zaczęły półgębkiem informować. Wtedy okazało się, że chodzi o skrajne grupy, nielicznych kierowców działających bez poparcia społecznego. Że jest to pozbawiona znaczenia mniejszość.

Faza trzecia – demonizacja. Kiedy już okazało się, że protest jest i jest znaczący, to trzeba jego przywódców poniżyć i skierować przeciw nim falę ludowej nienawiści. W tej wdzięcznej roli, w której dawniej występował komunistyczny gensek, wystąpił premier Justin Trudeau. „To historia o kraju, który przeszedł przez pandemię dzięki temu, że był zjednoczony, i garstka ludzi, którzy krzyczą i machają swastykami, nie definiuje tego, kim są Kanadyjczycy". „Kanadyjczycy są zszokowani i zdegustowani zachowaniem protestujących". „Nie poddamy się tym, którzy wymachują rasistowskimi flagami, nie ugniemy się przed wandalami, którzy znieważają pamięć naszych weteranów". Protestujący okazali się zatem faszystami, rasistami, wandalami – klasyczne wyzwiska z podręcznika komunistycznego agitatora.

W systemie komunistycznym faza trzecia czasem przygotowywała lud do użycia przemocy wobec protestujących. Słusznie. Skoro w stosunku do jedynie właściwej i naukowo niepodważalnej polityki partii komunistycznej nie wolno było protestować, a ten, kto się opierał, musiał być ignorantem, człowiekiem nieuświadomionym lub agentem obcych mocy (w czasach komunistycznych zwykle szpiegiem Zachodu), no to władza nie miała innego wyjścia, jak użyć siły. Niesfornych trzeba było przywołać do porządku, zdrajców surowo ukarać. Dokładnie tak zachowuje się policja kanadyjska, która jak na życzenie ogłosiła, że „pojawiają się doniesienia o przypadkach wandalizmu oraz o rasistowskich i homofobicznych atakach i widoczne są nazistowskie symbole".

W zależności od skali oporu władza czasem stosowała siłę, a czasem ustępowała. Nawet w tym drugim przypadku nie przyznawała się do słabości. Władza komunistyczna zmieniała zdanie, bo sama tak chciała, a nie dlatego, że ktoś ją zmusił. Zabawne więc, że kiedy premier prowincji Alberta ogłosił kilka dni temu zniesienie obowiązku paszportów covidowych, natychmiast potem dodał, że nie ma to nic wspólnego z „protestem kilku kierowców ciężarówek".

Nie wiem, jak ostatecznie zakończy się ten protest. Jednak, powtarzam, najważniejszy morał widoczny jest jak na dłoni. Lewicowo-liberalni politycy oraz wspierające ich mainstreamowe media zachowują się, jakby funkcjonowali w systemie komunistycznym. Jedyne, co mnie zastanawia, to pytanie, kto za to odpowiada. W przypadku komunistów sprawa była jasna: gazety i telewizje przekazywały to, co trzeba, bo tego żądał przywódca, partia komunistyczna. Dzisiaj nie jestem pewien, kto wydaje rozkazy i kto każe dziennikarzom pisać na temat szczepionek zawsze „po linii i na bazie". ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

TEMAT TYGODNIA

14 WOJCIECH GOLONKA
CZŁOWIEK, KTÓRY WYMYŚLIŁ „WIELKI RESET”
Jak Klaus Schwab chce urządzić nam świat

KRAJ

18 KAMILA BARANOWSKA
PRZEBUDZENIE PREZYDENTA
Andrzej Duda wkracza do gry

22 ŁUKASZ WARZECHA
OPCJE KACZYŃSKIEGO

26 ROZMOWA Z JANEM MARIĄ JACKOWSKIM
GORZKA SATYSFAKCJA

28 TOMASZ ROWIŃSKI
BRUKSELA CHCE ZŁAMAĆ POLSKĘ

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
OSZUST Z TINDERA

KULTURA

32 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ŚMIERĆ KRÓLA-DUCHA
Jarosław Marek Rymkiewicz 1935–2022

36 PIOTR GOCIEK
NADCHODZI MŚCICIEL

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 PIOTR ZYCHOWICZ
ANGLIA DALEKO, ROSJA BLISKO
Broniąc niepodległości Ukrainy, możemy utracić własną

46 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
BEZ PUTINA MOŻE BYĆ GORZEJ

HISTORIA

48 SEBASTIAN LIGARSKI
ARMIA KRAJOWA. NATCHNIENIE OPOZYCJI W PRL?
Osiemdziesiąta rocznica powstania AK

50 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ, MICHAŁ KOZŁOWSKI
GÓRALCZYK BROTHERS

ŚWIAT

56 MACIEJ PIECZYŃSKI
GDZIE ZATRZYMA SIĘ PUTIN?
Granice „rosyjskiego świata”

58 ROZMOWA Z MICHAJŁĄ GONCZAREM
GENERAŁ MRÓZ NIE SŁUŻY KREMLOWI

62 MAŁGORZATA WOŁCZYK
ZACZAROWANA BARCELONA

64 PIOTR WŁOCZYK
ROGAN NA CELOWNIKU WROGA

EKONOMIA

68 ANDRZEJ SOLECKI
CENA SANKCJI
Tranzyt białoruskich soli potasowych

72 ROZMOWA Z BENIAMINEM CZAPLĄ
CZAS TO PIENIĄDZ

FELIETONY

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (55), PRZYBYLSKI (66), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (76), KARWELIS, POSPIESZALSKI (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

POLSKA WOBEC KONFLIKTU
debata DO RZECZY
ROSJA - UKRAINA

eprasa.pl 01e2b22e99

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Hiszpański fan club Putina", Małgorzata Wołczyk, „DRz" 5/2022

Szanowna Pani Redaktor, w pełni zgadzam się z tekstem Pani felietonu z jednym wyjątkiem. Napisała Pani „... aby eksagent KGB mógł się nagle przedzierzgnąć w katechena...". Rozumiem, że „eksagent KGB" to Władimir Putin, a jeśli dobrze rozumiem, to muszę zaprotestować. Otóż, po pierwsze, Putin nie był agentem, tylko oficerem KGB i o takich ludziach nigdy nie można pisać „eks" czy „były". Bo prawda jest taka, że byłego oficera KGB można spotkać tylko na cmentarzu. Bo jeśli od 20 lat jest prezydentem Imperium Zła, to i tak najpierw jest kagiebistą.

I jeszcze jedna uwaga. Gdy zaczynałem pisać mój e-mail, o mało nie napisałem „Małgośka" zamiast „Pani Redaktor", ale już wyjaśniam, że nie jest to brak szacunku. Otóż gdy rozmawiam z moimi znajomymi, również czytelnikami „Do Rzeczy", to mówiąc o Pani felietonie, zawsze mówimy: „A Małgośka to napisała to i to...". Gdy pierwszy raz powiedziałem „jak napisała Pani Redaktor Małgorzata Wołczyk", mój rozmówca nie bardzo wiedział, o kogo chodzi. A teraz to mam już fan club Małgośki.

Z poważaniem i życzeniami dalszych ciekawych felietonów

Tadeusz Szostak

Od autora

Panie Tadeuszu, Małgośka spąsowiała na lewym policzku ze wstydu, na prawym z wdzięczności. Tak, ma Pan rację (!), powinnam napisać „oficer", ale użyłam z rozpędu kalki z hiszpańskiego, czyli spolszczyłam „ex agente". Jam niegodna fan clubu, i to nawet w przypadku, gdybym sama miała opłacać wszystkim składki członkowskie! Ale za dobre słowo serdeczne Bóg zapłać!

Małgorzata Wołczyk

POŻEGNANIE

Z żalem żegnamy

prof.

Jerzego Osiatyńskiego

znamienitego ekonomistę,
ministra finansów,
członka Rady Polityki Pieniężnej,
szlachetnego człowieka.

Rodzinie i bliskim wyrazy współczucia składa prof. Adam Glapiński, Prezes Narodowego Banku Polskiego, Zarząd NBP oraz członkowie RPP.

POŻEGNANIE

Zmarł wieloletni czytelnik naszego tygodnika, mój mądry i niestrudzony korespondent

ŚP. **prof. Paweł Wandelt**

Ze smutkiem – Joanna Bojańczyk

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Ramin Talaie/Corbis/Getty Images, Adobe Stock, oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 01e2b22e99

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nic nie jest oczywiste

Lądowanie w Polsce dodatkowych sił US Army i zapowiedź powstania koalicji wojskowej na linii Londyn-Warszawa-Kijów wprawiły Polaków w dobry nastrój.

W tej atmosferze obronnego wzmożenia polskie media niewiele uwagi poświęciły ostremu sporowi, który podzielił rząd i opozycję na Słowacji. Poszło o dwie sprawy. Najpierw Eduard Heger, premier centroprawicowego rządu w Bratysławie, poinformował, że Słowacja zgodzi się na stacjonowanie żołnierzy NATO na Słowacji, jeśli pojawi się taka propozycja, a jednocześnie będzie to zgodne z interesami kraju i sojuszu. Szybko się okazało, że szef koalicyjnego rządu „wybiegł przed orkiestrę". Nawet w łonie jego gabinetu spora część ministrów krytycznie odniosła się do tego pomysłu.

Dziewięć dni później w parlamencie Słowacji odbyła się debata przed głosowaniem nad ratyfikacją umowy wojskowej z USA. Umożliwić miała ona korzystanie przez Amerykanów z dwóch słowackich lotnisk. Umowa pozwalała na używanie baz na terenie lotnisk przez 10 lat i składowanie na nich amerykańskiej broni. W zamian Waszyngton ma przeprowadzać wspólne manewry z armią słowacką i zainwestować w modernizację tejże armii 100 mln dol.

Takie warunki w Polsce nie wywołałyby specjalnych kontrowersji, szczególnie w atmosferze zagrożenia ze strony Rosji, ale na Słowacji panuje zupełnie inny klimat. Dość powiedzieć, że w niedawnym sondażu, w którym poproszono Słowaków o wskazanie winnych ostatniego napięcia wojennego, aż 44,1 proc. respondentów wskazało na NATO jako winnego, a tylko 34,7 proc. – Rosję.

Przeciw umowie wystąpiła opozycja, na czele z lewicową partią SMER i jej liderem, byłym premierem Robertem Fico. Robert Fico – „twardy człowiek lewicy", polityk przypominający naszego Leszka Millera – określił umowę z Amerykanami jako pakt „zdradziecki, brudny i zły". Pakt z Amerykanami skrytykował także słowacki prokurator generalny Maroš Žilinka. Nie obyło się bez awantur, ale w końcu ustawę przegłosowano większością 79 głosów w 150-osobowym parlamencie. Ratyfikacja przeszła nikłą większością czterech głosów.

Jak się okazało, za Tatrami wciąż silne są sympatie rosyjskie sięgające XIX w., gdy na Rosję Słowacy spoglądali z nadzieją jako na wyzwolicieli od nachalnej madziaryzacji. W wyniku prorosyjskiej polityki premiera Vladimíra Mečiara Słowacja nie weszła do NATO w 1999 r. wraz z Polską, Czechami i Węgrami. Stało się to dopiero w 2004 r., razem z państwami bałtyckimi, Rumunią i Bułgarią. Ten ostatni kraj zasłynął niedawno deklaracją, że nie skorzysta z propozycji rozmieszczenia sił amerykańskich w swoim kraju, co odebrano jako wynik wpływów rosyjskich w Sofii.

Moskwa i Berlin od trzech dekad bazują na skłonności wielu państw środkowej Europy do taktyki dostosowywania się do polityki Niemiec bądź Rosji. A próby koordynowania polityki obronnej państw od Tallina do Sofii zderza się z taktyką „tisze jediesz, dalsze budiesz". Jeśli takie kraje jak Słowacja czy Bułgaria odnoszą się do Putina z tak wyraźnym nabożeństwem, to jak zachowałyby się, gdyby Rosja rozpętała wojnę w Europie na dużą skalę? ©℗

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

ŚWIĘCZKOWSKI NOWYM SĘDZIĄ TK

Bogdan Święczkowski, prokurator krajowy, I zastępca prokuratora generalnego, były wiceminister sprawiedliwości, były szef ABW, został wybrany przez Sejm na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Jego kandydaturę poparło 233 posłów, przeciw było 219. Sędzia TK jest wybierany na dziewięcioletnią kadencję. Według informacji „Rz" Święczkowski, który w TK zastąpi prof. Leona Kieresa, ma jeszcze w tym roku zostać przewodniczącym Trybunału Konstytucyjnego. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

Już za tydzień

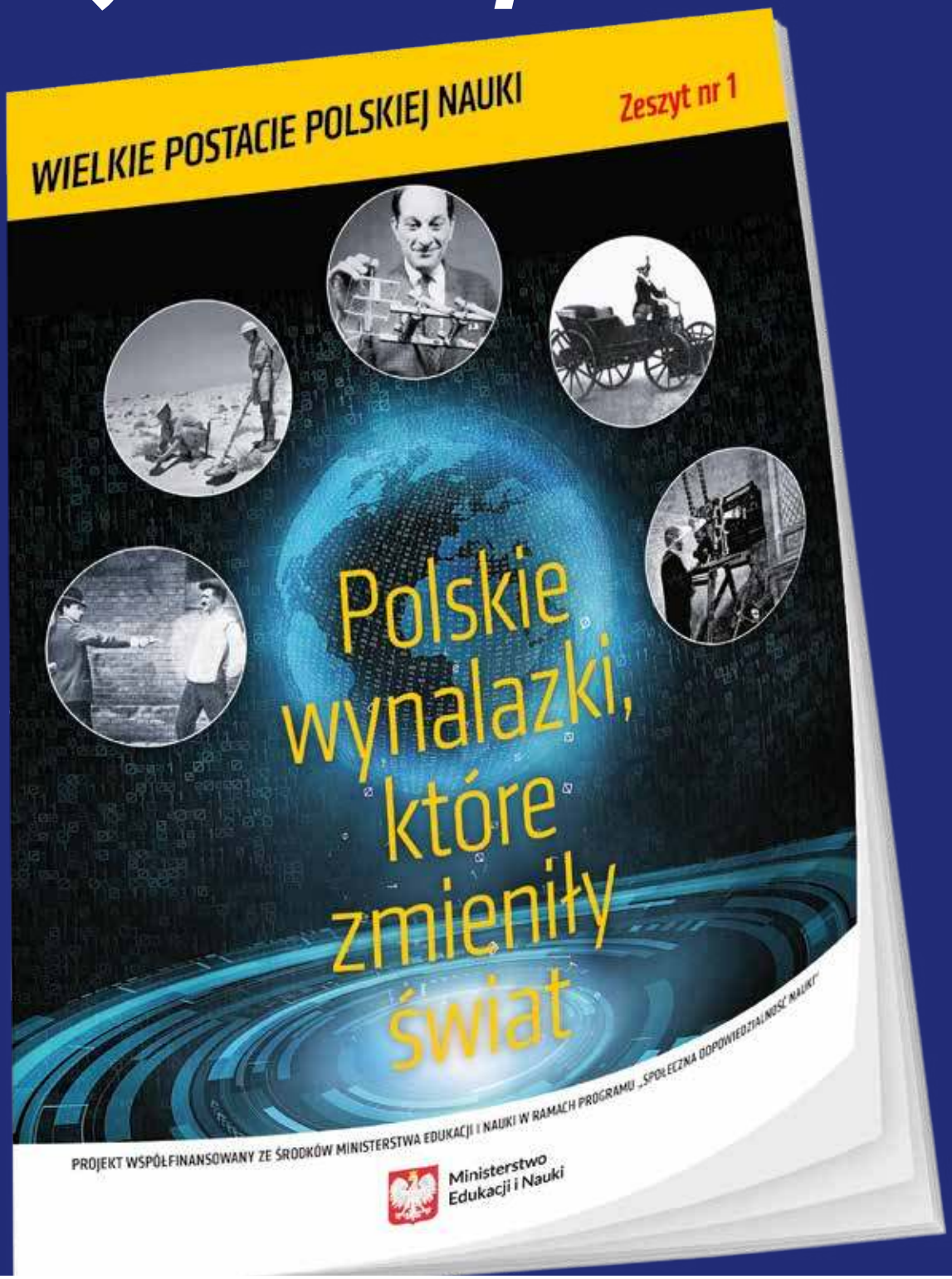

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo Edukacji i Nauki

eprasa.pl 01e2b22e99

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Dykta(t)

Niezapomniany „z zawodu dyrektor" z filmu Barei, grany przez śp. Jerzego Dobrowolskiego, tłumaczył żonie, że po objęciu kolejnego stanowiska najpierw zarządzić trzeba reorganizację. W istocie, takie reorganizacje były zmorą „prylu": co było połączone, nowy dyrektor dzielił, co było podzielone, łączył. A potem następny – na abarot. W ten sposób dyrektor pokazywał, że coś robi, i zyskiwał na czasie.

Współczesną kontynuacją tamtej tradycji są pewne dyżurne pomysły reform, po które sięga każda kolejna władza. Różnica jest tylko taka, że nomenklaturowy dyrektor symulował działanie przed partyjną centralą, która go nominowała, a współczesny polityk symuluje przed oczekującą rozwiązania palących problemów opinią publiczną. W ostatnich dekadach wypracowano wiele takich pomysłów. Na przykład „współpłacenie" za służbę zdrowia. Nie jestem w stanie policzyć, ile to już razy pojawiał się on, by po długich dyskusjach, obietnicach i innych popisach zdechnąć cicho jako niekonstytucyjny, nierealizowalny i w ogóle słaby, a potem znowu go kolejna ekipa – jak gdyby nigdy nic – zgłaszała.

Podobnym konceptem z zasady niewykonalnym, a mimo to wracającym jak bumerang, jest zabieranie samochodów pijanym kierowcom. Ilekroć wraca na tapetę temat bezkarności pijanych kierowców, tyle razy rząd, obojętne, prawicowy czy lewicowy, występuje z tą genialną myślą w przekonaniu, że odpowiedzią będą gromkie oklaski. Potem oczywiście nieodmiennie się okazuje, że to niekonstytucyjne, niewykonalne (samochód bywa służbowy, pożyczony albo jest współwłasnością małżeńską), niesprawiedliwe (pijak w mercedesie straci więcej niż pijak w „maluchu") i w ogóle głupie. Ale politycy mają pretekst, by twierdzić, że „przynajmniej próbowali".

Pijani kierowcy nie są problemem. Problemem jest państwo z dykty, które nie potrafi pijaka ukarać, nawet jeśli prowadzi bez prawa jazdy odebranego mu już za pijaństwo – i to nie tylko wtedy, gdy jest czyimś wnuczkiem lub prezenterem TVN. Jeśli obecny rząd też nic z tym nie umie zrobić, to już niech przynajmniej wymyśli nową pozorację; ta się nazbyt zużyła. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Demokracja Francuska

W Dzień Zaduszny 1976 r., ok. piątej rano, rodzinę Jeana-Marie i Pierrette Le Penów wyrwał ze snu straszliwy huk. W pierwszej chwili myśleli, że to trzęsienie ziemi, ale to 5 kg dynamitu wybuchło pod drzwiami ich mieszkania. Pokoik synka państwa Pronów, mieszkających naprzeciwko, dosłownie rozerwało na pół. Małego Guillaume'a zabrano karetką do szpitala, podobnie jak pięciu innych rannych. Wybuch zniszczył w sumie 12 mieszkań. Mała Marine, najmłodsza córka Le Penów, miała wtedy osiem lat. Tej nocy, jak napisała po latach, dowiedziała się, że jej tata zajmuje się polityką. Szokująca była obojętność klasy politycznej. Rodzina Le Penów nie dostała żadnych wyrazów współczucia. Wyjątkiem był młody Bertrand de Maigret, wiceprzewodniczący rady miejskiej Paryża, zięć księcia Michela Poniatowskiego.

Mała Marine dziś jest kandydatką na urząd prezydenta Republiki. Kampania nie idzie jej łatwo. Wyszła na drugie miejsce w sondażach, ale z uzyskaniem kredytu wyborczego ma problem, bo banki nie chcą mieć problemów z rządem. Tak działa osławiona Demokracja Francuska! Poza tym konkurencja Érica Zemmoura sprawiła, że naprawdę nie wiadomo, kto będzie kontrkandydatem Emmanuela Macrona w drugiej turze.

Cóż więc dziwnego, że na wielkim wiecu w Reims Marine postanowiła opowiedzieć o drodze, którą musiała przejść do miejsca, w którym stoi. Przecież w końcu wybieramy żywych ludzi, z ich marzeniami, uczuciami, bólem…

Lewicowa „Libération" (francuski odpowiednik „GW") podsumowała przemówienie w Reims stwierdzeniem, że Marine zagrała ofiarę. Jakie dno trzeba przebić, by w ten sposób mówić o traumie ośmioletniej dziewczynki tylko dlatego, że pół wieku później ta dziewczynka stała się przywódcą politycznym! I piszą to ludzie, którzy przy byle okazji sloganem „wolnych mediów" legitymują wszystko, nawet nienawiść. Niech się nią udławią, tylko to można im powiedzieć. ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O pięknych katastrofach i zegarku papieża

Był sobie w Italii Ruch 5 Gwiazd – bezkompromisowy, rewolucyjny, antykapitalistyczny i ekologiczny. Kontestował wszystko i wszystkich. Przysięgał, że nie wejdzie w żadne polityczne alianse, nie będzie rozmawiał ze sprzedajnymi mediami, a biznesmenów i bankierów wsadzi tam, gdzie powinni być – za kratki. Naród nabrał się na to jak Boniek na bajer Sousy. Najpierw w wyborach oddał na zideologizowanych szaleńców co czwarty głos, a cztery lata temu co trzeci. Dostali 35 proc. miejsc w parlamencie.

I zaczęli łamać swoje rewolucyjne zasady jedną po drugiej. Najpierw stworzyli rząd z prawicową Ligą, a potem z lewicą. Gdy wszystko się posypało, weszli do rządu bankiera Draghiego. Na własną zgubę przeprosili się z mediami. Na jaw wyszły bowiem brak elementarnej wiedzy, zacietrzewienie i arogancja. W końcu naród się poznał. Utracili ponad połowę wyborców (obecnie 15 proc. w sondażach). Co więcej, zdołali się śmiertelnie pokłócić. Ruch opuściło, a raczej zostało z niego wyrzuconych, 105 z 338 parlamentarzystów. Gdy piszę te słowa, radio informuje, że sąd unieważnił wybór byłego premiera Contego na szefa Ruchu z powodu niezgodności ze statutem. Ruch stracił wodza i nie wie, dokąd iść. Słowem – katastrofa. Mogą sobie zatańczyć zorbę.

Do pląsów dołączyć może śmiało dyrekcja publicznej telewizji RAI. Przez kilka dni zapowiadano, że papież Franciszek na żywo weźmie udział w bardzo popularnym programie RAI Tre „Jaka dziś pogoda". Przed ekranami 6 lutego o godz. 20 zasiadło 9 mln Włochów. Prowadzący Fabio Fazio zagaił, że niebawem wystąpi papież Franciszek, a po krótkiej pierwszej części programu ogłosił: „A teraz łączymy się z Ojcem Świętym w Domu św. Marty". Publika w studiu wpadła w delirium. Godzinny wywiad przebiegł nadzwyczaj sprawnie i zakończył się owacją na stojąco. Ale wszystko było świetnie wyreżyserowanym i zmontowanym przedstawieniem. Mistyfikacja wyszła na jaw, bo zegarek papieża wskazywał godz. 17. Zastanawiam się, co wycięli. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 01e2b22e99

CO KOMU GRA W DNA

Natalia Siwiec, odkąd zamieszkała w Meksyku, dzieli się z nami nie tylko fotkami i relacją z remontu nowego domu, lecz także coraz bardziej uduchowioną naturą i przemyśleniami różnej treści. Ostatnio jeden z fanów zapytał ją o jej podejście do substancji psychoaktywnych. – Myślę, że każdy dorosły człowiek powinien spróbować (w odpowiednim środowisku z odpowiednimi ludźmi) – odpowiedziała celebrytka. – Świat byłby pełen jedności, miłości i zrozumienia – stwierdziła, zachwalając jedną ze szkodliwych substancji. Natalia nie ma też problemu z twardymi narkotykami. – Jak to się mówi, „wszystko jest dla ludzi", nie dla dzieciaków! Tylko dla dorosłych, świadomych ludzi – stwierdziła, a potem dziarsko broniła swojego stanowiska. – I tak uważam, że niektóre narkotyki powinny być legalne, kontrolowane przez jakiś urząd właśnie po to, by ludzie wiedzieli, co palą i biorą. A brali i brać będą, bo odurzanie się jest wpisane w nasze DNA, zresztą nie tylko nasze, lecz także wielu zwierząt – dodała. No to przynajmniej już wiadomo, z czego bierze się ta głębia myśli Natalii. Z DNA oczywiście.

AKCEPTACJA PO SKALPELU

Piosenkarka czy już raczej influencerka Honorata Skarbek wróciła do tematu swoich operacji plastycznych. Upiera się, że nie miała ich zbyt wiele, w co nie wierzą dociekliwi internauci. Otóż celebrytka postanowiła publicznie się przyznać, że miała operację powiększenia biustu, ale to było dawno temu. – W wieku 22 lat zrobiłam sobie operację powiększenia piersi – wyznała. Teraz, jak mówi, stawia na naturalność i samoakceptację! Czyli tak jak 99,9 proc. jej koleżanek z show-biznesu. Przy czym reguła jest taka, że im więcej zabiegów medycyny estetycznej, tym mocniejsze zapewnienia o samoakceptacji. – Jak najbardziej akceptuję siebie w 100 proc., pod każdym względem – stwierdziła Honorata. Pod każdym poprawionym względem!

CIOCIA DOBRA RADA

Joanna Przetakiewicz, właścicielka marki modowej i była partnerka życiowa Jana Kulczyka, lubi udzielać kobietom złotych rad dotyczących tego, co robić, żeby coś w życiu osiągnąć, i jak zarabiać pieniądze.
– Stop stereotypom! Stop wtłaczanym nam przekonaniom, że nie umiemy zarabiać, że nie wiemy, jak się zarządza pieniędzmi, że to domena mężczyzn! – pisze Joanna w ramach cyklu „Pieniądze szczęścia nie dają". – Czas na nową erę myślenia – ogłasza.
Chyba jednak trochę przegięła z tym doradzaniem, bo nagle jakoś fanki zaczęły jej się buntować. – Nie da się wyczarować pieniędzy. Jeśli któraś miała szczęście trafić na źródełko (facet, rodzice, wygrana itd.), to tej się uda zadbać o „własną emeryturę", inwestując, bo miała dobrych mentorów – zauważyła jedna z nich. Joannie nie spodobał się ten sceptycyzm (wiadomo, pozytywne myślenie jest w zarabianiu pieniędzy najważniejsze), więc postanowiła odpowiedzieć. – Można zadbać o własną przyszłość bez wygranej itp. Można się kształcić i zarabiać więcej. A przede wszystkim dbać o swoje ubezpieczenie – odpisała. Stąd już prosta droga do milionów i luksusów. Na szczęście Joanna nie musiała jej przechodzić.

FOT. PAWEŁ GROMADA

ZDOLNA NIESŁYCHANIE

Małgorzata Rozenek spełnia się w aktorstwie, bo tylko tam jej jeszcze brakowało. No więc ma wystąpić w najnowszym filmie Patryka Vegi i przy tej okazji nie mogła sobie odmówić relacji z planu filmowego i opowieści o tym, jak szły jej przygotowania do roli. – Spotykałam się z aktorkami i aktorami, którzy ze mną grali. Rozmawialiśmy o budowaniu postaci, o tym, jak powinno to wyglądać. Spędziliśmy godzinę na analizie i na takim przyspieszonym, bardzo intensywnym kursie aktorstwa, więc ja miałam ogromne poczucie tego, że Patryk naprawdę pomaga mi, że poświęca mi tyle czasu, ile potrzebuję – wyznała Małgorzata. A że zdolna z niej bestia niesłychanie, to potrzebowała zaledwie godzinę, by ogarnąć, na czym to całe aktorstwo polega. A ci wszyscy frajerzy siedzą w jakichś szkołach aktorskich po pięć lat, nie wiadomo po co. Małgorzata po raz kolejny otwiera oczy niedowiarkom! I to nie jest jej ostatnie słowo! Niestety.

SOBĄ NIE BYĆ

Aczkolwiek musimy przyznać, że rady reżysera Patryka Vegi dawane Małgosi bardzo nam się spodobały i bardzo trzymamy kciuki, by wzięła je sobie do serca, choć wiemy, że to sprawa z gatunku tych beznadziejnych.
– Patryk cały czas mi mówił: „Pamiętaj, nie bądź sobą, nie bądź Małgosią Rozenek-Majdan. Bądź tą kobietą, która inaczej reaguje" – wyznała przejęta swoim aktorstwem Małgorzata. Wyobrażacie sobie świat show-biznesu, w którym Małgorzata Rozenek-Majdan nie jest sobą?! My też nie, ale pomarzyć zawsze można. ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, współczujemy Chorwacji, serio. Już teraz jest ona popularnym kierunkiem podróży wakacyjnych różnych wąsatych januszów i grażyn, ale też młodszego pokolenia w osobach różnorakich sebków i karynek. Wsiadają ci Polacy w swoje rozklekotane passaty, polonezy czy duże fiaty, pakują w bagażniki konserwy, zapas wódki, piwska oraz papierosów i ruszają na Bałkany niczym kiedyś osoboturecy najeźdźcy.

Tamci jednak nieśli kulturę, medycynę, literaturę i higienę. A co wiozą Polacy? No właśnie wymieniliśmy.

No, ale do rzeczy xD Otósh w tym roku janusze otrzymają nowe możliwości w postaci pociągu kursującego przez kilkanaście godzin z Polski do Splitu i Rijeki. Przecież to będzie koszmar i dla obsługi pociągu, która będzie musiała przez ten czas wdychać opary kanapek z jajkiem i kiszonym ogórkiem, jak i dla Chorwatów, którzy będą mieli w wakacje jeszcze więcej januszów.

Szczerze mówiąc, nie wiemy, czy którzyś z popularnych tenkrajowych celebrytów spędzają wakacje w Chorwacji, ale jeśli tak, to niniejszym podpowiadamy, że jeśli chcą łatwo znaleźć materiał do corocznego rytualnego obrażania się na Polaków spędzających urlopy za granicą, to warto mieć tę Chorwację na uwadze.

A wiadome media już pewnie rezerwują dla swoich reporterów miejsca w pociągu, iżby powstały porywające reportaże z obserwacji uczestniczącej.

Już nie możemy się doczekać tegorocznych wakacji, a tu jeszcze kilka miesięcy, ehhh…

Wogóle coś niepokojącego się dzieje w Europie, jakiś dziwny trend polegający na odchodzeniu od restrykcji covidowych, paszportów, limitów itd. Ten kraj podobno szykuje się na podjęcie podobnych kroków.

Więc po co, kurde, był nam ten cały certyfikat? Żeby nikt go przez ten cały czas nie sprawdzał? Czasem sami podtykaliśmy kelnerom pod nos, iżby rozumieli, że mają do czynienia z tą światlejszą częścią społeczeństwa, ale najczęściej spotykaliśmy się z niezrozumieniem.

I teraz co, każdy będzie mógł sobie chodzić, gdzie chce, jeździć, gdzie chce, spotykać się w dowolną liczbę osób, organizować przyjęcia i eventy?

Czy na pewno o to nam chodziło? Naprawdę chcemy do tego doprowadzić? Opamiętajmy się, póki nie jest za późno.

Pojawił się jedyny jak dla nas argument za polexitem. Mianowicie słyszeliśmy jakieś pogłoski, jakoby Fejsbuk chciał się wycofać z Unii Europejskiej. Jeśli tak by się rzeczywiście miało stać, to czekałby nas ciężki orzech do przełknięcia, ale ostatecznie wybralibyśmy chyba Fejsika. Niemniej uważamy, iż bez referendum się w takiej sytuacji nie obędzie.

Wielkie halo u prawactwa, że kierowcy ciężarówek zablokowali trochę Kanady. Wystarczy wyjechać na A4 pod Krakowem, iżby wziąć mimowolnie udział w podobnym evencie, a nikt z tego sensacji nie robi i nie oczekuje, że media o tym będą mówić. Jak dla nas nie ma tematu, nie ma czego roztrząsać, można się rozejść. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Szczepionkowy cud

Panie profesorze, przychodzę do pana, bo mam osobisty problem.
Panie prezesie, ja zawsze chętnie pomogę. Szkoda, że tej naszej rady już nie ma, ale pomogę i tak. Trochę tam w końcu, he, he, poobradowaliśmy sobie.

Za jakiś czas zniesiemy maseczki we wnętrzach.
Wiem, wiem, nie pochwalam, szykuje się ósma fala… Nie, momencik, szósta? Nie wiem, pokićkało mi się. Nieważne. Któraś się szykuje. Ale rozumiem, polityka.

No więc jak tylko próbuję zdjąć maseczkę gdzieś w pomieszczeniu poza domem – w domu to muszę, bo się kot wścieka – to mam koszmarny napad paniki. Można coś na to poradzić?
Pan bustera brał, prawda?

Oczywiście.
Dobrze. To ja tu pana po cichutku skieruję na czwartą dawkę, a potem dwa tygodnie później od razu na piątą.

I to pomoże? Nie będę się bał zdejmować maski?
Szczepionka pomaga na wszystko. Kuzyn przyjął czwartą dawkę i zaraz potem wygrał na loterii. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Przez impotencję Kaczyńskiego, który nie jest w stanie przekonać Z. Ziobry, Polska może stracić gigantyczne sumy pieniędzy na odbudowę gospodarki".

RADOSŁAW SIKORSKI,
europoseł, na Twitterze

eprasa.pl 01e2b22e99

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Owszem, premier Mateusz został tymczasowo ministrem finansów, ale naprawdę ma co robić, więc trwają intensywne prace nad znalezieniem nowego. Słyszeliśmy, że może to być pani minister. Bardzo wysoko stoją akcje Gertrudy Uścińskiej, prezes ZUS. Więc nie bądźcie zdziwieni, gdyby doszło do takiej przeprowadzki.

Nasilają się plotki o tym, jakoby rekonstrukcja rządu miała objąć także ministra zdrowia. W czasach pandemii ministrowie zdrowia zużywają się szybko. W chwili, kiedy zamykaliśmy ten numer, los Adama Niedzielskiego nie był jednak jeszcze przesądzony. Nasze wiewiórki to odpowiedzialne stworzonka, mówiły więc dyplomatycznie: temat jest, decyzji jeszcze nie ma.

Natomiast już właściwie pewne jest to, że nowym prokuratorem krajowym zamiast Święczkowskiego zostanie Dariusz Barski. W miniony piątek zaczął pakować swoje rzeczy z gabinetu przy al. Róż. I jest w tym coś symbolicznego. Bo droga każdego prokuratora krajowego różami nie jest usłana. W prokuraturze mówi się, że Barry (ksywa Barskiego) dołączył do sił postępu. Dla wyjaśnienia dodamy, że siedziba Prokuratury Krajowej mieści się właśnie przy ul. Postępu.

Trwają tymczasem poszukiwania kandydata na ambasadora w Berlinie. I nie jest to łatwe zadanie, bo odmawiają kolejni kandydaci, którzy nadają się na to stanowisko. W minionym tygodniu odmówił Janusz Styczek. I szczerze powiedziawszy, wcale się nie dziwimy, bo Berlin to placówka prestiżowa, ale bardzo ciężka. Styczek zna Berlin jak własną kieszeń, ale też zdaje sobie sprawę z wyzwań.

Spytacie nas: Czemu placówka w Berlinie jest taka ciężka? Napięte stosunki polsko-niemieckie? Otóż nie, nie o to chodzi. Największym wyzwaniem na tej placówce nie będą w najbliższym czasie dyplomatyczne potyczki, lecz ciężka harówka związana z budową nowej siedziby polskiej ambasady. Każdy, kto kiedykolwiek miał do czynienia z niemiecką biurokracją, wie, że to prawdziwa udręka.

Z życia niemieckiej szefowej MSZ. Prezydent Ukrainy demonstracyjnie nie znalazł dla niej czasu, kiedy przyjechała do Kijowa, by chwalić się hełmami wysyłanymi na pomoc. Co za pech! Prezydent Andrzej Sebastian był bardziej uprzejmy, bo kiedy Annalena Baerbock w grudniu odwiedzała Warszawę, to niespodziewanie zaprosił ją do Pałacu, choć wcześniej tego nie było w planach.

Powyższy akt kurtuazji Andrzeja Sebastiana miał wówczas zaskakujące skutki uboczne. Z powodu zaproszenia do Pałacu minister Baerbock nie spotkała się z przedstawicielami zionących nienawiścią do PiS polskich organizacji pozarządowych. Co za pech! No i biedacy na próżno czekali w przyjaznej wszystkim nienawidzącym PiS ambasadzie Niemiec.

Apropos spotkań u prezydenta Andrzeja Sebastiana. Na spotkaniu z politykami opozycji w sprawie zmian w sądownictwie prezydent zdecydowanie rugał niejakiego Budkę Borysława, co ten ostatni przyjął dość nerwowo. Ale za to Andrzej Sebastian bardzo komplementował Włodka Tygrysa-Kamysza, który zresztą też mu się komplementami odwdzięczał. To pierwsze bardzo się podobało Ryszardowi Terleckiemu. To drugie – już nie.

Ledwo napisaliśmy, że w wysokich kręgach partyjno-rządowych bardzo spodobał się guzik do obniżania VAT, a już się wysypał Adam Glapa-Glapiński, że rząd chce przedłużyć tarczę antyinflacyjną do końca roku. Inflacja inflacją, ale z badań wynika, że argument „Donald podnosił, my obniżamy" cieszy się sporą popularnością wśród ludu. Nie tylko PiS-owskiego.

Jak już wiecie dzięki sejmowemu wystąpieniu Henryki Krzywonos z Peło, w dekoderach telewizyjnych znajduje się Pegasus. W związku z gwałtownym rozprzestrzenianiem się tego cholerstwa postulujemy wprowadzenie obowiązkowych testów na obecność Pegasusa. Testy powinny być dostępne w każdej aptece. W pierwszej kolejności należałoby przebadać przedstawicieli Eine Totalopposition. W drugiej kolejności przebadać ich jeszcze raz. Niekoniecznie na Pegasusa, przychodzą nam raczej do głowy wizyty u specjalistów.

Tymczasem Szymek Hołownia, znany brat mniejszy płaczący, ogłosił, że sprawdził u zagranicznych ekspertów, czy ma Pegasusa. I okazało się, że nie ma. Ale mógłby mieć. To nie pierwsza taka sytuacja u Szymona. Z poparciem i ze znaczeniem jest podobnie.

Ciągle jesteśmy pytani o to, kto w najbliższym czasie zostanie zatrzymany przez organa wymiaru sprawiedliwości. Cierpliwości. Okazuje się, że są okoliczności, które nie sprzyjają młynom sprawiedliwości. Taką okolicznością były ostatnio ferie zimowe w województwie mazowieckim. My to rozumiemy. Też wolelibyśmy szusować na nartach w Austrii, zamiast pisać wnioski o areszt. Ale każde ferie kiedyś się kończą.

Ciekawa plotka z Lubuskiego. Chodzi o samorządowców, którzy wybrali się służbowo do Dubaju. Podobno mieli kłopoty w drodze powrotnej. Kto? Wacław Maciuszonek, niezależny, szef sejmiku. Oraz Sebastian Ciemnoczołowski, szef klubu Peło w sejmiku. Kłopoty miały być związane z samolotem powrotnym oraz naruszeniem surowych muzułmańskich zasad regulujących konsumpcję pewnego typu napojów. Nie wierzymy plotce. Samorządowcy to ludzie ubodzy, na pewno nie byłoby ich stać na kolejne bilety. ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

REKLAMA

WOJNA HYBRYDOWA, TAJEMNICZA PANDEMIA,
HISTORIE ALTERNATYWNE
PUTIN, HITLER, DOKTOR DOLITTLE, BÓG I DIABEŁ
DOBRA FANTASTYKA W 12 ODSŁONACH

PIOTR GOCIEK

NOWE KSIĄŻKI
JUŻ W SPRZEDAŻY

SZUKAJ W DOBRYCH KSIĘGARNIACH INTERNETOWYCH

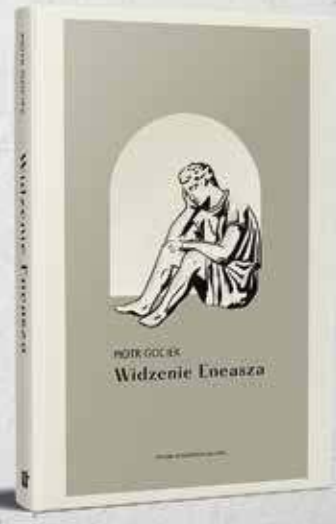

WIERSZE Z LAT 1986-2020

„WIERSZE O OGROMNYM CIĘŻARZE GATUNKOWYM, TAKŻE ODNOSZĄCE SIĘ BEZPOŚREDNIO DO NASZEJ WSPÓŁCZESNOŚCI, REFLEKSJE NAD LEKTURAMI, ZAMYŚLENIA WRĘCZ FILOZOFICZNE. DOMINUJE JEDNAK NIEZWYKŁY A WYCZUWALNY NIEMAL OD PIERWSZEJ STROFY NOSTALGICZNY TON"
KRZYSZTOF MASŁOŃ

ROZSZERZONE WYDANIE KSIĄŻKI NOMINOWANEJ
DO NAGRODY IM. JÓZEFA MACKIEWICZA

REKLAMA

INSTYTUT LITERATURY

Wojciech Wencel
Lechoń. Rycerz i faun

Brawurowa biografia
wielkiego poety

zamów książkę na **sklep.instytutliteratury.eu**
z **kodem rabatowym DRz 20% TANIEJ!**

eprasa.pl 01e2b22e99

Człowiek, który wymyślił „Wielki Reset”

Wojciech Golonka

Już od ponad 50 lat co roku w styczniu biznesmeni i politycy pielgrzymują do swej szwajcarskiej mekki na Światowe Forum Ekonomiczne. Davos, doskonałe miejsce na grube interesy, za sprawą swego ajatollaha stało się z czasem kuźnią globalizmu, który wraz z pandemią COVID-19 wszedł w etap „Wielkiego Resetu”. Resetu, który wciąż zagraża naszej cywilizacji

W 2021 r. Klaus Schwab, prezes Światowego Forum Ekonomicznego (WEF), wywołał konsternację, ogłaszając inicjatywę „Wielkiego Resetu” z przyświecającym mu wiodącym hasłem: „Nie będziesz nic posiadał i będziesz szczęśliwy”. Jawne plany okazały się zuchwalsze od szalonej teorii spiskowej, a wywołany szok spowodował, że wzięto pod lupę coraz śmielsze poglądy sławnego i poważanego ekonomisty, witanego na świecie z honorami właściwymi głowom państw. Wyłonił się z nich zatrważający ideał nowej ludzkości do stworzenia, z zatraconym poczuciem tożsamości etnicznej, narodowej, religijnej, ideał masowego, lecz bezpodmiotowego proletariatu.

Czy zacny 83-letni profesor na starość stracił kontakt z rzeczywistością? Jego flagowy projekt uzyskania doczesnej nieśmiertelności ludzkiego umysłu poprzez zespolenie mózgu z maszyną mógłby to poniekąd sugerować. A może to jego poglądy, skupione od zawsze na pomnażaniu bogactw największych rynkowych graczy, doszły po prostu do pewnych logicznych konkluzji na danym etapie globalizacji? W każdym razie, po wywołanej fali krytyki i oburzenia, hasła tegorocznej edycji Forum w dniach 17–21 stycznia brzmiały bardziej koncyliacyjnie i pokornie: „Pracować razem” i „Odbudowa zaufania”. Jak bowiem zaznaczyła jedna z panelistek organizowanej przez WEF konferencji „Wielka Narracja” w Dubaju w listopadzie ubiegłego roku, „dobra wiadomość jest

eprasa.pl 01e2b22e99

Klaus Schwab, prezes Światowego Forum Ekonomicznego (siedzi z lewej), na tegorocznym Forum mówił do przewodniczącej Unii Europejskiej Ursuli von der Leyen (na monitorze) o potrzebie wprowadzenia Europejskiej Regulacji ds. Czipów, nawiązując do swej idée fixe, transhumanizmu i stworzenia nowego, ulepszonego człowieka

FOT. PASCAL BITZ/WORLD ECONOMIC FORUM

taka, że rozsiane po świecie elity ufają sobie coraz bardziej… Zła wiadomość natomiast jest taka, że większość ludzi mniej ufa elitom". Elitom, jak widać, coraz bardziej zadufanym w sobie, coraz bardziej ogarniętym „manią wielkości", coraz mniej zakorzenionym w rzeczywistości.

OD FORUM EKONOMICZNEGO DO KUŹNI GLOBALIZMU

Tymczasem historia Davos rozpoczęła się niepozornie i bez kontrowersji w 1971 r., kiedy to 33-letni niemiecki inżynier o szerokich koneksjach w świecie przemysłu zorganizował Europejskie Forum Managementu. Kilkudniowe Forum miało zjednoczyć europejskich liderów biznesu celem podjęcia wspólnych działań na rzecz ich konkurencyjności wobec amerykańskich korporacji. Ujmując rzecz bardziej wprost, był to przemyślany lobbing na rzecz niemieckich firm w dobie globalnej rywalizacji. Przy czym Forum, od tego czasu powtarzane co roku, od początku charakteryzowało się ideologiczną podkładką i narracją stwarzającą pobudki do działania o zasięgu globalnym – były to konkluzje Klubu Rzymskiego, neomaltuzjańska teoria przeludnienia planety oraz, już wtedy, widmo klimatycznej apokalipsy. Dzięki wytrwałej pracy Schwaba Forum w ekskluzywnym alpejskim zimowym kurorcie stało się z czasem obowiązkowym miejscem spotkań decydentów politycznych i wielkiego kapitału tego świata, z pewną domieszką naukowców i celebrytów, organizująca je zaś fundacja przyjęła w 1987 r. obowiązującą do dziś nazwę „Światowe Forum Ekonomiczne" (WEF). Jej motto? „Zobowiązanie do polepszania stanu świata". A zatem warsztat roboczy samozwańczych zbawców ludzkości i planety.

Koniec zimnej wojny przyniósł Forum nowy etap: Davos stało się, do znudzenia wręcz, kuźnią globalizmu, określenie „globalny" pojawia się bowiem praktycznie w każdej znaczącej inicjatywie organizacji od tamtego czasu. W 1992 r. powołano ciało Globalnych Liderów na rzecz Jutra, dzieło znaczące, przez które przewinęło się sporo przyszłych kadr europejskiej polityki, jak José Manusel Barroso – premier Portugalii, a następnie przewodniczący Komisji Europejskiej, Tony Blair i Gordon Brown – premierzy Wielkiej Brytanii, Angela Merkel, Nicolas Sarkozy i wielu innych przedstawicieli świata polityki, administracji, bankowości czy biznesu. W 2003 r. inicjatywa ta została przemianowana na Forum Młodych Globalnych Liderów, wśród których najbardziej znaną postacią jest obecny prezydent Francji Emmanuel Macron.

Dzięki podobnym inicjatywom Klaus Schwab tworzył elity zwane „ludźmi Davos", przesiąknięte „duchem Davos", którego definiowano jako poczucie przynależności do globalnej elity. Słowem: ludzie, którzy myślą, że wiedzą, jak zbawiać świat (i wiedzą, jak na tym zarabiać). W 1993 r. powołano Forum Ekspertów, z którego zrodzą się następnie Rady Globalnej Agendy – nic bowiem tak dobrze nie napędza globalizmu jak wspólna agenda do wykonania, wymagająca powoływania odpowiednich, globalnych instytucji.

Wymieniając kolejne „globalne" projekty WEF: Agenda Globalnego Obywatelstwa Korporacyjnego; wespół z ONZ platforma Global Compact na rzecz zrównoważonego biznesu; razem z Fundacją Gatesów Globalny Sojusz na rzecz Szczepionek i Odporności (2000); program globalnego przywództwa celem przyciągania młodych talentów (2005); Wspólnota Globalnych Przywódców Religijnych (2006); Rada Globalnej Agendy ds. Wiary; Sieć Rad ds. Globalnej Agendy (2007); Globalny Re-Projekt (2008); Wspólnota Globalnych Formatowników (shapers – nadających kształt, 2011); Społeczność Globalnego Przewidywania Strategicznego (2015); Globalna Platforma na rzecz Współpracy Geostrategicznej (2017). Bliżej nas, w 2019 r., publikacja raportu „Globalizacja 4.0: Kształtując nową globalną architekturę w epoce czwartej rewolucji przemysłowej", w 2020 r. zaś hasło Wielkiej (czyli globalnej) Rekonstrukcji; w tym samym roku również akcja na rzecz Zielonej Rekonwalescencji globu. W końcu, w 2021 r., wspomniana już inicjatywa „Wielkiego" – a zatem globalnego – „Resetu".

ELITY NA RZECZ GLOBALNEGO BOGACTWA

W niniejszym artykule czerpię obficie z wydanego pod koniec ubiegłego roku pogłębionego studium Magdaleny Ziętek-Wielomskiej pt. „Imperium Klausa Schwaba. Jedna planeta, jedna ludzkość, jeden zarząd" (Pro Vita Bona, 336 s.), choć jeszcze świeższą pozycją ze stycznia br., godną zaznaczenia, jest książka autorstwa Petera Goodmana, dziennikarza „The New York Times", który na przestrzeni ostatniej dekady brał osiem razy udział w Forum w Davos: „Człowiek z Davos: jak miliarderzy pożarli świat" („Davos Man: How the Billionaires Devoured the World").

Otóż fenomen Davos zarówno okiem konserwatywnej polskiej politolog, jak i lewicowego amerykańskiego dziennikarza, mimo znaczących różnic w analizach, ma jedną wspólną zasadniczą cechę, kiedy klasyfikują go jako zgromadzenie światowych miliarderów i największych korporacji globu: „Oto magia Davos – Goodman przytaczał swoją rozmowę z jednym z dyrektorów Forum: to największa operacja lobbingu na ziemi. Najpotężniejsi ludzie spotykają się razem za zamkniętymi drzwiami, przed nikim nie odpowiadając, i piszą reguły dla reszty świata". Wymowne, lecz z pewnością niebudzące zaufania, którego oczekują od nas samozwańcze globalne elity. Ze swej strony Ziętek-Wielomska zauważa, że organizacja finansowana jest głównie przez korporacje światowe, których

eprasa.pl 01e2b22e99

listę, jak ujął to pewien niemiecki dziennikarz, czyta się jak „alfabet globalizacji".

Istotnie, przeglądając raporty finansowe WEF, w latach 2015–2020 przychody od strategicznych partnerów zostały więcej niż zdwojone, osiągając, z pierwotnego poziomu 115 mln franków szwajcarskich, aż 262 mln franków, co stanowiło ponad 70 proc. przychodów organizacji w 2020 r. Rzeczywiście, aby uzyskać dostęp do WEF, światowa korporacja musi najpierw zapłacić roczną opłatę członkowską w wysokości 600 tys. franków, nie licząc kosztów samego udziału w Forum w Davos. To się jednak najwyraźniej opłaca, ponieważ przedstawiciele danej globalnej korporacji mogą odbyć na Forum poufne rozmowy i dokonać w zaledwie kilka dni ustaleń nawet z kilkudziesięcioma przywódcami państw, najlepszy przykład tego, co kryje się pod enigmatyczną nazwą partnerstwa publiczno-prywatnego.

W tym spektakularnym wzroście finansowego aportu partnerów być może nie bez znaczenia był również fakt, że w 2015 r. Szwajcaria przyznała Światowemu Forum Ekonomicznemu status organizacji międzynarodowej na wzór Organizacji Narodów Zjednoczonych czy Czerwonego Krzyża, z czym wiążą się wiele przywilejów dyplomatycznych, a także całkowita niezależność fiskalna…

Szwajcaria przyznała Światowemu Forum Ekonomicznemu status organizacji międzynarodowej na wzór Organizacji Narodów Zjednoczonych czy Czerwonego Krzyża FOT. ADOBE STOCK

REWOLUCJE SCHWABA

Davos to jednak znacznie więcej niż targ globalnych interesów; to także pudło rezonansowe dla ideologii globalizmu, która stanowi z jednej strony słodziutką narrację-otoczkę dla mających w ostatnich latach złote żniwa najbogatszych ludzi naszej planety, z drugiej przekuwa się na odczuwalne rewolucyjne trendy w polityce i w mediach.

Kiedy Klaus Schwab na tegorocznym Forum mówi do lekko zakłopotanej przewodniczącej Unii Europejskiej Ursuli von der Leyen o potrzebie wprowadzenia Europejskiej Regulacji ds. Czipów, nawiązując do swej idée fixe, transhumanizmu i stworzenia nowego, ulepszonego człowieka w wyniku tego, co nazywa czwartą rewolucją przemysłową, rewolucją mobilnego internetu rzeczy, a także Internetu ciał, można podejść do jego słów jak do wypowiedzi pociesznego mitomana. Tymczasem, niezależnie od tego, czy Schwab wykorzystuje ten temat prostodusznie czy cynicznie, jest to u niego element o wiele szerszej układanki, a raczej rewolucji aksjologicznej, której konsekwencje społeczne będą zatrważające.

W swej książce „Czwarta rewolucja przemysłowa" Schwab głosi, że rewolucja Internetu ciał zaprowadzi „ontologiczną nierówność", która „oddzieli tych, którzy się adaptują, od tych, którzy się opierają – w zasadzie wygranych od w zasadzie przegranych, w każdym sensie tych słów. Zwycięzcy mogą odnosić korzyści wręcz z jakichś form radykalnego udoskonalnia czowieka stwarzanych przez niektóre segmenty czwartej rewolucji przemysłowej (jak inżynieria genetyczna), na które przegrani nie będą mieli szansy" (s. 125).

Zapomnijmy zatem na chwilę o czipach Schwaba, a wejdźmy w utylitarystyczną logikę jego myślenia. Jej stosowanie oznacza w gruncie rzeczy destrukcję znanego nam porządku społecznego, politycznego, cywilizacyjnego, a także, jak widać, standardowych praw człowieka. Schwab się jednak zupełnie nie kryje ze swą kategoryzacją „wygranych" i „przegranych", śmiało stwierdza upadek tego, co nazywa naszą dotychczasową umową społeczną, a ponadto twardo głosi potrzebę zaprowadzenia nowego porządku i nowych wartości – tym jest „Wielki Reset". W swym innym dziele, „Odrodzenie Europy" z 2012 r., Schwab mówił nawet o „kreatywnej destrukcji" dawnego porządku, głosząc, że to wielkie rynki zapewniają dobrobyt (znów prymat logiki utylitarystycznej) i potrzebują silnego, centralnego zarządzania, stąd państwa narodowe muszą oddawać swą suwerenność wyższym instancjom obejmującym globalne regiony: „Innymi słowy, aby stworzyć lepszą i bardziej rentowną Europę, która wciąż opiera się na tych samych wartościach społecznych i wolnościach co wcześniej, musimy rozważyć zniszczenie części tego, co budowaliśmy przez dziesięciolecia od zakończenia II wojny światowej. To będzie musiało objąć także niektóre z siatek bezpieczeństwa socjalnego, które są uważane przez wielu za ich przyrodzone prawo" (s. 85).

W „Czwartej rewolucji przemysłowej" kontynuował w tym samym duchu: „Rządy muszą się również przystosować do tego, że władza przenosi się z graczy państwowych na niepaństwowych, z zasiedziałych instytucji – na luźne sieci" (s. 91). To z kolei Ziętek-Wielomska komentuje następująco: „Z omawianej książki wyłania się wizja rzeczywistości, w której globalne koncerny będą ściśle współpracować z państwami utrzymującymi swoje znaczenie i które będą stanowiły coś w rodzaju centrów wielkich regionów. Wiele państw natomast upadnie jako tzw. failed state. Na globalizacji skorzystają więc tylko niektóre z nich, a także wielkie korporacje oraz wyższa klasa biurokratyczno-zarządcza, zasiadająca w administracji państwowej, korporacyjnej i NGO-sów. Reszta zostanie spauperyzowana i jej los będzie zależał od różnych form pomocy czy też zabezpieczeń socjalnych, zgodnie z nową »umową społeczną«".

W tym modelu gloablizmu Schwab nie bez powodu podaje za przykład Niemcy, które stały się europejską potęgą, łącząc, jak twierdzi, dynamikę gospodarczą ze spójnością społeczną. A zatem globalizacja

eprasa.pl 01e2b22e99

w formie regionalizacji świata z silnymi ośrodkami przywódczymi, pokroju Niemiec, w której siłą rzeczy upadną po drodze słabsze państwa. Polska badaczka zaznacza przy tym, że proponowany przez Schwaba model światowego zarządzania na wzór Niemiec odwołuje się do reform Gerharda Schrödera, które pogłębiły rozwarstwienie społeczne i pociągnęły za sobą zubożenie. Model ten już zresztą realizuje się na naszych oczach. Jak donosiła w styczniu organizacja Oxfam, łączny majątek 10 najbogatszych ludzi świata został podwojony w trakcie pandemii z 700 mld dol. do półtora tryliona (!), podczas gdy przychody 99 proc. ludzi się zmniejszyły.

Zalecane przez Schwaba skuteczne techniki stopniowej przemiany społeczeństw również jasno wskazują, że nie należy sprowadzać myśli globalistów do fantazyjnych pomysłów z czipami mającymi zapewnić nieśmiertelność. Niemiecki globalista otwarcie mówi o dużej roli do odegrania w kształtowaniu myśli społecznej przez różnego rodzaje organizacje pozarządowe (NGO) i wystarczy tu wymienić sieć fundacji George'a Sorosa na rzecz społeczeństwa otwartego, notabene stałego bywalca w Davos. Minęły już bowiem czasy – lata 90. – kiedy NGO stały w opozycji do możnych tego świata, czemu zresztą dano wyraz w książce wydanej przez Forum na okoliczność 50-lecia organizacji: po 2000 r. „Forum ewidentnie zmieniło profil z konferencji liderów biznesu i rządu na platformę integrującą wszystkich kluczowych interesariuszy globalnego społeczeństwa. Praktycznie wszystkie główne światowe organizacje pozarządowe były reprezentowane w Davos przez swoje czołowe postacie. W rezultacie pojawił się ciągły nieformalny dialog, aby wspierać lepsze zrozumienie i współpracę między globalnymi firmami i niektórymi z najbardziej wpływowych grup społeczeństwa obywatelskiego".

Jako przykład podobnej współpracy Schwab podał kiedyś casus Irlandii i przygotowania tamtejszej opinii publicznej do referendum w sprawie aborcji, co Ziętek-Wielomska znów trafnie skomentowała: „Globaliści tworzą agendy, które mają być wdrażane w życie, a następnie przeznaczają duże środki na propagowanie ich przez NGOs, przez co odpowiednio »urabiana« jest opinia publiczna, która następnie jest pytana o zdanie… Trzeba być dość bezczelnym, by po tym, jak się stwierdziło, że to na globalnym szczeblu mają być wypracowane główne cele, plany i strategie, twierdzić, że prosty lud będzie mógł jeszcze podejmować jakiekolwiek zasadnicze decyzje".

Inne skuteczne narzędzie globalistycznej rewolucji: Schwab wzywa do nowego systemu liczenia PKB w postaci Indeksu Globalnej Konkurencyjności, Indeksu Inkluzywnego Rozwoju oraz Indeksu Kapitału Naturalnego. Zmiany mgliste i na pierwszy rzut oka niepozorne, jednak – jak wychwytuje cytowana już autorka – w rzeczywistości będzie to kluczowy element ekonomicznej cenzury: „Nowy system metryczny stanie się centralnym narzędziem globalistów do narzucania wszystkim swojej agendy. Nawet jeśli na razie nowe standardy będą przyjmowane dobrowolnie, staną się one skutecznym środkiem nacisku na wszystkich tych, którzy będą opierać się pomysłom globalistów. Jeśli konkretna firma nie będzie bowiem chciała realizować wytycznych co do promowania np. agendy genderowej, to nie będzie mogła wykazać się odpowiednio wysokim indeksem przystosowania do kapitalizmu interesariuszy. Może wykluczyć ją to z prawa do otrzymywania zleceń od korporacji i instytucji publicznych. Do tego dojdzie brak możliwości otrzymania kredytów bankowych".

ODBUDOWAĆ ZAUFANIE W DAVOS

Po skandalicznym motto towarzyszącemu zeszłorocznej agendzie „Wielkiego Restetu" – „Nie będziesz posiadał nic i będziesz szczęśliwy" – w styczniu możni tego świata zawitali jak gdyby nigdy nic do Davos, jeśli nie fizycznie, to przynajmniej wirtualnie – najwyraźniej hasło wywłaszczenia mas przez utylitarną ekonomię nie zrobiło na nich negatywnego wrażenia. Nie zabrakło sekretarz amerykańskiego departamentu skarbu Janet Yellen, przewodniczącej Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde, przewodniczącej Unii Europejskiej Ursuli von der Leyen, o miliarderach, stałych bywalcach Davos, nie wspominając.

Sam Schwab, realizując tegoroczną agendę „Pracować razem" i „Odbudowa zaufania", obok „klasycznych" priorytetów w poprawianiu świata – walka z pandemią, odbudowa gospodarki i przejście do zeroemisyjności, troska o przyrodę – wspomniał tym razem o priorytecie „pomniejszania luki między bogatymi a biednymi, aby osiągnąć bardziej zrównoważony globalny rozwój". Zwrot w strategii? Z ust ajatollaha z Davos, w jego angielszczyźnie namaszczonej ciężką niemiecką wymową nadającą słowom jeszcze większej powagi (i teatralności), zapowiedź nie brzmiała wiarygodnie, ale z pewnością intrygująco.

Atmosfera tajemniczości nie trwała jednak zbyt długo, ponieważ chwilę potem Klaus Schwab z największą rewerencją poprosił prezydenta Chińskiej Republiki Ludowej Xi Jinpinga o otwarcie tegorocznych obrad w Davos, ten zaś w swym przemówieniu przedstawił pełne rozwiązanie postawionego przez Schwaba problemu: „W zeszłym roku Komunistyczna Partia Chin (KPCh) obchodziła setną rocznicę swego założenia. Poprzez stulecie ciężkich zmagań KPCh zjednoczyła i poprowadziła chiński lud w dokonaniu niezwykłych osiągnięć w postępie narodu i ulepszeniu życia ludzi. Doprowadziliśmy pod każdym względem do średnio zamożnego społeczeństwa i wygraliśmy bitwę przeciw ubóstwu, planując i znajdując historyczne rozwiązanie kończące bezwzględne ubóstwo. Teraz Chiny kroczą na nowej drodze budowania współczesnego państwa socjalistycznego, pod każdym względem".

A zatem kurtyna „Wielkiej Narracji" opadła. Żegnaj, zachodnia cywilizacjo! Witaj, chiński modelu niwelowania luki między bogaczami a biedotą! Witaj, dobroczynne współczesne socjalistyczne państwo ze swą dyktaturą partii, systemem kredytu społecznego, powszechną inwigilacją, brakiem poszanowania podstawowych praw człowieka, obozami pracy… Po tegorocznej edycji Davos zapewne odzyskali państwo wiarę i zaufanie do globalnych elit i ich pomysłów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

Przebudzenie prezydenta

Kamila Baranowska

W nowy rok Andrzej Duda wszedł z politycznym przytupem. Zawetował ważną dla PiS ustawę dotyczącą TVN, a teraz przejmuje inicjatywę w sprawie sporu z Unią o fundusze. W co gra prezydent?

Andrzej Duda tak aktywny był ostatnio w czasie kampanii wyborczej – nawet jeśli w tym zdaniu, zasłyszanym w kręgach Prawa i Sprawiedliwości, jest sporo złośliwości, to jest w nim także całkiem sporo prawdy.

Od momentu wygrania wyborów w 2020 r. prezydent jakby zapadł w długi sen, z którego właśnie zaczął się wybudzać.

Zaczęło się od głośnego weta w sprawie „lex TVN", czyli nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji. Nie jest prawdą, że weto było uzgodnione z PiS czy rządem. Była to całkowicie autonomiczna decyzja głowy państwa, którą podjął po skrupulatnej analizie, co było widać chociażby po uzasadnieniu, w którym wziął pod uwagę szeroki wachlarz konsekwencji, jakie niosłoby ze sobą podpisanie tej noweli. Jego decyzja szła mocno w poprzek oczekiwaniom obozu rządzącego, gdzie spodziewano się albo podpisu, albo odesłania ustawy do Trybunału. Fakt, że prezydent zdecydował się na weto, był zaskoczeniem. Andrzej Duda, uzasadniając swoją decyzję, podkreślił, że „podzielił zaniepokojenie większości rodaków, którzy uznali, że kolejna sprawa niepokojąca, jątrząca, kolejne spory nie są nam potrzebne". – Po co nam kolejny problem? – spytał.

Prezydent, jak dziś słyszymy, od początku zdawał sobie sprawę, że jego podpis pod ustawą, a nawet odesłanie jej do Trybunału będzie zagrożeniem dla odbudowy coraz chłodniejszych po odejściu Donalda Trumpa relacji z USA. Niektórzy komentatorzy wskazywali, że prezydent mógł też myśleć przy okazji o własnej politycznej przyszłości, bo jeśli ma w planach staranie się o jakiekolwiek stanowiska międzynarodowe, to przychylność strony amerykańskiej będzie kluczowa. Ten argument miał zwłaszcza podnosić Krzysztof Szczerski, były minister w Kancelarii Prezydenta, dziś stały przedstawiciel Polski przy ONZ. Przy czym, jak słyszymy, nie był to argument decydujący, a raczej uzupełniający.

Owoce tamtej decyzji Andrzej Duda zaczął zbierać wcześniej, niż się mogło wydawać. Dziś nawet ówcześni krytycy z obozu PiS po cichu przyznają, że w obliczu tego, co robi Putin na granicy

eprasa.pl 01e2b22e99

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

z Ukrainą, „może i dobrze się stało z tym »lex TVN«".

GDY CHCE SIĘ CHCIEĆ

Tymczasem Andrzej Duda w momencie, gdy sytuacja na Wschodzie stawała się coraz bardziej niebezpieczna i gdy jasne stało się, że Władimir Putin naprawdę rozważa atak na Ukrainę, stawiając przy okazji Zachodowi żądania uderzające bezpośrednio także w Polskę, jakby nabrał wiatru w żagle. Jego aktywność i zaangażowanie robią wrażenie zwłaszcza w porównaniu z marazmem, w którym tkwili on i jego środowisko od wygranych wyborów. Z czego to wynika? – Zobaczył dla siebie miejsce i zaczęło mu się znów chcieć. A jeśli Andrzejowi chce się chcieć, to może dużo. Jest wtedy w stanie wykrzesać z siebie ogromne pokłady energii i determinacji – tłumaczy nam osoba dobrze znająca prezydenta.

Dlaczego do tej pory mu się nie chciało? Bo PiS z Jarosławem Kaczyńskim robili wszystko, by prezydenta odsunąć od jakichkolwiek procesów decyzyjnych. Nie komunikowano się z nim, nie konsultowano z nim żadnych planów ani pomysłów, nie zapraszano na spotkania, jednocześnie oczekując lojalności i podpisywania przesyłanych z Sejmu ustaw.

– Prezydent był najpierw wściekły, a potem zrezygnowany. I odpuścił. Robił to, co musiał jako głowa państwa, a że były to rzeczy mało spektakularne, to nikt się tym nie interesował i powstawało wrażenie, że prezydent nic nie robi, tylko jeździ na nartach albo siedzi w Juracie, bo tylko w takim kontekście pojawiał się w gazetach, głównie w tabloidach – dodaje nasz rozmówca. I tłumaczy, że Andrzej Duda nie ma charakteru polityka, który, gdy mu zamkną drzwi, wejdzie oknem. Ale kiedy widzi, że robi się dla niego miejsce i że ma szansę, by coś zrobić, to jej nie marnuje.

Minister Paweł Szrot, szef gabinetu prezydenta, gdy pytamy go o owo przebudzenie prezydenta, odpowiada, że Andrzej Duda był zawsze aktywny, tylko jego działaniom nie zawsze towarzyszy światło kamer i zainteresowanie mediów. – Opinie mówiące, że dopiero teraz prezydent jest aktywny na arenie międzynarodowej, to złudzenie. Pan prezydent cały czas był aktywny, spotykał się i rozmawiał na tematy istotne dla bezpieczeństwa Polski. Teraz po prostu sytuacja się zintensyfikowała i wszystkie światła są skierowane na Ukrainę i to, co się wokół niej dzieje, dlatego aktywność pana prezydenta jest dużo bardziej widoczna – podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy".

W ciągu zaledwie kilku tygodni Andrzej Duda rozmawiał na temat Ukrainy i sytuacji w Europie Środkowo-Wschodniej chyba z większością najważniejszych europejskich przywódców. Został także zaproszony na naradę (w formie wideorozmowy) z prezydentem Joe Bidenem, w której udział wzięło dość wąskie grono europejskich przywódców – oprócz prezydenta Polski uczestniczyli w niej prezydent Francji, kanclerz Niemiec, premierzy Wielkiej Brytanii i Włoch, przewodniczący Komisji Europejskiej i Rady Europejskiej oraz sekretarz generalny NATO.

Nie bez znaczenia było zapewne to, że raptem kilka dni wcześniej na rozmowy do Polski przyleciał Wołodymyr Zełenski, z którym Andrzej Duda spędził dwa dni w prezydenckiej rezydencji w Wiśle. „Produktywne rozmowy z moim przyjacielem Andrzejem Dudą są w toku" – napisał na Twitterze Zełenski po tym spotkaniu. Było to drugie w ciągu miesiąca spotkanie głów obu państw. Poprzednie odbyło się w grudniu na Ukrainie z udziałem prezydenta Litwy.

– Andrzej Duda ma z wieloma głowami państw bardzo dobre osobiste relacje, które procentują w takich sytuacjach. To są dziesiątki telefonów, rozmów, spotkań w ciągu ostatnich miesięcy i lat. To rzeczy, których nie widać, a którymi na co dzień zajmuje się pan prezydent – tłumaczy minister Paweł Szrot, szef gabinetu prezydenta.

Nie on jeden w rozmowie z nami podkreśla, że w takich momentach procentują mozolnie budowane relacje osobiste z przywódcami innych krajów. I że w przypadku Andrzeja Dudy to jedna z jego mocniejszych stron, bardzo niedoceniana i niedostrzegana. – Ma to istotne znaczenie zwłaszcza w przypadku relacji z liderami państw Wschodu, gdzie relacje osobiste prezydentów mają zupełnie inne znaczenie niż na Zachodzie. Na Zachodzie liczą się szefowie rządów, to oni w Unii grają pierwsze skrzypce. Dla krajów Wschodu prezydent to prezydent i z nim trzeba mieć dobre stosunki. To pole, które zagospodarował sobie prezydent Duda i które dzisiaj w sytuacji kryzysowej przynosi Polsce korzyści. Zresztą na tej samej zasadzie istotną rolę w pomarańczowej rewolucji odegrał kiedyś Aleksander Kwaśniewski, a potem Lech Kaczyński w czasie agresji rosyjskiej na Gruzję – relacjonuje polityk bliski prezydentowi.

Tylko w pierwszym tygodniu lutego Andrzej Duda spotkał się z sekretarzem generalnym NATO, szefową Komisji Europejskiej, by następnie udać się na inaugurację igrzysk olimpijskich do Chin, gdzie rozmawiał z przewodniczącym Xi Jinpingiem. Sam fakt obecności prezydenta na inauguracji olimpiady w Pekinie wzbudził sporo kontrowersji i krytyki w części polskich mediów, lecz – jak tłumaczą współpracownicy prezydenta – polityczne korzyści z tego wyjazdu przeważały nad wizerunkowymi stratami i tym podyktowana była ta decyzja. Po powrocie z Chin Andrzej Duda udał się do Brukseli na spotkanie z szefową Komisji Europejskiej i szefem Rady Europejskiej, by rozmawiać o unijnej odpowiedzi na agresję Kremla, w Brukseli rozmawiał także z sekretarzem generalnym NATO. Następnego dnia był już na spotkaniu z prezydentem

eprasa.pl 01e2b22e99

Francji i kanclerzem Niemiec w Berlinie w odmrożonej po latach formule Trójkąta Weimarskiego. A dwa dni później w Warszawie gościł premiera Wielkiej Brytanii. – Świat docenia to, że Polska poradziła sobie z kryzysem na granicy białoruskiej, i zauważa, że to Polska jest krajem organizującym państwa regionu wokół tematu rosyjskiego zagrożenia. Wzrost zaufania do Polski jako partnera i sojusznika jest zauważalny i pan prezydent ma w tym swoje zasługi – wskazuje minister Szrot.

SPRAWY MIĘDZYNARODOWE, SPRAWY KRAJOWE

Intensywność rozmów i spotkań Andrzeja Dudy w ostatnich dniach wielu obserwatorom i politykom kojarzy się z czasem jego aktywności kampanijnej, gdy prezydent napędzany rosnącą popularnością był „nie do zatrzymania", jak mówili wówczas jego sztabowcy. – Prezydent Andrzej Duda zawsze dobrze rozumiał politykę międzynarodową i dobrze się odnajdywał w aktywności na tym polu. Jego obecne zaangażowanie jest zrozumiałe, bo na pewno czuje, że to jest moment kluczowy także dla bezpieczeństwa Polski, i on, jako głowa państwa, musi być aktywny i wziąć na siebie odpowiedzialność – mówi „Do Rzeczy" Krzysztof Łapiński, były rzecznik prezydenta i członek jego sztabu wyborczego z kampanii w 2015 r.

Andrzej Duda dobrze zapamiętał też lekcję z 2008 r., gdy w momencie agresji rosyjskiej na Gruzję Lech Kaczyński zebrał przywódców państw i poleciał z nimi do Tbilisi. – Na pewno z tyłu głowy prezydent ma poczucie, że to historyczny moment i to, jak się zachowa, będzie miało wpływ na całościową ocenę jego prezydentury. Tak jak Gruzja zapisała się w historii prezydentury Lecha Kaczyńskiego – przyznaje polityk dobrze znający Andrzeja Dudę.

Intensyfikację działań na arenie międzynarodowej i docenienie znaczenia Polski prezydent Duda postanowił wykorzystać także na krajowym podwórku. Niespodziewanie zgłosił własny projekt ustawy o Sądzie Najwyższym, który spełnia podstawowy warunek Komisji Europejskiej, czyli likwiduje Izbę Dyscyplinarną w obecnym kształcie. A właśnie to Komisja podaje za główny powód wstrzymywania wypłat środków z Funduszu Odbudowy. Prezydent, zanim wysłał swój projekt do Sejmu, zorganizował w Pałacu konsultacje z opozycją. Reakcja Platformy była dość przewidywalna, ale Pałac liczy na dobrą wolę ludowców i części Konfederacji. To wystarczyłoby, by przeforsować projekt bez oglądania się na sprzeciw ziobrystów, którzy sprzeciwiają się jakimkolwiek ustępstwom wobec Komisji. Projekt prezydencki nie podoba się zarówno ziobrystom, jak i sędziom z Iustitii, wspieranym przez Koalicję Obywatelską, co pokazuje, że może okazać się dobrym kompromisem, który nikogo nie zadowala w 100 proc. Pytanie, czy zadowoli Brukselę, bo o to dziś idzie gra.

– Jakiekolwiek spory w obrębie Unii Europejskiej dzisiaj są wodą na młyn dla przeciwników jedności europejskiej – dla naszych przeciwników, krótko mówiąc – i powinniśmy nie dawać tej pożywki. A wszystkie spory, które są, jak najszybciej zamknąć. Mam nadzieję, że państwo widzą, że to się właśnie w ostatnim czasie dzieje. Ja także w tym uczestniczę jako prezydent Rzeczypospolitej – tłumaczył Andrzej Duda po jednej z ostatnich wizyt w Brukseli.

Widać, że strona polska postanowiła kuć żelazo, póki gorące, i wykorzystując swoją aktywność w sprawie Ukrainy, załatwić palący problem niewypłaconych wciąż pieniędzy z Funduszu Odbudowy. – Wyrażam satysfakcję, że moja prezydencka inicjatywa ustawodawcza jest tutaj – zarówno w Komisji Europejskiej, jak i przez przewodniczącego Rady Europejskiej – przyjmowana z aprobatą; że jest pewna ulga, że taka inicjatywa się pojawiła. Mam nadzieję, że to oznacza, że także z tej strony jest wola rozwiązania tego problemu. Bo – jak mówię – jedność, jedność i jeszcze raz jedność – mówił Andrzej Duda.

Przy okazji tej prezydenckiej inicjatywy powróciło pytanie o to, czy prezydent konsultował ją z rządem i prezesem Kaczyńskim czy działał na własną rękę.

– Ani termin, ani założenia tego projektu nie powinny być dla rządu zaskoczeniem – mówi minister Szrot. Z naszych informacji wynika, że strona rządowa w uzgodnieniu z Nowogrodzką już jakiś czas temu poprosiła prezydenta o włączenie się w proces rozwiązywania sporu z Brukselą. Prezydent początkowo nie był zbyt chętny, ale zlecił prace nad projektem. Kiedy uznał, że moment jest dogodny, wyjął go i położył na stół.

Kolejna sprawa to „lex Czarnek". W sprawie obaw związanych ze zmianami, które chce wprowadzić minister edukacji, do Pałacu Prezydenckiego na spotkanie z pierwszą damą udały się posłanki największej partii opozycyjnej. Agata Kornhauser-Duda przez wiele lat pracowała jako nauczycielka, więc temat edukacji jest jej wyjątkowo bliski. – Pierwsza dama podzieliła nasze obawy. Jako była nauczycielka wyraziła się dosyć jasno, co uważa o ustawie – powiedziała po spotkaniu posłanka Kinga Gajewska z Koalicji Obywatelskiej. Pierwsza dama obiecała posłankom, że przekaże ich postulaty mężowi. Krytykowaną przez opozycję ustawę w ubiegłym tygodniu po raz drugi przegłosował Sejm, odrzucając sprzeciw Senatu. Niebawem więc ustawa trafi na biurko prezydenta. Wszyscy z niecierpliwością czekają, co zrobi Andrzej Duda i jak to zaważy na jego relacjach z PiS. Przy czym ci, którzy uważają, że prezydent nagle na złość prezesowi Kaczyńskiemu zacznie grać do jednej bramki z opozycją, są w błędzie. Andrzej Duda to PiS-owiec z krwi i kości i w wielu sprawach ma poglądy bardzo do PiS zbliżone. Buntuje się wtedy, gdy jest lekceważony i nikt z nim nie konsultuje kontrowersyjnych zapisów lub gdy dostaje do ręki fatalnie przygotowaną ustawę, co go, jako prawnika, wyjątkowo razi.

MĘSKA PRZYJAŹŃ?

W Pałacu Prezydenckim nikt nie kryje, że relacje Andrzeja Dudy z obozem politycznym, z którego się wywodzi, są skomplikowane i trudno je nazwać serdecznymi. Prezes Jarosław Kaczyński nie rozmawia z prezydentem od miesięcy, ignorując wszelkie zaproszenia. – Powiedzmy, że to nie ma znaczenia, kilka tygodni czy kilka lat – mówił w niedawnym wywiadzie, zapytany, kiedy ostatnio kontaktował się z głową państwa. – To sprawa bez znaczenia, bo na politykę nasze relacje nie mają większego wpływu. One tak wyglądają w zasadzie od początku prezydentury – dodał.

O wiele lepsze relacje prezydent ma z premierem Mateuszem Morawieckim, choć tutaj też wielkiej chemii i sympatii nie ma. Jest jednak pragmatyzm. Premier kontaktuje się z prezydentem, uzgadnia z nim część spraw i często uprzedza w sprawie ważniejszych kwestii. – Jedziemy na tym samym wózku – miał powiedzieć Andrzejowi Dudzie jeszcze w czasie kampanii wyborczej, gdy ruszył w Polskę, by pomóc mu w reelekcji. Gdyby tą prostą prawdą kierowali się wszyscy politycy Zjednoczonej Prawicy, cały obóz rządzący byłby dziś zapewne w dużo lepszej sytuacji pod każdym względem, także tym dotyczącym perspektyw wyborczych w 2023 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

CZY ÉRIC ZEMMOUR SIĘGNIE PO PREZYDENTURĘ?

TRAGICZNE SKUTKI POPRAWNOŚCI POLITYCZNEJ I ŚWIĘTEGO SPOKOJU

440 str., 16,5 x 23,5 cm

Książka analizuje przypadek „najstarszej córy Kościoła", ale bez trudu odnajdziemy w niej symptomy zaraźliwej choroby, która toczy dziś także Polskę i całą cywilizację Zachodu. Zaraza rozprzestrzenia się od lat i zatruła struktury państwa oraz jego elit. W Polsce co najmniej od roku 1989, kiedy przeszliśmy tzw. transformację ustrojową, powielamy z uporem maniaka wszystkie zgubne błędy Zachodu. Błędy, które się nawarstwiają w zastraszającym tempie. Warto porównać nasze doświadczenia z francuskimi, by jeszcze zatrzymać się nad przepaścią – uniknąć tytułowego samobójstwa.

Bardzo ciekawą postacią jest autor tej wartko napisanej publikacji. To obecny kandydat prawicy na prezydenta Francji w kwietniowych wyborach w 2022 r. – wg sondaży z dużymi szansami co najmniej na drugą turę. To Éric Zemmour, który do tej pory zajmował się polityką tylko jako autor książek i publicysta (świetny!). Widząc bezsilność, ale i nieudolność polityków prawicy, postanowił sam stanąć do pojedynku o najwyższą władzę.

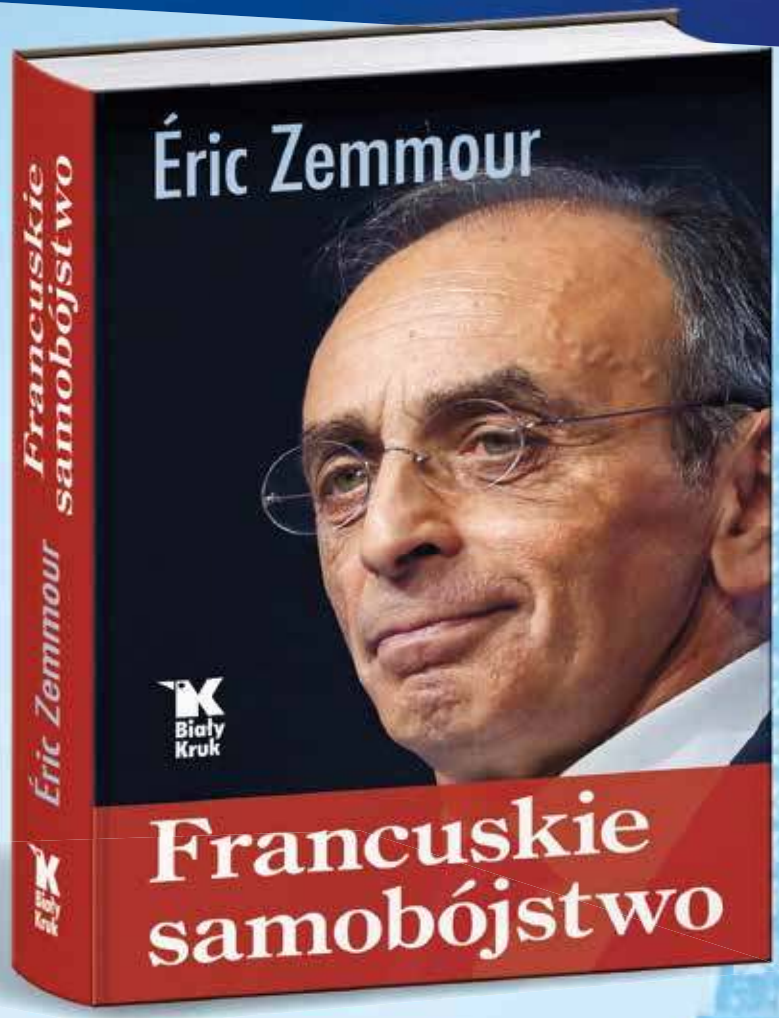

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Zapraszamy do obejrzenia spotkań autorskich online na naszym kanale youtube.com/WydawnictwoBialyKruk

Dla czytelników „Do Rzeczy" 35% taniej!
Wejdź na stronę bialykruk.pl i wykorzystaj kod rabatowy MAGAZYN35

Biały Kruk

ZAMÓWIENIA: Biały Kruk Sp. z o.o., ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków, tel.: 12/254 56 02, 12/254 56 04, 12/254 56 31, faks: 12/254 56 00, e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl, www.bialykruk.pl
Przy zamówieniu na kwotę powyżej 200 zł koszty przesyłki (16 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl 01e2b22e99

Opcje Kaczyńskiego

Łukasz Warzecha

Jeśli PiS faktycznie chciałby wygrać trzecią kadencję, to pozostają mu dwie metody na rozpoczęcie od nowa: przyspieszone wybory lub wymiana premiera. Czy jednak faktycznie po oba te sposoby można realnie sięgnąć?

Zjednoczona Prawica jest w najgłębszym kryzysie od początku swoich rządów. Na procesy naturalnego zużycia władzy nałożyły się skutki mechanizmów jej sprawowania immanentne dla tej konkretnej partii (pisał o tym niedawno w „Do Rzeczy" nr 6/2022 Rafał A. Ziemkiewicz), które musiały w końcu dać rezultaty, takie jak widać. Na to nałożyła się dekoniunktura w wielu dziedzinach. Na ile jej przyczyny są zewnętrzne, a na ile sami ją na siebie sprowadziliśmy, na przykład konsekwentnie popierając kolejne elementy europejskiego Zielonego Ładu – to temat na inne rozważania.

Dość, że wszystko to zaczyna mieć odbicie w sondażach. W 2015 r. PiS dostał ponad 37 proc. głosów przy ok. 51-procentowej frekwencji. W 2019 r. frekwencja była już rekordowo wysoka, ponad 61-procentowa, a PiS otrzymał aż 43 proc. głosów. Jeszcze w 2021 r. poparcie dla PiS (respondenci pod tą nazwą rozumieli cały obóz Zjednoczonej Prawicy) sięgało momentami 40 proc. Dzisiaj nie ma wątpliwości, że ta grupa stopniała, bo kolejne sondaże plasują poparcie dla partii rządzącej na poziomie 30–33 proc. Najnowszy (United Surveys dla Wirtualnej Polski) szacuje je na 33,1 proc. (KO ma 25,1 proc.), co przełożyłoby się na zaledwie 195 mandatów, czyli daleko od większości 231 głosów.

POTRZEBNE NOWE OTWARCIE

Tendencja jest zniżkowa, choć spadek jest powolny, a momentem psychologicznego przełamania byłoby trwałe zjechanie poniżej 30 proc., co na razie zdarzało się w pojedynczych badaniach. Byłoby to już niewiele więcej niż rozmiary najtwardszego elektoratu partii Jarosława Kaczyńskiego, obliczanego na ok. 25 proc. wyborców.

eprasa.pl 01e2b22e99

Zjednoczona Prawica jest w najgłębszym kryzysie od początku swoich rządów FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

To zresztą także może się zmienić, bo demografia nie stoi w miejscu, a w dodatku PiS uruchomił swoimi nieumiejętnymi działaniami różne procesy o długoterminowych skutkach – np. odchodzenie młodych od Kościoła, nad czym słusznie biadał po niedawnym badaniu dotyczącym tego tematu prymas Polak. Rzecz jasna, i tutaj powody są bardziej skomplikowane niż tylko prowadzona często cepem „patriotyczna" polityka PiS, ale jest to z pewnością część motywacji młodych, a ich odchodzenie od Kościoła oznacza na ogół również odchodzenie od tradycyjnych wartości w ogóle. Możliwe także, że część przy tych wartościach pozostaje, ale nie w wydaniu PiS, szukając ich choćby w Konfederacji.

Niektórzy komentatorzy zapominają, że przepływy elektoratu nie są zawsze pomiędzy partiami. Wyborcy odpływają także do grupy niezdecydowanych albo deklarujących, że nie zagłosują. We wspomnianym sondażu dla WP grupa niezdecydowanych to aż 10 proc. Może się okazać, że po frekwencyjnej zwyżce z 2019 r. wybory w 2023 r. zjadą z frekwencją poniżej 50 proc., bo zniechęconych będzie mnóstwo i będą się głównie rekrutować właśnie z elektoratu partii Kaczyńskiego.

Wszystko to tworzy obraz mocno niekorzystny dla rządzącego ugrupowania. Jedną z reguł polityki jest, że jeśli rządzi się długo (jak dotąd dwie kadencje miały tylko PO i właśnie PiS), to w którymś momencie trzeba dokonać dużego nowego otwarcia. W naszych warunkach terminem na to byłaby w zasadzie połowa drugiej kadencji, ale ten czas właśnie minął. Owszem, nowe otwarcie miało nastąpić i w tej roli miał zadziałać Polski Ład. Wiadomo już jednak, że okazał się porażką i z tym nic się już nie da zrobić, nawet gdyby sukcesywnie go „naprawiano". Jeśli PiS faktycznie chciałby zatem wygrać trzecią kadencję – starzejący się prezes Kaczyński ma powody, aby o nią jeszcze powalczyć; takie całkiem osobiste powody ma też wielu polityków PiS – pozostają mu dwie metody na rozpoczęcie od nowa: przyspieszone wybory lub wymiana premiera. Czy jednak faktycznie po oba te sposoby można realnie sięgnąć?

POPARCIE MOŻE DALEJ SPADAĆ

Opcja przyspieszonych wyborów była rozważana przez komentatorów i w samym PiS z różną intensywnością w różnych momentach po 2019 r. Kilka razy wydawało się, że jest bardzo blisko – na przykład w czasie sporu o niedoszłe prezydenckie wybory pocztowe, gdy postawił się w tej sprawie Jarosław Gowin.

Czynniki decydujące o tym, czy przyspieszone wybory mają sens, można sobie wyobrazić jako dwie linie na wykresie. Jedna z nich to ryzyko związane z taką opcją i wynikające z nieprzygotowania do wyborów oraz z tych kwestii, które aktualnie zbijają poparcie dla władzy. Druga linia oznacza ryzyko dalszej utraty poparcia wraz z czasem, który pozostał do konstytucyjnego terminu. Ta pierwsza linia startuje gdzieś z góry, ta druga z dołu, ale w którejś chwili mogą się przeciąć: korzyść z pójścia do wyborów, zanim wyborcy naprawdę się wkurzą, zaczyna przeważać nad ryzykiem. Można odnieść wrażenie, że to przecięcie w Polsce już nastąpiło. W grę bowiem wchodzi wiele czynników potencjalnie dalej obniżających poparcie dla PiS.

Po pierwsze – sytuacja gospodarcza, przekładająca się konkretnie na sytuację Polaków. W tej chwili roczna inflacja w 2022 r. jest szacowana na ok. 7 proc. Nawet gdyby tak miało się stać – bo były i wyższe przewidywania – oznacza to, że w niektórych miesiącach będzie wyższa. Pod koniec ubiegłego roku oceniano, że może momentami sięgnąć 10 proc.

Inflacja zjada transfery socjalne i ogranicza możliwości Polaków. Nieuchronne jest dalsze podwyższanie stóp procentowych, bo to jedno z narzędzi walki z utratą siły nabywczej pieniądza, ale to z kolei oznacza gigantyczne problemy złotówkowych kredytobiorców, którzy już płacą raty często wyższe o kilkaset złotych niż jeszcze w połowie 2021 r., oraz w ogóle mniejszą dostępność kredytów, a to z kolei ma znaczenie dla przedsiębiorców, dla których kredyt jest jednym z podstawowych narzędzi funkcjonowania.

Owszem, rząd wdrożył pakiety antyinflacyjne, z których najatrakcyjniejsze dla prywatnych osób jest obniżenie podatków w cenie paliwa (ale już dla prowadzących działalność gospodarczą nie ma to większego znaczenia), lecz są to działania doraźne. W momencie, gdy się zakończą, czekają nas gwałtowny wzrost cen i wpuszczenie na rynek potężnego impulsu inflacyjnego. Wszystko to rok przed wyborami. Nawet zaś gdyby rządzący – co jest bardzo prawdopodobne – mieli przedłużyć obowiązywanie obniżek do czasu wyborów, to będą mieli rosnący problem ze spięciem finansów państwa, bo decydując o zmniejszeniu wpływów do budżetu, nie zdecydowali zarazem o cięciu wydatków.

Po drugie – mamy Polski Ład, gorączkowo i na chybcika łatany (można by kolportować hasło: „Polski Ład – mnóstwo łat"). Nawet gdyby te łaty miały ostatecznie usunąć ewidentne błędy, to pierwszego wrażenia już to nie zmieni, a kwiecień przyszłego roku, czas rozliczeń podatkowych, będzie niechybnie momentem kolejnego zamieszania.

Trzeba też pamiętać, że naprawianie sknoconego programu to jedno, ale nie oznacza to zmiany jego istoty – a to również będzie mieć wpływ na wybory. Nadal pozostaje to program, w ramach którego większość nie odniesie korzyści albo zyska niewiele, a mniejszość bardzo odczuwalnie straci. W tej mniejszości będą także mikro- i drobni przedsiębiorcy, wśród których było niemało wyborców PiS.

Obrazowo mówił o tym w wywiadzie w niedawnym „Plusie Minusie" w „Rzeczpospolitej" prof. Waldemar Paruch były szef rządowego Centrum Analiz Strategicz-

eprasa.pl 01e2b22e99

nych: „Mamy przykładowo w rodzinie emerytkę otrzymującą 2000 zł świadczenia. Zyska na Polskim Ładzie ok. 200 zł. Jej mąż zarabia 2500 zł. Prawdopodobnie też zyska ok. 200 zł. I ta dwójka ma syna, który osiąga dochody rzędu 20 tys. zł miesięcznie. On na Polskim Ładzie na pewno straci, 1000, może nawet 2000 zł. Gdy ta rodzina spotka się w niedzielę przy obiedzie, to jaka będzie jej opinia o Polskim Ładzie? Negatywna, ponieważ zyski rodziców będą dużo mniejsze niż strata, jaką poniesie ich jedyne dziecko. A w Polsce rozumujemy w kategoriach kapitału rodzinnego".

Nawet jeśli osób zarabiających 20 tys. miesięcznie jest ułamek, to przecież straci każdy, kto zarabia powyżej 12 tys. zł. Obliczenia wpływu Polskiego Ładu na ów kapitał rodzinny będą się odbywały właśnie w kwietniu przyszłego roku, niecałe pół roku przed planowym terminem wyborów.

Po trzecie – sytuacja pomiędzy Polską a UE. Tam, gdzie premier Mateusz Morawiecki ogłaszał sukces już dawno, a więc przede wszystkim w sprawie Funduszu Odbudowy, mamy pat. Pieniędzy nie ma, Krajowy Plan Odbudowy nie został zatwierdzony przez Komisję Europejską. Mało tego, KE ogłosiła, że zamierza zmniejszyć należne Polsce pieniądze o kary za Turów i Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego. Nie wiadomo, czy coś w tej sprawie zmieni prezydencki projekt zmiany w ustawie o SN. PiS będzie tu prezentował buńczuczną narrację, ale nie zmienia to faktu, że to już są konkretne skutki finansowe, a właśnie na sprawy finansowe wyborcy są coraz bardziej wyczuleni.

Do tego dochodzi kwestia szalejących również z powodu Zielonego Ładu UE cen energii. Rząd pokazuje, że to unijna polityka jest winna rekordowym cenom uprawnień do emisji CO_2 (niedawno na aukcji uprawnienia na 2025 r. osiągnęły zabójczą cenę 100 euro za tonę), ale mówienie o tym może nie wystarczyć. Jeśli skończy się na pokrzykiwaniach, ale zarazem realnych stratach finansowych, to wyborcy będą rozczarowani. Szczególnie że PiS uwielbiał chwalić się skutecznością. Tu miara skuteczności jest jedna i wymierna: przelew z Brukseli czy inne konkretne działania, takie jak zawieszenie uczestnictwa w systemie handlu uprawnieniami.

SŁABSZY MORAWIECKI

Wszystko to mogłoby wskazywać, że warto zrobić wybory wcześniej. Ale to nie takie proste. Przede wszystkim Polski Ład okazał się pułapką dla władzy. Jego negatywne efekty są tak rozłożone w czasie, że działałyby źle teraz i będą działać źle przed wyborami w normalnym terminie. Rządzący mogą mieć jednak nadzieję, że do jesieni przyszłego roku blamaż nieco przyschnie. Teraz natomiast jest świeży.

Gdyby zaś chcieć wybory przyspieszać, to musiałoby to nastąpić już teraz. Skracanie kadencji Sejmu o mniej niż rok, nawet półtora, nie ma specjalnie sensu, a na dodatek wiosną przyszłego roku przypada termin wyborów samorządowych. Połączenie czy nałożenie się na siebie dwóch kampanii w warunkach chaosu panującego w obozie władzy mogłoby przekraczać jego możliwości.

Przede wszystkim jednak problemem jest samorozwiązanie się Sejmu. Jest to jedyny przejrzysty, zrozumiały dla wyborców sposób na przyspieszenie elekcji (pozostałe dwa – przez nieuchwalenie budżetu i wotum nieufności dla własnego rządu przy niemożliwości powołania nowego – są już zbyt kosztowne politycznie), tymczasem aby Sejm sam się rozwiązał, potrzeba aż dwóch trzecich, czyli 307 głosów przy pełnej sali. A zatem współpracy ZP i KO – inaczej takiej większości osiągnąć się nie da. Koalicja Obywatelska nie ma zaś w tej chwili żadnego interesu, żeby pomagać PiS w ucieczce do przodu. Ani sama na wybory gotowa nie jest, ani też nie chce uwalniać PiS od problemów, które mogą do następnej jesieni partię Kaczyńskiego przygnieść. Donald Tusk mówi o tym właściwie całkiem wprost.

Jeszcze rok temu można było uznać, że KO trudno będzie przed swoimi wyborcami usprawiedliwić niegłosowanie za ewentualnym wnioskiem o skrócenie kadencji, ale dzisiaj sprawa wygląda inaczej. Wobec problemów z Polskim Ładem nietrudno powiedzieć, że jego architekci powinni sami naprawiać, co spaprali, a nie spychać odpowiedzialność na innych. I będzie to wiarygodna narracja.

W takim razie może wymiana premiera? Pozycja Mateusza Morawieckiego w ostatnim czasie osłabła, w dużej mierze właśnie za sprawą nieszczęsnego Polskiego Ładu. Tadeusz Kościński był ministrem bez politycznego znaczenia, ale był też człowiekiem szefa rządu. Morawieckiego obciąża wiele innych spraw: zgoda na politykę klimatyczną UE, na mechanizm „pieniądze za praworządność", kary nakładane na Polskę i brak akceptacji KPO przez Komisję Europejską.

Sondaże są dla premiera niejednoznaczne. Z jednej strony cieszy się niby najwyższym zaufaniem, ale deklaruje je niewiele większa grupa niż chcąca głosować na PiS: 37 proc. Z drugiej strony słabe noty zbiera rząd jako całość: w styczniowym sondażu CBOS zaledwie 30 proc. poparcia (czyli mniej niż grupa wyborców PiS) przy aż 44 proc. przeciwników. 33 proc. uważało, że to dobrze, że premierem jest Morawiecki przy aż 52 proc. oceniających ten fakt źle. Z kolei w świeżym sondażu dla RMF i „Dziennika Gazety Prawnej" 37,5 proc. chciało, żeby za porażkę Polskiego Ładu odpowiedzieli wiceministrowie, ale niewiele mniej, 36,1 proc., obarcza odpowiedzialnością Mateusza Morawieckiego.

Trudno mieć wątpliwości, że to premier, firmujący własną twarzą wszystkie działania rządu (ma tu niemal monopol), jest dzisiaj postacią w obozie władzy najbardziej zużytą. Jarosław Kaczyński nie miewał w takich sytuacjach skrupułów, żeby przypomnieć tylko, w jak brutalny sposób została potraktowana Beata Szydło. Ale i tu jest problem: po dymisji premiera trzeba powołać nowego i uzyskać dla niego wotum zaufania. Tu potrzeba zwykłej większości głosów, tylko że ZP jej dzisiaj formalnie nie ma. W samym klubie jest 228 posłów. Można do tego co prawda doliczyć trzech posłów koła Kukiz'15 (bez Stanisława Tyszki) oraz dwóch posłów niezrzeszonych (Łukasz Mejza i Zbigniew Ajchler), co daje minimalną większość. Ale nie ma przecież wątpliwości, że przy tej okazji każdy będzie próbował coś dla siebie wyszarpać – szczególnie mając przekonanie, że może to być końcówka sprawowania władzy przez PiS. To oczywiście działa w obie strony, bo stawiający warunki nie chcieliby przecież nowych wyborów, tylko trwania obecnego układu, w którym mogliby coś zyskać – sytuacja typu „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma". Prezes PiS musiałby jednak pójść na daleko idące ustępstwa, które z kolei wykorzystałaby opozycja, aby uderzyć we władzę, oskarżając ją o kupczenie stanowiskami i profitami.

Najpewniej zatem wybory będą w terminie konstytucyjnym, a szefem rządu do końca kadencji pozostanie Mateusz Morawiecki. A to dlatego, że za sprawą własnej polityki i wcześniejszych decyzji Jarosław Kaczyński sam radykalnie ograniczył sobie pole manewru.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

esprit

OSOBISTY SEKRETARZ BENEDYKTA XVI

W PORUSZAJĄCYM WYWIADZIE O SŁUŻBIE U BOKU PAPIEŻA

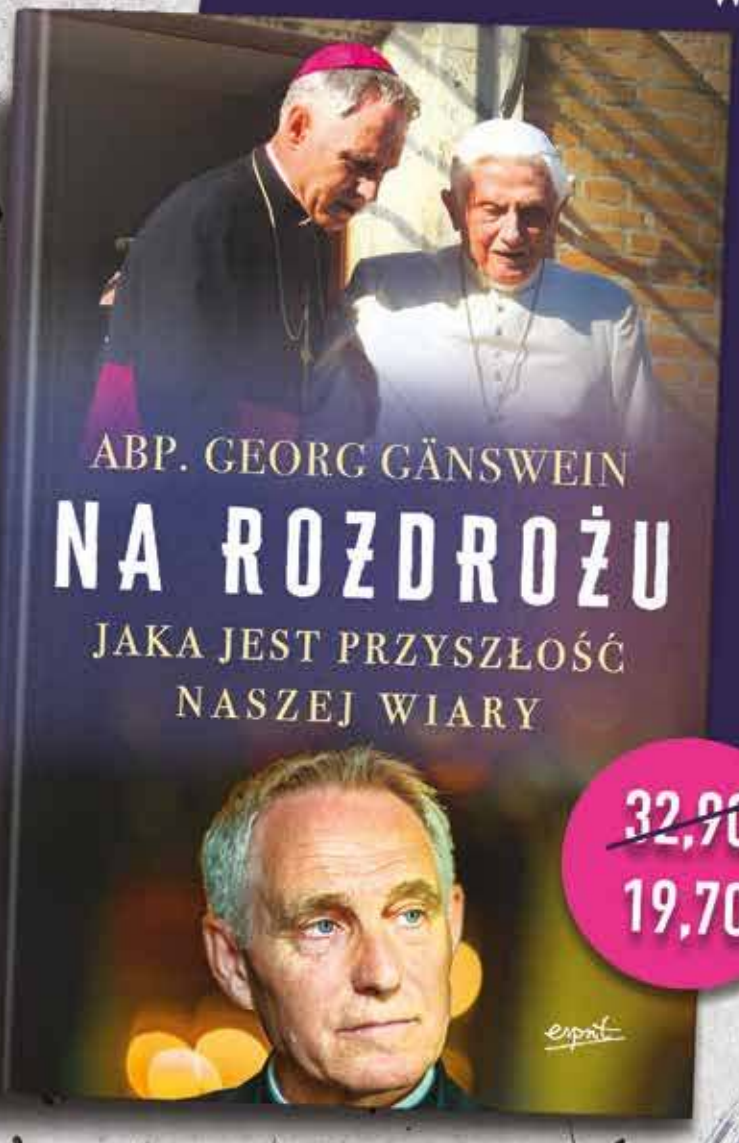

~~32,90~~
19,70

„Podczas odlotu Benedykta XVI do Castel Gandolfo siedziałem obok niego, sam do głębi poruszony – co rozumie każdy, kto tego wieczora śledził to pożegnanie w telewizji. I wiem, że w przeciwieństwie do mnie wtedy nie płakał, jeżeli mogę to tu teraz zdradzić. A ja mam te dzwony rzymskie do teraz w uszach, dzwony brzmiące podczas tego brzemiennego w skutki lotu, zanim wylądowaliśmy w jego ulubionym Castel Gandolfo, gdzie po raz ostatni na balkonie pałacu papieskiego pożegnał się jako papież z ludźmi na placu i wszystkimi katolikami na ziemi, mówiąc *buona sera*."

fragment

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj specjalne gratisy oraz promocje! Zamów książkę na www.esprit.com.pl lub telefonicznie: 12 267 05 69. Darmowa dostawa od 99 zł.

*** KOD RABATOWY WAŻNY DO 15 MARCA 2022**

Odbierz dodatkowy rabat*

-5%

na hasło:
DO RZECZY

eprasa.pl 01e2b22e99

Z senatorem Janem Marią Jackowskim
rozmawia Ryszard Gromadzki

Gorzka satysfakcja

RYSZARD GROMADZKI: Jaki jest pana obecny status w klubie parlamentarnym Zjednoczonej Prawicy? Radosław Fogiel, wicerzecznik PiS, powiedział ostatnio, że pana „znakiem rozpoznawczym" jest krytyka Prawa i Sprawiedliwości. Może przesadza pan z tą krytyką?

JAN MARIA JACKOWSKI: To nie przesada czy krytyka dla krytyki, ale konsekwentne odwoływanie się do programu, idei i wartości, które uformowały obóz Zjednoczonej Prawicy. Taka postawa nie jest mile widziana przez kierownictwo tej formacji. Staram się, zresztą nie od dziś, reagować na zjawiska, które stoją niekiedy w ostrej sprzeczności z programem deklarowanym przez PiS. W 2019 r. nie kryłem się z krytyką po ujawnieniu przez media horrendalnych wynagrodzeń asystentek prezesa Narodowego Banku Polskiego. Rok później wskazywałem, jak niszczący dla polskiej wsi, dla rolników jest niesławnej pamięci projekt ustawy nazwanej „piątką dla zwierząt". Ostrzegałem przed skutkami forsowanego w niezwykłym pośpiechu pakietu ustaw Polskiego Ładu czy ustawami segregacyjnymi, które miały być antidotum na pandemię.

Okazuje się, że we wszystkich tych sprawach miałem rację. Odpowiedzią kierownictwa PiS jest ogłoszony poprzez kontrolowany przeciek do PAP zamiar usunięcia mnie z klubu Zjednoczonej Prawicy. Zamiast otwartej debaty, skutkującej korektą błędów, eliminuje się kogoś, kto pilnuje programu oraz zasad i standardów etycznych w życiu publicznym, które głosili nasi liderzy. Cóż, eliminowanie debaty i wszelkiej krytyki zawsze cechuje formacje schyłkowe. Do tego dochodzi zjawisko tzw. ekonomizacji postaw, to znaczy dla wielu polityków PiS program jest rzeczą wtórną, na pierwszym planie są osobiste korzyści. Przestrzegałem przed tym od lat. A że problem jest realny, potwierdziła to specjalna uchwała podczas ostatniego kongresu Prawa i Sprawiedliwości przeciwko nepotyzmowi, notabene kuriozalna, bo w niej dzieli się nepotyzm na „słuszny" i „niesłuszny", który jest napiętnowany.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Przyzwoitości nie da się zadekretować żadnymi uchwałami...

Oczywiście, że nie, ale ten krok pokazuje, jak bardzo prywata, nepotyzm i kolesiostwo rozpanoszyły się w obozie rządzącym.

Sprawa podsłuchów polityków i innych osób publicznych poprzez system Pegasus powinna zostać wyjaśniona czy skończy się jak zwykle tylko na medialnym szumie? Polskie doświadczenie polityczne każe być sceptycznym wobec działań projektowanej sejmowej komisji śledczej, która ma zbadać tę kwestię. W naszych realiach sejmowe komisje śledcze to przede wszystkim polityczny i medialny spektakl. Ich praca raczej nie przekłada się na poprawę jakości państwa.

Ta sprawa ma ogromną wagę, bo uderza w rdzeń naszej demokracji. Czym innym jest założenie podsłuchu komuś podejrzewanemu o popełnienie jakichś bardzo poważnych przestępstw bądź planowanie zamachów terrorystycznych, a czym innym instalacja szpiegowskiego oprogramowania w stosunku do osób niewygodnych dla władzy; oprogramowania, które daje pełen wgląd w czyjeś życie, w tym w sprawy prywatne.

Nie twierdzę, że sejmowa komisja śledcza jest najlepszym instrumentem do wyświetlenia tej sprawy. Zgodzę się z oceną, że praca tego rodzaju komisji to przede wszystkim spektakl, który odbija się kosztem merytorycznej pracy. Ale są inne narzędzia, można zwołać niejawne posiedzenie Sejmu w tej sprawie. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że kierownictwo PiS zbagatelizowało tę sprawę, zamiast skonfrontować się z nią zaraz po ujawnieniu przez agencję AP pierwszych informacji o podsłuchach Pegasusem przed świętami Bożego Narodzenia. Tak się nie stało, na początku były śmichy-chichy, dopiero po jakimś czasie prezes Kaczyński przyznał w wywiadzie, że polskie służby dysponują takim systemem i że to normalne.

Mam wrażenie, że w obozie władzy panuje przekonanie, że sprawa Pegasusa przyschnie, że da się ją zamieść pod dywan. Otóż nie. Ona nie przyschnie. Jeśli rządzący nie poradzą sobie z nią teraz, to z pewnością zrobi to za nich opozycja, kiedy tylko dojdzie do władzy. Poza tym wszystko na to wskazuje, że powstanie specjalna komisja śledcza w tej sprawie

w Parlamencie Europejskim, co będzie miało znaczenie dla opinii o państwie polskim na arenie międzynarodowej.

À propos rozliczeń. W amerykańskim Kongresie mówi się o powołaniu ponadpartyjnej komisji, która rozliczyłaby administracje prezydentów Trumpa i Bidena oraz inne instytucje federalne z działań podejmowanych w związku z pandemią koronawirusa. Czy podobny proces nie jest konieczny w Polsce? Skutkiem decyzji podejmowanych w okresie pandemii jest – jak się szacuje – ok. 200 tys. ponadnornatywnych zgonów, związanych z doprowadzeniem do systemowej niewydolności służby zdrowia, dziesiątki tysięcy zrujnowanych biznesów, zapaść systemu edukacji. Ktoś chyba ponosi odpowiedzialność za te decyzje?

Powiedzmy od razu, że to nie rząd ponosi odpowiedzialność za pandemię. Natomiast można i trzeba przeanalizować strategie przyjęte w Polsce w walce z pandemią.

Strategie w ocenie wielu lekarzy i naukowców głęboko dyskusyjne...

Zgoda, że dyskusyjne. Kluczową kwestią jest zapaść systemu służby zdrowia poprzez wprowadzenie do niego chorych mechanizmów organizacyjnych i finansowych, których skutkiem była całkowita koncentracja opieki zdrowotnej na zwalczaniu COVID-19 kosztem diagnostyki i leczenia innych chorób. W efekcie mamy te 180–200 tys. ponadnornatywnych zgonów i trudny do oszacowania dług zdrowotny, z którym przyjdzie nam się borykać jeszcze przez wiele lat.

Nie ma pan poczucia, że nie wykorzystaliśmy dziejowej szansy w postaci „otwartego okna historii", dobrej koniunktury geopolitycznej do zreformowania państwa? Zwycięstwa prawicy w wyborach parlamentarnych i prezydenckich w latach 2015–2020 dawały taką szansę...

Rzeczywiście ten model reformowania Polski, który był udziałem biało-czerwonej drużyny pani premier Szydło, po 2017 r. wyraźnie osłabł. W ostatnich latach doszło do dezintegracji obozu rządzącego, w którym są różne grupy i podgrupki, stawiające coraz dalej idące warunki oraz toczące walkę o wpływy i stołki. W takim środowisku coraz trudniej jest prowadzić spójną politykę, realizować reformy. Do tego dochodzą wyzwania w polityce międzynarodowej, którym nie potrafimy skutecznie sprostać. Widać wyraźny rozziew pomiędzy kierowaną na wewnętrzny rynek polityką suwerennościową, zgodnie z którą „nie damy sobie oderwać nawet guzika", a Realpolitik w relacjach z Unią Europejską. Największym grzechem polskiej polityki w tym obszarze jest brak konsekwencji. To przecież nie kto inny jak premier Morawiecki na szczycie Rady Europejskiej w lipcu 2020 r. podczas szczytu Rady Europejskiej zgodził się na mechanizm „pieniądze za praworządność". Z kolei na szczycie Rady Europejskiej w grudniu 2020 r. zgodził się na mechanizm uwspólnotowienia długu unijnego i prawa do nakładania przez UE podatków w krajach członkowskich, co jest milowym krokiem na drodze federalizacji Unii Europejskiej. A przecież PiS jest oficjalnie przeciwny temu procesowi i opowiada się za Europą ojczyzn.

To premier Morawiecki przystał na podniesienie unijnych celów emisji aż do 55 proc., pomimo dewastujących skutków tej decyzji dla polskiej gospodarki. Więcej, szef polskiego rządu zgodził się na zakaz rejestrowania samochodów spalinowych po 2035 r., na co nie zdecydowali się nawet Niemcy. Trudno nazwać tę politykę suwerennościową.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

OBIEKT BEZPIECZNY HIGIENICZNIE

POBYTY: Po COVID-19, Zdrowy Kręgosłup, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

tel. 54 416 70 00
www.podtezniami.pl
Pobyty: 14.02 - 27.02 oraz 27.02 - 27.03.2022r.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu
- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Turnus wielkanocny 14.04 - 19.04.2022r.

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 01e2b22e99

FOT. ADOBE STOCK/12 KREBEK

Bruksela chce złamać Polskę

Tomasz Rowiński

Za pomocą zasady warunkowości KE może chcieć wymusić na Polsce legalizację małżeństw jednopłciowych i akceptację przez nasze państwo adopcji dzieci przez takie pary

Gdy dziś czyta się komentarze i interpretacje, które pisano zaraz po unijnym szczycie z grudnia 2020 r., aż trudno uwierzyć, że polskie władze dały się tak łatwo rozegrać przez brukselskich decydentów i przedstawicieli rządu w Berlinie, który wtedy występował jako architekt kompromisu. Przypomnijmy, że porozumienie miało dotyczyć stosowania – a właściwie niestosowania – nowego unijnego rozporządzenia w sprawie warunkowości w zakresie praworządności oraz otwarcia drogi do ratyfikacji Funduszu Odbudowy (FO).

Sprawa FO i powiązanego z nim Krajowego Planu Odbudowy (KPO) to jedna z największych porażek Zjednoczonej Prawicy, ponieważ tych pieniędzy Polska ciągle nie dostała. Co gorsza, zasada warunkowości, na którą Polska się zgodziła, otwiera przed unijną biurokracją i jej politycznymi mocodawcami zupełnie nowe możliwości ograniczania suwerenności naszego państwa.

ILUZORYCZNY KOMPROMIS

Polska i Węgry zgodziły się podczas tamtego szczytu, że akceptują nowe rozwiązanie – znane dziś powszechnie pod hasłem „Pieniądze za praworządność" – dzięki temu, że dodano do niego „pozalegislacyjny" pakiet polityczny, zawierający obietnicę opóźnienia jego faktycznego wejścia w życie. Na tej podstawie rządy w Warszawie i Budapeszcie odstąpiły od zapowiadanego weta wobec unijnego budżetu na lata 2021–2027, a także umożliwiły rozpoczęcie ratyfikacji przez państwa unijne przepisów potrzebnych do realizacji FO. Gdyby ktoś nie pamiętał, dodajmy, że FO powstał w reakcji na sytuację ekonomiczną UE po latach pandemii.

Niemiecki portal Deutsche Welle (dw.com) tłumaczył wtedy sytuację polskiemu czytelnikowi głosem anonimowego dyplomaty, który miał być związany z procesem negocjacji pomiędzy Warszawą i Budapesztem z jednej strony, a Berlinem i Brukselą z drugiej strony. „Odsunięcie ryzyka cięć do co najmniej 2022 r. było postulatem Orbána, który wykorzystał Polskę do wzmocnienia swego stanowiska negocjacyjnego. Polska nie ma teraz trudnych historii z unijnymi pieniędzmi, ale to Orbán ma wybory w 2022 r. i co najmniej do tego czasu nie chce żadnych zakłóceń" – mogliśmy przeczytać. Wynegocjowana politycznie „deklaracja interpretacyjna" wydawało się, że wzmacnia te wątki treści rozporządzenia, na których zależy Polsce. To znaczy, że będzie ono stosowane wobec państw obiektywnie, niedyskryminacyjnie, a także bez wykraczania poza kompetencje UE. Szczególnie ten ostatni punkt wart jest zapamiętania, ponieważ dotyczy m.in. prawa rodzinnego.

Już w marcu 2021 r. pojawiło się jednak widmo problemów. Okazało się, że „kompromis" wynegocjowany w grudniu przez premiera Morawieckiego może okazać się iluzoryczny i to w najważniejszym dla Polski punkcie, dotyczącym przyszłych pieniędzy z FO. „Wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej (KE) Věra Jourová pracuje nad przyspieszeniem wprowadzenia rozwiązania, które pozwoli wstrzymać transfery środków z funduszu odbudowy po pandemii do państw, które nie przestrzegają tzw. zasady praworządności – Węgier i Polski" – pisał portal 300polityka.pl za Bloombergiem. „Będę forsowała rozwiązanie, które ewentualną karą obłoży pieniądze, które dopiero mają zostać przekazane, a nie te już rozdysponowane. To wielka zmiana, bo pozwoli nam na podjęcie działań jeszcze w tym roku" – powiedziała Věra Jourová w wywiadzie dla tego amerykańskiego medium.

Pod koniec kwietnia 2021 r. doszło do koalicyjnego kryzysu, PiS w doraźnej koalicji z Lewicą przegłosował ratyfikację FO, a krytykująca projekt Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry była przeciw. Jedno-

eprasa.pl 01e2b22e99

cześnie partia ministra sprawiedliwości wydała oświadczenie, które dziś możemy potraktować jako polityczne proroctwo. „Możliwość blokowania wypłat przez UE jest realnym narzędziem szantażowania Polski. Rodzi ryzyko wymuszenia decyzji w kwestiach, w których nie przekazaliśmy Unii kompetencji, a są wyłącznie naszymi wewnętrznymi sprawami". Wskazywano wtedy, że zagrożona może być suwerenność Polski nie tylko w zakresie sądownictwa, lecz także – pomimo wcześniejszych deklaracji – prawa rodzinnego. Co to oznacza? Choćby to, że za pomocą zasady warunkowości KE może chcieć wymusić na Polsce legalizację małżeństw jednopłciowych i akceptację przez nasze państwo adopcji dzieci przez takie pary.

Sprawa jest stosunkowo prosta, tak jak proste okazało się zablokowanie pieniędzy z FO w powiązaniu ze zmianami w sądownictwie. I stało się to pomimo tego, że Polska jest przecież jednym z gwarantów kredytów zaciągniętych przez UE na potrzeby FO i pieniądze się jej należą. Rozporządzenie o warunkowości ma kilka podstaw działania, są to m.in. wyroki Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, które – jak się okazało, przynajmniej w sporze z Polską – dla KE są ważniejsze niż zasada ograniczenia kompetencji. Teoretycznie instytucje unijne bowiem mogą działać tylko w zakresie prerogatyw przekazanych im w traktatach przez państwa członkowskie. W świetle nie tak dawnego blokowania dotacji dla samorządów, które przyjęły samorządowe karty rodziny – traktowane jako dyskryminacja praw mniejszości seksualnych – można się spodziewać, że kolejnym kierunkiem szantażu wobec Polski będą właśnie kwestie z zakresu prawa rodzinnego. Skoro udało się złamać polskie władze na poziomie samorządowym, to zapewne zostanie podjęta próba konfrontacji z władzami centralnymi.

W jaki sposób może się to stać? Za pomocą orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPCz), które także jest uwzględniane jako podstawa działania rozporządzenia o warunkowości w zakresie praworządności. Rozporządzenie ma chronić budżet, a UE nakazuje, by w ramach wydatkowania funduszy stosować zasady niedyskryminacji, pilnowanie niedyskryminacji jest zatem także rozumiane jako forma ochrony budżetu. Zasady niedyskryminacji są zaś interpretowane według reguł definiowanych przez agendę politycznego ruchu homoseksualnego i ideologów gender. Dotyczy to zarówno orzeczeń ETPCz, jak i zabiegów KE. W praktyce nie ma znaczenia, że ETPCz nie jest organem EU, ale Rady Europy, synergia ideowa jest tu oczywista.

W konsekwencji działania polskiego ustawodawcy czy orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego (TK), idące w kierunku np. kwestionowania orzeczeń ETPCz nakazujących Polsce wprowadzenie związków jednopłciowych i zakazujące sądom rejestracji takich związków, będą oceniane jako naruszające zasadę niezawisłości sędziowskiej. Dlaczego? Ponieważ orzeczenia te uniemożliwiłyby sędziom stosowanie prawa UE. W tym specyficznie rozumianej zasady niedyskryminacji, której stosowanie w rzeczywistości narusza zasadę nieingerencji UE w kwestie nieobjęte jej kompetencjami. Logika ta prowadzi do określonego celu – działania ustawodawcy czy TK będą oceniane jako naruszające zasady ochrony budżetu UE, co umożliwi blokowanie funduszy należnych Polsce. Plan wygląda następująco – jeśli Polska chce otrzymywać jakiekolwiek unijne środki, to musi podporządkować się ideologii oraz zrezygnować z tych elementów suwerenności, które wskażą unijni decydenci.

PRAWNY POLIGON

Mechanizm ten jest już ćwiczony w obszarze sądownictwa. TSUE orzekł brak niezawisłości Izby Dyscyplinarnej, w reakcji TK stwierdził, że prawo unijne może mieć pierwszeństwo ponad polskimi ustawami jedynie w dziedzinie przekazanych kompetencji. „Państwa członkowskie nie upoważniły organów Unii ani do domniemania kompetencji, ani do wyprowadzania nowych kompetencji z tych już istniejących" – tłumaczył Bartłomiej Sochański, sędzia sprawozdawca TK. Tymczasem to właśnie się dzieje. Jesienią 2021 r. wysocy przedstawiciele KE kilkukrotnie dawali do zrozumienia, że kwestionowanie przez Polskę „wyższości prawa unijnego" jest powodem, dla którego KE nie wydała zgody na wdrożenie polskiego KPO. Cóż, zasady bezpieczeństwa budżetowego nie są spełnione! Stosując taki mechanizm, można szantażować Polskę w dowolnym obszarze polityki wewnętrznej. Możliwość zaistnienia takiego scenariusza potwierdza Ministerstwo Sprawiedliwości.

W październiku 2021 r. przedstawiciele tego resortu zablokowali na posiedzeniu Rady UE w Luksemburgu unijne „Konkluzje dotyczące strategii UE na rzecz praw dziecka". „Dokument według Komisji Europejskiej ma stanowić podstawę do uruchomienia procesu legislacyjnego w zakresie uznawalności związków jednopłciowych w każdym kraju UE oraz uznawania adopcji przez nie dzieci i innych form uznawanego rodzicielstwa" – mówił wtedy wiceminister Sebastian Kaleta. W proponowanym dokumencie zamiast neutralnego określenia płci biologicznej użyto terminu „gender" oznaczającego płeć konstruowaną społecznie, pojawiły się postulaty inkluzywności płci kulturowej w wychowaniu, co oznacza zacieranie różnic pomiędzy płciami. Co więcej, konkluzje odwoływały się do dwóch radyklanych dokumentów – „Strategii Równości LGBTIQ 2020–2025" oraz „Strategii Równości Gender 2020–2025". „W przypadku niewdrożenia przewidzianych w nich rozwiązań konkluzje mogłyby zostać wykorzystane przeciwko Polsce do wstrzymania funduszy unijnych. Doszłoby do szantażu finansowego, tak samo jak w przypadku samorządów, które przyjęły uchwały w obronie rodziny" – napisało ministerstwo w wyjaśnieniu swojego stanowiska.

WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ?

To jednak nie koniec procesu, którego efektem ma być złamanie przez Polskę własnych, wypracowywanych przez lata i zakorzenionych w prawie naturalnym zasad prawa rodzinnego. Przed ETPCz toczy się dziewięć spraw przeciwko naszemu państwu dotyczących możliwości zawierania związków przez pary jednopłciowe w Polsce lub formalnego uznania takiego związku zawartego za granicą. Od kilku lat ETPCz przestał brać pod uwagę, w sprawach dotyczących związków homoseksualnych, nastroje panujące w tej kwestii w danym kraju. Można się zatem spodziewać, że ETPCz będzie chciał wymusić zmianę prawa w Polsce, a KE skrzętnie wykorzysta to do dalszej eskalacji napięcia z polskim rządem.

Na co liczą europejscy decydenci? Na to, że Polacy wybiorą pieniądze i wymuszą na rządzie zmiany w prawie lub zmienią rząd na taki, który wszystko zaakceptuje. Niestety, kwestie finansowe łatwo mogą wykrzywić perspektywę, w której opinia publiczna powinna oceniać tę sytuację. Trzeba wprost powiedzieć, że sytuacja Polski w ramach struktur UE zrobiła się naprawdę zła. Niestety, zawdzięczmy to także łatwowierności naszego rządu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

Oszust z Tindera

Agnieszka Niewińska

Bohater dokumentu Netflixa „Oszust z Tindera" wyłudził od kobiet nawet 10 mln dol. Po świecie jeździł z ochroniarzem, którym okazał się Polak. Piotr K. chce od serwisu odszkodowanie za pogwałcenie jego prawa do prywatności

Tinder to jeden z wielu portali randkowych. Tyle że tu nie trzeba wczytywać się w zawartość profilu, liczy się fizyczna atrakcyjność. Na Tinderze podstawą są fotografie. Jeśli ktoś wpadnie nam w oko, to przesuwamy zdjęcie w prawo, jeśli nie – w lewo. W przypadku, kiedy wybranej osobie my również wydamy się atrakcyjni, na ekranie pojawia się komunikat „It's a Match!", co umożliwia nam rozpoczęcie wirtualnej konwersacji.

Jedni w serwisie szukają miłości, inni przelotnego romansu, ale zdarzają się i tacy, dla których to sposób na zdobycie pieniędzy. Tak jak w przypadku bohatera głośnego dokumentu Netflixa „Oszust z Tindera", który w serwisie streamingowym zadebiutował 2 lutego i od razu wszedł do czołówki najchętniej oglądanych.

MIŁOŚĆ I PIENIĄDZE

Dokument opowiada historię trzech kobiet – Norweżki Cecilie Fjellhøy, Szwedki Pernilli Sjoholm i Holenderki Ayleen Charlotte – które padły ofiarą matrymonialnego oszusta Simona Levieva. Pochodzący z Izraela Leviev działał z rozmachem, oszukał kobiety z co najmniej siedmiu krajów na kwotę szacowaną na 10 mln dol.

Podawał się za syna izraelskiego biznesmena i miliardera Leva Levieva zwanego „Królem Diamentów". Siebie nazywał „Księciem Diamentów", twierdził, że jest prezesem rodzinnej spółki LLD Diamonds. Nawiązywał znajomość z kobietami na Tinderze, zapraszał je do luksusowych hoteli, na wystawne kolacje, zabierał w podróże prywatnym jetem, wysyłał imponujące bukiety kwiatów, deklarował miłość i obiecywał wspólne życie.

Toczyło się ono głównie na odległość, poprzez komunikatory internetowe, bo Leviev ciągle był w podróży służbowej, dopinał ważne interesy. Kiedy już zdobył względy kobiety, inscenizował niebezpieczną sytuację. Opowiadał, że wpadł w tarapaty, że jego życiu grozi niebezpieczeństwo, ścigają go bliżej nieokreśleni wrogowie. Twierdził np., że musi się ukrywać i chwilowo nie może używać własnych kart płatniczych, nie ma dostępu do kont. Prosił o możliwość korzystania z kart kredytowych poznanych kobiet. Te kupowały mu również bilety lotnicze do kolejnych miejsc, w których musiał się „ukrywać", zaciągały kredyty, by dostarczyć mu spore sumy w gotówce.

Leviev obiecywał, że wszystko spłaci. Na obiecankach się kończyło. Wystawiał co najwyżej czeki bez pokrycia i w ramach spłaty dawał „drogie" zegarki – jak się okazywało, bezwartościowe podróbki. Gdy kobiety dopominały się o zwrot pieniędzy, zaczynał im grozić.

OSZUST Z IZRAELA, OCHRONIARZ Z POLSKI

Okazało się, że w historii Simona Levieva jest i polski wątek. Leviev jeździł po świecie w towarzystwie rosłego ochroniarza nazywanego Peterem. Występuje on w dokumencie na zdjęciach i w filmach. Są to materiały wysyłane przez Simona Levieva poznanym w sieci kobietom lub nagrane przez nie podczas spotkań. Peter podróżuje z Levievem prywatnym samolotem, uczestniczy w hucznych imprezach, a także pojawia się na nich zakrwawiony – rzekomo pobity przez wrogów Levieva. Zdjęcia ochroniarza w karetce, na szpitalnym łóżku Leviev rozsyła rozkochanym kobietom. Te same wielu z nich.

eprasa.pl 01e2b22e99

FOT. NETFLIX

Ochroniarzem okazał się Piotr K. Za pośrednictwem adwokata poinformował, że o pojawieniu się w filmie w ogóle nie wiedział. – Do pana Piotra zaczęli dzwonić znajomi z informacją, że powinien obejrzeć film Netflixa. W tej chwili jego twarz zna cała Polska i spora część świata. Tymczasem nikt z producentów nigdy się z nim nie skontaktował, nie poprosił o zgodę na upublicznienie wizerunku, nie dał możliwości zabrania głosu – mówi mec. Joanna Parafianowicz, reprezentująca Piotra K. Dodaje, że jej klient nie utrzymuje kontaktu z byłym pracodawcą, więc od niego też nie słyszał o przygotowywanej produkcji.

Piotr K. od Netflixa domaga się 3 mln euro odszkodowania: 2 mln euro za doznaną krzywdę i 1 mln euro z tytułu braku możliwości dalszego wykonywania zawodu specjalisty ochrony osób i mienia. Mecenas Parafianowicz stosowne wezwanie w imieniu swojego klienta już przesłała do holenderskiej siedziby Netflixa. – Odpowiedzi jeszcze nie ma. Uzbrajam się cierpliwość i nastawiam na działania procesowe, chociaż sądzę, że sprawa zakończy się ugodą. To byłoby rozsądne rozwiązanie w sytuacji, w której Netflix pogwałcił prawo pana Piotra do prywatności, a zamieszczony w serwisie film nie spełnia w ogóle standardów dokumentu. Nikt z nas nie chciałby się znaleźć w podobnej sytuacji – podkreśla mec. Parafianowicz.

Jak mówi, Piotr K. o działalności Simona Levieva dowiedział się z filmu. – Mój klient zatrudnił się do ochrony biznesmena działającego w branży handlu diamentami. Wiedział, że jego pracodawca spotykał się z wieloma kobietami z wielu krajów, ale nie znał szczegółów tych znajomości. Zwłaszcza że posługuje się językiem angielskim w stopniu umożliwiającym jedynie podstawową komunikację – zaznacza adwokat.

Simona Levieva najpierw zdemaskował norweski dziennik „Verdens Gang", do którego zgłosiła się jedna z ofiar naciągacza. Dziennikarzom udało się potwierdzić, że Leviev działał wcześniej jako Shimon Yehuda Hayut i pod tym nazwiskiem oszukał kilka kobiet w Finlandii, za co został skazany. Po reportażu „VG" zdjęcia Levieva były w mediach wielu krajów świata. Pomimo tego był dla policji nieuchwytny. Do jego zatrzymania doszło ostatecznie dzięki zaangażowaniu jednej z poszkodowanych kobiet. Interpol aresztował Levieva na lotnisku w Atenach. Za przestępstwa popełnione na terenie Izraela został skazany na 15 miesięcy więzienia. Odsiedział pięć. Z jego aktywności w mediach społecznościowych wynika, że wrócił do luksusowego życia. Po premierze filmu Tinder zdecydował, że ma on dożywotni zakaz korzystania z portalu.

Sam zainteresowany wydał nawet oświadczenie. „Dziękuję za ogrom otrzymanego wsparcia. Podzielę się swoją historią w ciągu najbliższych dni, gdy znajdę sposób, aby opowiedzieć wszystko jak najlepiej i z szacunkiem dla siebie oraz osób zainteresowanych. Do tego czasu, proszę, miejcie otwarte umysły i serca" – napisał.

Tymczasem oszukane przez niego kobiety, które opowiedziały swoją historię w filmie Netflixa, wciąż spłacają długi, które zaciągnęły dla Levieva. W serwisie GoFundMe założyły zbiórkę pieniędzy. Na spłatę zadłużenia potrzebują 600 tys. funtów. „Pozostaniemy na zawsze wdzięczne, jeśli zdecydujesz się przekazać nam darowiznę. Wszystko, czego pragniemy, to powrót do normalnego życia" – napisały.

PRZEKRĘT STARY JAK ŚWIAT

Historia działalności Levieva jest spektakularna z racji międzynarodowej skali działania, spotkań w luksusowych hotelach, podróży prywatnym jetem i dużych kwot, na które oszukał poznane w sieci kobiety. Tyle że oszustwo matrymonialne to całkiem popularne zajęcie, także nad Wisłą. Wystarczy zajrzeć do doniesień policyjnych. W październiku policjanci zatrzymali 32-latka z Mikołowa. Zwodził poznaną w sieci kobietę, obiecywał wspólne życie i przez blisko rok pożyczał od niej pieniądze. Oszukał ja na 80 tys. zł.

W listopadzie w Gliwicach zatrzymano 30-latka, który przez portal internetowy nawiązał znajomość z 33-latką szukającą partnera. Długo korespondowali, potem spotykali się w realu. Mężczyzna zauroczył 33-latkę i wyciągnął od niej 54 tys. zł. Zatrzymany został w domu na oczach żony i dzieci.

Zatrzymania oszusta matrymonialnego podającego się za pułkownika Wojska Polskiego dokonali w ubiegłym roku dziennikarze programu „Alarm!". Mężczyzna przez wiele miesięcy uwodził kobiety na portalach randkowych, a po nawiązaniu relacji okradał i oszukiwał. Dla śledczych był nieuchwytny. Na randkę za pośrednictwem portalu randkowego umówiła się z nim reporterka „Alarmu!". Na amanta czekała wraz z ekipą telewizyjną i policją.

– Oszustwo matrymonialne hulało, hula i będzie hulać. To wynika z tego, że mężczyźni, bo najczęściej to oni są oszustami matrymonialnymi, wykorzystują kobiecą potrzebę bliskości, czułości, spotkania z partnerem – mówi psycholog społeczny prof. Zbigniew Nęcki. – Kiedy pojawia się w ich życiu ktoś, kto pięknie mówi, pocałuje, przytuli, to mózg się wyłącza, a serce podpowiada, że los wreszcie się do nas uśmiechnął. Wtedy interpretujemy zachowania tej drugiej osoby życzeniowo, a to jest śmiertelnie niebezpieczne. Nawet jeśli partner prosi o pieniądze czy samochód, to nie włącza się lampka alarmowa. Pragniemy sukcesu emocjonalnego, więc nie chcemy sprzeciwem burzyć tych miłych chwil. I trudno tu zaradzić, bo na zakochaną osobę ciężko wpłynąć. Wie to każdy, kto próbował dorastającemu dziecku zasugerować, że źle ulokowało uczucia. Mogę tylko poradzić paniom, żeby postawiły granicę. Kiedy są proszone o pieniądze, to w duszy powinien zabić dzwon, że nie o miłość tu chodzi – radzi prof. Nęcki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

Śmierć Króla-Ducha

Krzysztof Masłoń

Zmarł największy współczesny polski poeta. Odszedł człowiek, który dotarł do samego rdzenia polskości, wgryzł się w nią, a swoimi książkami wzniecił najważniejsze spory i dyskusje ostatnich dziesięcioleci. Nie ma już wśród nas Jarosława Marka Rymkiewicza

W całej swojej bogatej twórczości konsekwentnie poszukiwał Ducha Polski. I znajdował go: na ulicach Warszawy i bazarku w Milanówku, na Pojezierzu Suwalskim i niedalekich stamtąd Ziemiach Utraconych, na Wawelu i pod Belwederem. W dziełach swoich wielkich poprzedników, od Reja, Kochanowskiego i Skargi zaczynając.

Za życia stał się klasykiem, istniejącym jakby poza czasem mu danym, równie pewnie poruszającym się po sarmackiej Polsce, ojczyźnie cierpiącej pod zaborami i okupacją, jak po naszej współczesności. Stale towarzyszyli mu ci, których nie ma, niekiedy od dawna. To nie Maria Janion pierwsza powiedziała: „Do Europy – tak, ale z naszymi umarłymi", ale Jarosław Marek Rymkiewicz, który w napisanej na początku lat 80. książce „Juliusz Słowacki pyta o godzinę" stwierdził: „Rozmowa między żywymi a zmarłymi jest warunkiem istnienia, warunkiem życia naszych Wielkich Duchów. I jest warunkiem naszego istnienia".

Dlaczego? „Żyjemy o tyle, o ile zdołamy się skomunikować z naszymi zmarłymi: bo żyjemy tak, jak oni tego pragną, jak oni sobie życzą, jak oni nam każą. I oni, nasi zmarli, żyją o tyle, o ile zdołają skomunikować się z nami: bo żyją tak, jak my sobie życzymy, jak my pragniemy, jak my im każemy. Mówiąc inaczej: rozmowa między nami a naszymi Wielkimi Duchami jest niezbędnym i wystarczającym warunkiem istnienia naszej kultury".

Bezustannie upominający się o wolność poeta uobecniał pewną jej tradycję. Krzysztof Koehler, rozpoznając tego Rymkiewiczowskiego wolnościowego Ducha Polski, pytał kiedyś: „Dziś mówić Duchem? Dziś? Wydaje się to bezczelnością najwyższą: skandalem, rzec można. Tak. Rymkiewicz jest skandaliczny, jest kontrowersyjny, kanciasty, nieuładzony, zasługuje więc na procesy sądowe, ostracyzm, wzruszanie ramionami. Ale sądzę, że nieświadomie, co prawda, mają jednak rację ci, którzy czują jakiś lęk przed poetą".

A poeta powiadał: „Ja nie chcę być przerabiany na kogoś innego. Jak zechcę, to sam się przerobię i nie pozwolę się komuś innemu – jakimś komunistom – przerabiać na innego, niż jestem, Polaka. To jest teraz najważniejsze polskie pytanie: Czy Polacy pozwolą się przerobić na jakiś inny naród, czy będą żyli tak, jak sami chcą żyć. Jak zawsze tu żyli" – skonstatował już w 1993 r., co zostało

eprasa.pl 01e2b22e99

FOT. IGOR SMIRNOW/GAZETA POLSKA/FORUM

uwiecznione w wydanym przez PWN „Sporze o Polskę 1989–1999".

COŚ WAŻNIEJSZEGO NIŻ ŻYCIE

Wiersze Rymkiewicza nie były wolne od znanych od dawna lęków, obaw, przeczuć. „Nasze życie jak kolczaste druty / I dym biały ciągnie znad Workuty" napisał już przecież w wolnej Polsce. Ale bo też ta wolność niemal od początku wydawała się poecie niepewna, krucha. W wywiadzie, który z nim przeprowadziłem przed laty, mówił: „Nawet gdy nasze dzieje układają się dobrze czy przynajmniej jako tako – przynajmniej jak teraz – to nie należy zapominać, że w przyszłości czekają nas jeszcze różne dramatyczne przejścia, różne dziejowe okropności. To znaczy, nie należy się łudzić w sprawie polskich dziejów – tych, co nadejdą. Powstania warszawskie i listopadowe, X Pawilon w Cytadeli, Oświęcim, Katyń, Palmiry, szubienice Murawiewa Wieszatiela z 1863 roku, to wszystko należy do przeszłości, ale nie tylko. I żadna Unia Europejska, żadne NATO, żaden sojusz z Estończykami czy Łotyszami, żadna granica z Rumunią nie uchronią nas przed okropnościami dziejów, dzieje bowiem są krwawe i dzikie ze swojej istoty".

Sławna książka „Kinderszenen" (2008) mogła zaskoczyć tylko kogoś, kto w 1970 r. czytając tomik JMR zatytułowany „Anatomia", nie natrafił na wiersz „Andrzej Trzebiński". Pytałem poetę o ten jego utwór nawiązujący do egzekucji Trzebińskiego na warszawskim Nowym Świecie w listopadzie 1943 r.; utwór kończący się słowami:

A wy go wtedy postawcie pod murem
A wy mu wtedy mokry gips do krtani.

Rymkiewicz powiedział wtedy, że w tym zakończeniu zawarł „coś w rodzaju oskarżenia", ale nie tyle Niemców, ile „tych, którzy uważają, że ofiara Trzebińskiego była niepotrzebna i że zamordowanych bohaterów należy usuwać z pamięci narodowej, bo oni tę pamięć niepotrzebnie zatruwają i robią z Polaków ksenofobicznych wrogów całej ludzkości".

W tym pięknym wierszu złożył oczywiście Rymkiewicz hołd młodym poetom walczącej Warszawy, tym – powiadał – „chłopcom ze »Sztuki i Narodu«. Mówię: »chłopcom«, bo oni byli przecież niemal dziećmi. Ta ich dziecięcość w tajemniczy sposób łączyła się wówczas z wielkimi rzymskimi cnotami – z rzymską godnością oraz z rzymskim męstwem – i to budzi mój podziw i zachwyt. Podobnie myślałem też wtedy, gdy byłem młodym człowiekiem".

„Polska to jest coś takiego – powtarzał – za co dobrze i miło umrzeć". „Oni właśnie dlatego poszli się bić – tłumaczył – bo w szkole dowiedzieli się od Mickiewicza i Słowackiego, że Polska to jest coś, za co się umiera. Coś ważniejszego niż życie".

Powie ktoś: ależ to patetyczne! A ja odpowiem, cytując inny, dobrze znany wiersz Jarosława Marka Rymkiewicza:

Powiedzą że to patos – tu trzeba patosu
Ja tu mówię o sprawie odwiecznego losu.

I ZNOWU SĄ DWIE POLSKI

Cytat ten pochodzi, rzecz jasna, z głośnego wiersza „Do Jarosława Kaczyńskiego", który dziewięć dni po tragedii smoleńskiej poeta przesłał do redakcji „Rzeczpospolitej", w której wtedy pracowałem (inna to była redakcja niż ta, która teraz o śmierci poety informuje pod tytułem „Odszedł wyraziciel polskich podziałów"). Po publikacji z kwietnia 2010 r. zaroiło się od komentarzy, na ogół – najdelikatniej mówiąc – nieprzychylnych. Szczególne oburzenie legionu literackich pięknoduchów wzbudził dystych:

To co nas podzieliło – to się już nie sklei
Nie można oddać Polski w ręce jej złodziei.

Oczywiście i historyczny, i literacki kontekst utworu został przemilczany lub odczytany powierzchownie, co nawet skłoniło autora do skreślenia kilku uwag, które opublikował portal teologiapolityczna.pl. Podkreślił w nich – niczym nauczyciel wobec tępawych uczniaków – zawarte w wierszu odwołania do poezji Adama Mickiewicza. Te choćby:

I znowu są dwie Polski – są dwa jej oblicza
Jakub Jasiński wstaje z książki Mickiewicza

Polska go nie pytała czy ma chęć umierać
A on wiedział – że tego nie wolno wybierać

Dwie Polski – ta o której wiedzieli prorocy
I ta którą w objęcia bierze car północy

Dwie Polski – jedna chce się podobać na świecie
I ta druga – ta którą wiozą na lawecie

Ta w naszą krew jak w sztandar królewski ubrana
Naszych najświętszych przodków tajemnicza rana.

Jak można się było spodziewać, nic to nie dało. Najbardziej zaś narzekano na to, że oto poeta śmiał wkroczyć w dziedzinę polityki. Niechby już pisał dalej o swoich kotach i jeżach. Ale oto czegoż mu się zachciało? Że polityczne wiersze pisali wszyscy najwięksi polscy poeci, z Janem Kochanowskim na czele, było nieistotne. Poeci nie powinni pisać wierszy politycznych, bo poezja ma zupełnie inne przeznaczenie. W jednym z felietonów (te również pisywał, acz rzadko) w „Gazecie Polskiej" Rymkiewicz nadmienił wówczas, że nie zgadza się z tą opinią: „Nie zgodziłby się z nią też autor wiersza »Do Matki Polki«, nie zgodziłby się autor »Grobu Agamemnona«. Polityczność jest jedną ze sfer naszego życia – częścią życia. Wchodzenie w tę sferę jest dobrym prawem poezji, która jest dzieckiem życia – jego ukochaną córką. Gdyby poezji nie wolno było zajmować się życiem, przebywać w różnych sferach życia, czym mogłaby się zajmować i gdzie mogłaby przebywać? Poza życiem jest tylko nicość, musiałaby więc przebywać w nicości, zajmować się czymś takim czego nie ma".

ZNIKNIJCIE NAM Z OCZU

Niestety, taka właśnie literatura promowana jest wszystkimi siłami

eprasa.pl 01e2b22e99

pisarzy wyspecjalizowanych w literaturze rozporkowej (copyright Janusz Krasiński), krytyków nasładzających swoich kolegów – poetów i prozaików klinicznie niezdolnych do napisania czegokolwiek, co zaciekawiłoby czytelnika, za to świetnie orientujących się, na której półce życiowej spiżarni szukać konfitur, czy wreszcie literaturoznawców z tytułami profesorskimi prowadzącymi na uniwersytetach seminaria, na przykład genderystyczne. W jednym z pierwszych wywiadów, które przeprowadziłem z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem, opowiadał: „Kiedyś przeczytałem artykuł pani – nie podam jej nazwiska, bo nie chcę jej zawstydzać – która wywodziła, że istnienie literatury polskiej jest rzeczą nonsensowną, gdyż można przecież nauczyć się angielskiego i nad Wisłą czytać książki amerykańskie. Dyskusja z ludźmi pokroju tej autorki wydaje mi się jednak niepotrzebna, nie ma powodu jej wszczynać. Ludzi takich można tylko delikatnie poprosić, żeby stąd zniknęli. To właśnie im tu mówię. Wyjeżdżajcie stąd, zniknijcie nam z oczu. Zostawcie nam nasze polskie sprawy, damy sobie z nimi radę, bo to są nasze sprawy".

Nie zapominano mu takich słów. Gdy w 2105 r. otrzymał ważną dla niego ze względów osobistych, jako że młodość przeżył w Łodzi, Nagrodę im. Tuwima, dwie jurorki z gatunku tych, które zawsze wiedzą lepiej, ogłosiły votum separatum ze względu na narastające – ich zdaniem – w Polsce „tendencje nacjonalistyczne i antydemokratyczne" (czytaj: powodowane twórczością laureata). Swoją drogą w tym samym 2015 r. Jarosław Marek Rymkiewicz nie przyjął należnej mu, jak za przeproszeniem psu buda, Nagrody Literackiej m.st. Warszawy. W wydanym oświadczeniu stwierdził wówczas: „Dziękuję jurorom za uznanie dla mojej twórczości. Nie przyjmuję jednak nagrody. Nie chcę i nie mogę być laureatem nagrody, której patronuje Hanna Gronkiewicz-Waltz – ze względu na jej postępowanie po zamachu w Smoleńsku".

Grubo wcześniej, bo w 2003 r., nie przybył na uroczystość wręczenia mu przyznanej wtedy – co było sporą niespodzianką – za „Zachód słońca w Milanówku" Nagrody Nike (2003), w którym to tomie pomieścił m.in. głośny wiersz „Warszawa Śródmieście – Milanówek, godzina 23.42" z przerażającymi obrazami gazetowych fotografii trupów Rywina i Michnika.

W 2017 r. nagrodziliśmy Jarosława Marka Rymkiewicza naszą redakcyjną nagrodą Strażnik Pamięci FOT. BEATA CZARNECKA

Z wyraźną satysfakcją przyjął natomiast Rymkiewicz w roku 2008 Nagrodę im. Józefa Mackiewicza, którą otrzymał za wydane rok wcześniej „Wieszanie". Niewątpliwie także z uwagi na postać patrona tego wyróżnienia.

W redakcji „Do Rzeczy" czuliśmy się zaszczyceni, mogąc w 2016 r. nagrodzić Jarosława Marka Rymkiewicza Nagrodą Identitas za tom „Koniec lata w zdziczałym ogrodzie", a w roku następnym naszą redakcyjną nagrodą Strażnik Pamięci, przyznaną mu – przypomnę – „za całokształt twórczości ożywiającej i reinterpretującej polską historię". To wtedy, na uroczystości na Zamku Królewskim, laureat powiedział: „Polskość to jest straszna siła duchowa i to nie my ją wybieramy, bo nie możemy tu niczego wybierać. To ona nas wybiera…".

A wcześniej, bo w listopadzie 2015 r., uczestniczyłem w konferencji zorganizowanej w Poznaniu w związku z jubileuszem 80-lecia urodzin twórcy „Ulicy Mandelsztama". Po jej zakończeniu przenieśliśmy się do zamku w Kórniku na dalszą część obchodów, już z udziałem jubilata. I tam właśnie na pytanie o to, co – jego zdaniem – powinno ocaleć z literatury polskiej XX w., Rymkiewicz wskazał na Jana Lechonia, „wspaniałego mistrza polskiego zdania", i Bolesława Leśmiana, którego miłośnikiem był, rzec można, od zawsze. Ale też, raczej nieoczekiwanie, przywołał opowiadanie Stefana Żeromskiego „Rozdziobią nas kruki, wrony…", zastrzegając się zaraz, że trudno wyrokować o trwałości pisarskich dokonań. Sam zaczynał przecież jako wielbiciel Czesława Miłosza, dziś będąc jakże dalekim od tamtego entuzjazmu. – Literatura to bardzo ryzykowny zawód – podsumował.

GORSZĄCE LAMENTOWANIE

Gdy w podziemiu ukazały się jego „Rozmowy polskie latem 1983 roku", wzbudziły tak wielkie zainteresowanie, że z jednej strony otrzymał za nie Nagrodę Solidarności, a z drugiej wyrzucono go z pracy w Instytucie Badań Literackich, przy czym Jerzy Urban zrobił z niego wroga publicznego numer jeden.

Kiedy stwierdził, że prominentni redaktorzy „Gazety Wyborczej" są duchowymi spadkobiercami Komunistycznej Partii Polski, a przy tym dziećmi lub wnukami członków tej organizacji, która była skażona grzechem luksemburgizmu, „a więc ufundowana na nienawiści do Polski i Polaków", Adam Michnik poczuł się znieważony i prawnicy Agory pozwali pisarza do sądu. Co prawda, każdy maturzysta, który jako tako przykładał się do nauki, wie dobrze, że według luksemburgizmu Polska winna zniknąć z powierzchni ziemi, ale tu chodziło o coś innego. Nie o to nawet, że w wolnym, podobno, kraju stawia się przed sądem poetę, bo cóż, ma on takie same prawa i obowiązki jak każdy inny obywatel Rzeczypospolitej. W istocie problem tkwił w tym, czy w dzisiejszej Polsce jest miejsce dla Głosu Wolnego Wolność Ubezpieczającego czy nie.

Zarzucano Rymkiewiczowi ksenofobię, zaściankowość, wrogość wobec innych (w domyśle antysemityzm, co w stosunku do autora „Umschlagplatzu" z 1988 r. było wyjątkowo podłe), przypisywano skłonności endeckie (co już wskazuje na paranoję, gdyż pisarz endeków nie znosił!), a nawet przypisywano duchowe ojcostwo rodzimych skinów. Po tym, jak przyznał się, że uważa, iż „wszystko, co robi Jarosław Kaczyński, jest dobre dla Polski", uznano go za niepoczytalnego politycznego oszołoma. Pisarz nie dawał się wmanewrować w wyjaśnienia czy sprostowania, bo i tak okazałoby się, że jest wielbłądem, a po prostu kilkakrotnie dał do zrozumienia, że dla tych wszystkich, którzy wypuszczają w jego stronę zatrute strzały, jest on – podobnie jak w istocie bracia Kaczyńscy, a potem już sam Jarosław Kaczyński – celem zastępczym.

eprasa.pl 01e2b22e99

Bo naprawdę strzały te godziły w Polskę. Ci, którzy to robili (i robią), nienawidzili Polski, traktując ją z pogardą i obrzydzeniem, ale że nie mogli tego wyartykułować wprost, uciekali się do takich gierek. I podnosili jazgot, gdy np. poeta pisał wiersz po śmierci swojego prezydenta. Swojego, bo podkreślał, jak dumny był z Lecha Kaczyńskiego, gdy ten pojechał do Gruzji, by stamtąd odważnie powiedzieć, co myśli o ekspansjonistycznej polityce nowego rosyjskiego imperium. Nie krył też Rymkiewicz swojej satysfakcji, że w czasie pierwszych rządów PiS udało mu się „kątem oka, przez małą chwilę popatrzeć na Polskę, która będzie szczęśliwa".

I, jak mówił, gorszyły go lamenty, że „Polska jest mała, słaba, biedna, nic nie może i nic nie znaczy. To kretyńskie lamentowanie skutkuje tym, że młodzi ludzie, którzy go słuchają, mówią: Tutaj nie ma dla nas żadnej przyszłości, bo wszystko jest marne, podrzędne, źle zorganizowane, a ponieważ wszędzie indziej, a szczególnie w Ameryce, żyje się znacznie lepiej i rozumniej, to szybko stąd wyjedźmy i urządźmy się gdzie indziej, najlepiej właśnie w Ameryce. Otóż mnie to gorszy, zapewne ze względu na to, że jako historyk literatury obcuję ciągle ze wspaniałymi dziełami ducha polskiego, ale nie tylko dlatego. W moim przekonaniu Polska jest potężna, wspaniała, piękna i godna miłości".

ABSOLUT WOLNOŚCI

Uwielbiałem jego książki historycznoliterackie, jak najdalsze od typowo polonistycznych profesorskich nudziarstw, jako że tym, czym najbardziej kierował się Jarosław Marek Rymkiewicz w swoim pisarstwie, była ciekawość. To ona kazała mu np. w kończącej cykl „Jak bajeczne żurawie" książce pt. „Adam Mickiewicz odjeżdża na żółtym rowerze" (2018), w rozdziale poświęconym kałamarzom, atramentom i piórom, jakich używał poeta, zachodzić w głowę, jak Mickiewicz owe pióra zdobywał. „To jest od lat powód mojego wielkiego zaniepokojenia – wyznawał – czy pióra gęsie to było coś, co się wówczas kupowało w sklepie, czy coś, co się wyrywało z przypadkowego gęsiego ogona, a potem, po wyrwaniu, przycinało (ostrzyło) nożykiem". Ze „Wspomnień […] opowiedzianych najmłodszemu bratu" córki poety, Marii Goreckiej, wyczytał, że zajęciem Henryka Służalskiego było „temperować ojcu pióra, które doskonale przypadały do ręki". Lecz skąd je brał? „Czy Służalski – stawiał pytanie badacz – chodził do sklepu papierniczego czy szukał gdzieś na Batignolles podwórka, po którym spacerowały gęsi? Zakradał się, zaczajał i wpadał w sam środek gęgania? Widzimy go, jak ucieka, z gęsią pod pachą, ścigany przez francuskich policjantów w kierunku furtki przy rue du Boulevard". No, rozkoszne były lektury takich książek jak ta właśnie, jak „Żmut" (1987), jak „Juliusz Słowacki pyta o godzinę" (1982) czy „Aleksander Fredro jest w złym humorze" (1977).

Interesujące było to, że Rymkiewicz potrafił zachować dystans wobec twórców swoich ukochanych utworów. O Mickiewiczu wiedział pewnie wszystko i jeszcze trochę, protestował, gdy nazywano przy nim „Pana Tadeusza" najwybitniejszym polskim poematem czy w jakiś inny nadużywający przymiotników sposób: to jest arcydzieło i na tym koniec – mawiał, co nie przeszkadzało mu wzdychać: „O mon Dieu!" przy opisach nieracjonalnych działań romantycznego poety i jego wątpliwych zauroczeń, dziwactw i aberracji, szaleństw i fantasmagorii.

A niezrozumienie takich jego książek jak np. „Samuel Zborowski" (2010) brało się w dużej części z tego, że czytelnicy czy recenzenci traktowali go jako pisarza historycznego, a takim nie był nigdy. A że historia stanowiła jego pasję, to zupełnie inna sprawa. Choć w równym stopniu można by rzec przecież, że pasją Rymkiewicza była współczesność, żaden polski pisarz nie brał bowiem tak aktywnego i twórczego udziału w debacie publicznej jak on. Tyle że nazwanie go pisarzem politycznym byłoby kolejnym grubym błędem. Autor „Samuela Zborowskiego" najlepiej czuł się w I Rzeczypospolitej, w latach, gdy tworzył jego ukochany Jan Kochanowski, a rycerstwo – bo tak ze starodawna określał szlachtę – wszystkie te jego umiłowane podgolone łby realizowały swój ideał życia: życia w wolności. I to wolność była dla JMR absolutem, a w jego rozumieniu oznaczała ona niezgodę na to, co nas spotyka w sporze z losem, także pojmowanym metafizycznie.

KTO PRZEZ CIEBIE PRZECHODZI DO PUSTEGO DOMU

Śmierć wołała go, przywoływała... „Już mnie nie ma Już te wiersze nie moje / Już nad rzeką nad tamtą stoję" – pisał w 1993 r. w tomie „Moje dzieło pośmiertne". I w tym samym tomie: „Moje dzieło pośmiertne: trumna która gada / Wiersz który jest upiorem i na trumnie siada". Piętnaście lat wcześniej (tom „Thema regium") konstatował: „Już tam jestem a tu jeszcze bywam / Już się śmierci imieniem nazywam". A już w 1973 r. w wierszu „Do trupa" z tomu „Co to jest drozd" zastanawiał się:

Gdyś na oścież otwarty bramą jesteś komu
Kto przez ciebie przechodzi do pustego domu
Czyje palce na złotych leżą instrumentach
Lata nasze jak powódź Co jest w trzech odmętach.

W tym samym tomie napisał też słowa absolutnie wstrząsające: „.... wiersz mi się rozpada / Gadam wierszem O Jezu Albo mną ktoś gada".

Przypomnijmy: warunkiem koegzystencji naszej teraźniejszości z przeszłością jest uznanie podobieństwa między nami i Wielkimi Duchami. W ostatnim wywiadzie, którego udzielił dla „Do Rzeczy" po wydaniu tomu „Metempsychoza", poeta powiedział mi:

– Kiedyś, w młodości, zdawało mi się, że coś wiem – że świat, jego istnienie, da się wytłumaczyć, a więc i moje istnienie jest jako tako wytłumaczalne. Myślałem wtedy historycznie, nawet uprawiałem radykalny historyzm, byłem historykiem literatury i moje istnienie traktowałem jako fakt historyczny, tłumaczyłem je historycznie. To mi wystarczało. Teraz, jeśli coś wiem, to tylko to, właśnie tylko to, że odejdę stąd, nie rozumiejąc: po co tutaj przyszedłem, po co tutaj byłem? Nie widzę żadnego sensu w fakcie mojego pojawienia się na świecie i, co za tym idzie, nie widzę żadnego sensu w pojawieniu się na świecie każdego innego istnienia. Nie ma w tym żadnej konieczności, coś może być lub nie być i z tego bycia lub niebycia nic nie wynika. Ktoś powie, że to jest deklaracja radykalnego nihilizmu. Ale ja nie jestem nihilistą, bo pytam i domagam się odpowiedzi, a świat mi odpowiada – nie będziesz wiedział, bo właśnie takie jest twoje przeznaczenie. Jest więc tak, że z nas dwojga to świat jest nihilistą, a nie ja.

Mój Boże, kto teraz stawiać będzie podobne pytania? Miał rację Mateusz Morawiecki, pisząc po śmierci poety, że mieliśmy szczęście żyć w jego czasach. Cholerne szczęście. Jarosław Marek Rymkiewicz zmarł 3 lutego w wieku 86 lat. Coś boleśnie pięknego się skończyło.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

Piotr Gociek

Serial „Reacher" to jeden z największych sukcesów w dziejach serwisu Amazon

Nadchodzi mściciel

Mściciel zwykle przyjeżdża autobusem. To jego ulubiony sposób podróżowania. Tam, dokąd dojechać nie może (nawet Ameryka ma swoje białe plamy na mapie tamtejszych pekaesów), dojdzie na własnych nogach. Nie ma własnego domu, nie nosi ze sobą walizki czy plecaka. Śpi w tanich hotelach. To, czego potrzebuje, kupuje na miejscu: nowy T-shirt, szczoteczkę do zębów, czasem mapę. Niczego nie oczekuje, a już najmniej tego, że ktoś będzie wtrącał się w jego sprawy. Nie jest gadatliwy, woli słuchać i wyciągać wnioski.

Niektórzy uważają go za zwykłego włóczęgę, ale ten wędrowiec ma swoją przeszłość, i to nie byle jaką. Absolwent West Point, były major armii USA, były śledczy żandarmerii wojskowej, odznaczony Purpurowym Sercem, Srebrną Gwiazdą, Brązową Gwiazdą, Medalem za wzorową służbę. Wielki z niego chłop: 195 cm wzrostu, łapy jak bochny, ponad 100 kg twardych mięśni. Łapy (i rozum) idą w ruch, gdy ktoś krzywdzi niewinnych. Potem mściciel rusza w dalszą drogę. Nazywa się Jack Reacher, wymyślił go brytyjski pisarz James Dover Grant, publikujący pod pseudonimem Lee Child.

POZIOM ŚMIERCI

Wątpię, żeby powstał trzeci kinowy film o Reacherze – mówił Lee Child w wywiadzie dla »Do Rzeczy« (19/2018) – bardziej prawdopodobne są produkcje telewizyjne". Więcej szczegółów zdradzić nie chciał, ale rok później Amazon ogłosił, że szykuje serial wedle książek Childa. Pierwszy sezon już możemy oglądać, jest to ekranizacja pierwszej powieści cyklu zatytułowanej „Poziom śmierci". Serial nosi tytuł po prostu „Reacher". W tytułową rolę bystrego osiłka, legendy amerykańskiej żandarmerii wojskowej, obecnie samotnego wędrowca, wcielił się imponujący muskulaturą Alan Ritchson, wysyłając tym samym na emeryturę dotychczasowego Reachera, którym był nie kto inny, jak Tom Cruise.

Cruise zdążył zagrać wojskowego twardziela w dwóch filmach: jednym dobrym i jednym niedobrym. Pierwszy, „Jack Reacher: Jednym strzałem" (2012), był dziełem Christophera McQuarriego (zdobywca Oscara za scenariusz do „Podejrzanych"). Drugi – „Jack Reacher: Nigdy nie wracaj" (2016), nie wyszedł hollywoodzkiemu specowi od gładkiej rozrywki, Edwardowi Zwickowi. Fani powieści kręcili głowami z dezaprobatą – drobny, wciąż chłopięco uśmiechnięty Cruise nie był ich wymarzonym Reacherem.

Alan Ritchson jest tymczasem Reacherem idealnym: wielki jak Schwarzenegger, ale jednocześnie z inteligencją w oczach.

eprasa.pl 01e2b22e99

Kadr z serialu „Reacher"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Bez trudu wierzymy, że jest w stanie pobić sześciu osiłków, jak i w to, że dysponuje wiedzą, sprytem i intuicją. Mam dwa drobne zastrzeżenia: serialowy Reacher wydaje mi się nieco zanadto sympatyczny, z drugiej strony trzeba było umilić jego aparycję, bo inaczej dostalibyśmy po prostu ponuraka, który zabija. Zastanawiam się też, czy nie dostajemy w produkcji Amazona Reachera w wersji zbyt młodej – tak, wiem, że dba o siebie, ale długie lata wojskowej służby powinny chyba zostawić na nim trochę więcej śladów.

W „Poziomie śmierci" – czyli w pierwszym sezonie serialu – Reacher przybywa do miasteczka Margrave, gdzie natychmiast zostaje zatrzymany pod zarzutem morderstwa. Zbrodni oczywiście nie popełnił, ale komuś bardzo zależy na tym, żeby zrzucić na niego odpowiedzialność. Kłopotów przybywa: w więzieniu atakują go zbiry, tymczasem krwawe porachunki mają też miejsce w samym Margrave. Żeby rozwikłać zagadkę, Reacher sprzymierzy się z miejscową policjantką Roscoe (Willa Fitzgerald) oraz detektywem Finlayem (Malcolm Goodwin). Lee Child trzyma się kilku zasad, konstruując swoje powieści: zawsze mamy do czynienia z zagadką w zagadce. Prosta odpowiedź na pytanie „Kto zabił?" nigdy nie wyczerpuje tematu, w tle zwykle mamy do czynienia z konspiracją na wielką skalę – narkotyki, szpiegostwo przemysłowe, terroryzm, handel bronią, fałszowanie pieniędzy. Tropy często prowadzą poza granice USA (zresztą i sam Reacher ojczyznę czasem opuszcza). Niekiedy tych warstw jest więcej, zakręty fabuły naprawdę zaskakują, zwykle też – co widać zwłaszcza w późniejszych powieściach – autor stara się osadzić kryminalną intrygę w takich realiach, by wskazać też na jakiś istotny problem społeczny. W „Nocnej rundzie" na przykład chodzi o kryzys wywołany przez nadużywanie opioidowych leków przeciwbólowych w USA.

Wszystko to nie zdałoby się na wiele, gdyby nie postać głównego bohatera. To współczesny odpowiednik jeźdźca znikąd znanego z westernów: milczący anioł zemsty, sięgający po przemoc strażnik zasad. Wielka popularność tej postaci i powszechna akceptacja jego metod przez czytelników (teraz także przez widownię serialu) dużo mówią o kryzysie wiary w wymiar sprawiedliwości. Reacher się nie waha – jeśli trzeba okaleczyć – okalecza, jeśli trzeba zabić – zabija. Złe rzeczy powinny przytrafiać się tylko złym ludziom. Sam jest prokuratorem, sądem i katem. Ma dobre serce (i dobrze oczy, jak mówi mu policjantka Roscoe), sztukę dedukcji opanował niczym nowe wcielenie Sherlocka Holmesa, nie da się go kupić ani zastraszyć, a gdy przyjdzie do wymierzania kary, sam potrafi to zrobić z przerażającą skutecznością.

Doskonale zrozumieli to twórcy serialu, wszystkie te elementy znajdziemy bowiem w pierwszym sezonie „Reachera" – pierwszym, lecz na pewno nie ostatnim, bo już zamówiono drugi. Trzy dni po premierze okazało się bowiem, że jest to jeden z największych sukcesów Amazona – kilkadziesiąt godzin wystarczyło, by „Reacher" wskoczył do piątki najchętniej oglądanych seriali w dziejach serwisu. Jennifer Salke, szefowa Amazon Studios, określiła debiut serii słowem „fenomenalny".

W sprawie ciągu dalszego szczegółów na razie nie przedstawiono, ale gdyby trzymać się kolejności publikowania książek, to sezon drugi powinien być ekranizacją powieści „Umrzeć próbując" (wydano ją w Polsce także pod innym tytułem: „Uprowadzony"). Nie jestem jednak pewien, czy opowieść o fanatycznych freemanach z Montany będzie wystarczająco atrakcyjna, osobiście stawiałbym na powieści „Podejrzany" (nr 4) lub „Echo w płomieniach" (nr 5). A może będzie jeszcze inaczej? Kiedy w 2018 r. rozmawiałem z Childem o możliwym kształcie serialowej ekranizacji, mówił: „Zostawiam to fachowcom. Sądzę, że najprawdopodobniej skończy się to tak jak adaptacja powieści Michaela Connelly'ego o detektywie Boschu. Na potrzeby serialu skompilowano i skompresowano wątki z kilku różnych książek".

ZASKAKUJĄCA INTRYGA

Serial „Reacher" wyróżnia się na tle małoekranowej konkurencji swoją ostentacyjną staroświeckością. Nick Santora (twórca i showrunner) postawił na to, co było siłą powieści Childe'a: wyrazistego głównego bohatera, dobre dialogi, zaskakującą intrygę. Niczego na siłę nie zmieniał, nie unowocześniał, nie sięgał po jakieś nowe formalne chwyty. Pierwszy sezon idealnie nadaje się do oglądania metodą binge-watching, czyli za jednym zamachem, bez przerw. Niekiedy przerwy między odcinkami wypadają w środku sceny, klikamy na kolejny epizod i płynnie kontynuujemy przygodę. Child wiele pracy poświęcał też postaciom drugoplanowym – to także udało się w serialu ocalić. Odnotujmy, że Nick Santora sroce spod ogona nie wypadł, to człowiek, który pracował przy serialach „Rodzina Soprano", „Skazany na śmierć", „Skorpion" czy „Magia kłamstwa".

Sam pisarz został jednym ze współproducentów serialu, co jest dla niego powrotem do świata, który dobrze zna: zanim został autorem bestsellerów, przez ponad 20 lat pracował w brytyjskiej telewizji. Będzie miał w nadchodzących latach sporo czasu na opiekę nad serialem, bo pisanie chce rzucić – ostatnie powieści o Reacherze napisał wspólnie z bratem (Andrew Grant, znany pod pseudonimem Andrew Child), który niedługo ma zostać wyłącznym autorem serii. Ciąg dalszy zatem nastąpi – i w księgarniach, i w serwisie Amazon – co nie powinno nas dziwić. „Reacher to ma być postać mityczna, połączenie Robin Hooda i innych archetypicznych herosów" – opowiada Lee Child. Zawsze za takimi tęskniliśmy. A w wieku XXI tęsknimy bardziej niż zwykle.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Cień podejrzenia

★★★☆☆☆

SEZON 1
„W CIENIU PODEJRZEŃ" („SUSPICION")
WIELKA BRYTANIA 2021

wyst. Georgina Campbell, Elizabeth Henstridge, Kunal Nayyar

W luksusowym nowojorskim hotelu dochodzi do porwania syna szefowej największej firmy PR na świecie. Sprawcy pozostają nieuchwytni, ale opublikowali filmik z porwania, który stał się wiralem. Na nagraniu z hotelowej kamery widać, jak grupka ludzi w maskach członków brytyjskiej rodziny królewskiej pakuje do walizki zaskoczonego chłopaka. Do rozwiązania zagadki zabiera się agent FBI Anderson (Noah Emmerich, widzieliśmy go m.in. w serialu „Amerykanie"). Matkę porwanego gra Uma Thurman.

Tymczasem w Londynie troje podejrzanych trafia do aresztu. Marzący o lepszej pracy haker, panna młoda zabrana sprzed ołtarza, zgryźliwa wykładowczyni z Oksfordu. Czy to możliwe, by ta dziwna paczka miała coś wspólnego z porwaniem? Na pierwszy rzut oka są absolutnie niewinni, na drugi – każdy ma coś do ukrycia. Ale czy akurat porwanie? A nawet jeśli tak, to w jakim celu mieliby to zrobić? Nikt nie zażądał okupu. Może młody Newman już nie żyje? Jednocześnie obserwujemy łowy na wciąż wymykającego się służbom podejrzanego osobnika – Irlandczyk z przeszłością w armii i baza w Belfaście zostawiają za sobą krwawy ślad. Dlaczego tak śpiesznie mu z Nowego Jorku do Anglii?

„W cieniu podejrzeń" to brytyjska wersja izraelskiego serialu „Kfulim". Oryginał był politycznym thrillerem, bo chodziło o sprawę porwania ważnego irańskiego generała udającego się z wizytą do Moskwy. Intryga pozbawiona tej warstwy okazuje się mniej emocjonująca, a jej uaktualnienie (poczekajcie na apel od porywaczy) w kierunku „spraw ważnych dla świata" raczej naiwne. To, co dobre, dzieje się za sprawą aktorów. Świetna jest Angel Coulby jako detektyw Okoye prowadząca przesłuchania i zastawiająca pułapkę. Talent i charyzmę pokazuje Elizabeth Henstridge (podejrzana z Oksfordu), niespodzianką jest Kunal Nayyar w roli brodatego hakera (znamy go głównie jako Rajesha z sitcomu „Teoria wielkiego podrywu"). Reszta jest umiarkowanie emocjonująca – scenarzyści zbyt szybko porzucają ukochany przez Hitchcocka motyw „niewinni w opałach" na rzecz intrygi w stylu Ludluma skrzyżowanej z mało oryginalnym manifestem przeciw fake newsom. W Apple TV+ dostępne są już trzy odcinki, kolejne pojawiać się będą co piątek. ©℗

NOWE SERIALE: „MURDERVILLE"

Coś dla miłośników formatu „Spadkobiercy", w którym znane twarze komedii improwizują dialogi i dalsze zakręty fabuły. W „Murderville" obserwujemy wysiłki detektywa Seattle (Will Arnett), któremu w każdym odcinku zabójcę pomaga schwytać inna gwiazda. Goście (wcielający się w niedoświadczonego partnera starego wygi) nie dostają scenariusza, więc radzą sobie, jak potrafią. A potrafią wiele – w pierwszym sezonie oglądamy m.in. Sharon Stone, Conana O'Briena, Kumaila Nanjianiego („Dolina Krzemowa") czy Kena Jeonga (m.in. trylogia „Kac Vegas"). ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***sezon 1 „Murderville", USA 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Alan Taylor* ***„Wszyscy święci New Jersey" („The Many Saints of Newark"),*** *USA 2021*
- *seria 4* ***„Rozczarowani" („Disenchantment"),*** *USA 2022*
- *sezon 2* ***„Ciemna strona świata" („Trafficked with Mariana Van Zeller"),*** *USA 2021*

eprasa.pl 01e2b22e99

Poirot poczuł bluesa

KINO

Efekciarska wersja „Morderstwa w Orient Expressie" zarobiła swoje, więc producenci zapalili zielone światło dla „Śmierci na Nilu". Uproszczono fabułę, lecz całość jest po staremu bardziej melodramatyczna niż sensacyjna. Brytyjczyk Branagh zapewne potrafiłby zrekonstruować na ekranie świat, który ukształtował królową kryminału, jednak bądźmy szczerzy: za amerykańskie dolary trudno jest dziś nakręcić film neokolonialny, który nie dopieszczałby Murzynów, feministek i elgiebetów. Dla przykładu: Salome Otterbourne z pociesznej białej pisarki przepoczwarzyła się w czarnoskórą, twardą jak skała biznesowoman z branży muzycznej. Skoro o mniejszościach mowa, uczcijmy minutą ciszy aktora Hammera, podejrzanego o kanibalizm i inne bezeceństwa. Gra co prawda postać, której w oryginale nie uświadczysz, ale po wycięciu go z filmu intryga rozleciałaby się w drobny mak. Teraz może powtarzać za strapioną Linnet: „Jeśli się ma pieniądze, to nie ma się przyjaciół".

★★★☆☆☆
REŻ. KENNETH BRANAGH
„ŚMIERĆ NA NILU"
USA/WIELKA BRYTANIA 2021

wyst. Kenneth Branagh, Gal Gadot, Armie Hammer

A co z najlepszym detektywem świata? Gdy cały na biało spożywa kawę i ciasteczka, rozkoszując się widokiem piramid, można by sądzić, że nic się nie zmieniło. Błąd! Poirot – snob, bufon i gaduła – musi przepracować wojenną i sercową traumę. Mało tego, zostaje fanem bluesa, wygłasza samokrytykę, a na koniec zapomina języka w gębie. Czas umierać. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SZAMPAN I SWASTYKA

★★★★★☆
REŻ. BOB FOSSE
„KABARET" („CABARET")
USA 1972

wyst. Liza Minnelli, Michael York, Joel Grey

Nic nie wskazywało, że to będzie przebój. Filmowe musicale wychodziły z mody. Bob Fosse miał opinię lepszego choreografa niż reżysera, a jego kinowy debiut „Słodka Charity" przyniósł straty. Pozwolono mu nakręcić „Kabaret" dopiero wtedy, gdy odmówiło sześciu poważniejszych kandydatów. W obsadzie nie było gwiazd. Liza Minnelli stała się nią, gdy w duecie z Joelem Greyem zaśpiewała „Money, Money". Diabolicznego mistrza ceremonii Fosse chciał zresztą zagrać sam, lecz producenci zgłosili weto. Niemiecka dekadencja, opisana przez Anglika, pod batutą Amerykanina zyskała hollywoodzki sznyt. Oglądając – pół wieku po premierze – opowieść o przyjaźni poczciwego kryptogeja i roztrzepanej naciągaczki, nie doszukujmy się w niej historiozoficznych głębin. To tylko show, choć w najlepszym gatunku. „Kabaret" dostał osiem Oscarów, ale nie dla najlepszego filmu. Ten tytuł przypadł „Ojcu chrzestnemu".

TYP BEZ KOMÓRKI

KINO

★★★★★☆
REŻ. GIA COPPOLA
„KRÓL INTERNETU" („MAINSTREAM")
USA 2020

wyst. Andrew Garfield, Maya Hawke, Nat Wolff

Jak zostać sławnym i bogatym? Boomersi nie wiedzą. ale na szczęście trzecie pokolenie hollywoodzkiej dynastii uchyla rąbka tajemnicy. Trzeba być młodym, ale już zmanierowanym. Przebrać się za szczura lub karalucha, wyjść na ulicę ze sztucznym penisem lub urządzić melanż na cmentarzu. Last but not least – trzeba umieć nawijać makaron na uszy. Obrotny menedżer nie zawadzi, a kamerkę każdy ma w telefonie. Jeśli ma telefon. Żyjemy w epoce naturszczyków i demagogów, durne filmiki hulają w sieci, przykłady karier zbudowanych na haśle: „Jako jedyny mówię wprost" znamy z własnego podwórka. Niby wszystko się zgadza, jednak świat przedstawiony w „Królu internetu" jest płaski jak naleśnik. Co gorsza, unosi się nad nim dydaktyczny smrodek. Gia Coppola, zamiast prawić banały o buntownikach, kończących w objęciach mainstreamu i bażancim życiu influencerów, niech lepiej otworzy okno. ©℗

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „DELUXE SKI JUMP 2"

★★★★☆☆

Tak jak kiedyś nie oglądało się skoków, ale „oglądało się Małysza", tak gdy do Polski dotarł prosty symulator napisany przez fińskiego programistę nazwiskiem Jussi Koskela, nie grało się u nas w „Deluxe Ski Jump", ale właśnie „w Małysza". Powstawały później trójwymiarowe, ładniejsze, bardziej rozbudowane gry o skokach, ale żadna nie zyskała takiej popularności. Od niedawna „DSJ2" dostępna jest na urządzenia z systemem iOS i Android. Niemal niezmieniona, przestarzała (także jeśli chodzi o zasady punktacji w skokach), niezaktualizowana, niedostosowana do realiów drugiej dekady XXI w. (aż się prosi chociażby o multiplayer między urządzeniami) i... nadal piekielnie grywalna. Pamiętacie kolczyk Małysza? To ściągajcie i grajcie! ©℗

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Sportowa*
- ***Platforma:*** *iOS, Android*
- ***Producent:*** *Jussi Koskela*

eprasa.pl 01e2b22e99

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Cena bycia Polakiem

Wyjątkowy to pamiętnik, wyróżniający się na tle niemałej liczby wspomnień z lat wojny i okupacji. Tadeusz Neuman spisał go w 1947 r., relacjonując pięć lat swojej bezustannej ucieczki, zmian adresów, pobytów u ludzi, którzy godzili się go przechować. Był człowiekiem zamożnym, należał do stołecznej elity, przed wojną m.in. kierował Towarzystwem Starachowickich Zakładów Górniczych, był właścicielem domów i placów, posiadał akcje, liczne precjoza. Stopniowo wyzbywał się tego majątku, opłacając kolejne dni swojego życia. Spotykał w swojej wędrówce ludzi szlachetnych, ale i podłych. I jednych, i drugich wymienia po nazwisku, niczego nie generalizując.

Był etnicznym Żydem i jako takiemu okupant odmawiał mu prawa do życia. Ale był zarazem obywatelem II Rzeczypospolitej. Jako właściciel domu przy ul. Krasickiego wezwany został do złożenia wyjaśnień w jakiejś konfliktowej sprawie do gestapo. Udał się więc do gmachu przy al. Szucha, co – jak wspominał – „w końcu roku 1939 nie było jeszcze rzeczą tak groźną". Był to urząd jak każdy inny. W „urzędzie" tym na koniec rozmowy przesłuchujący zapytał go, czy nie jest Żydem. Odpowiedział: „Nie, jestem dyplomowanym inżynierem" i zaprezentował swój dyplom monachijskiej politechniki. Tak się „Niemiec zajął odcyfrowywaniem tego wspaniałego dokumentu, że zapomniał o swoim pytaniu i mojej głupiej odpowiedzi…". Ale zapamiętał też Tadeusz Neuman grubego gestapowca i stojącego przed nim na baczność mężczyznę o wybitnie semickich rysach, który najwyraźniej mu służył. A przywoływał tę scenę po to, by utrwalić fakt, że na początku okupacji w tym okrytym ponurą sławą budynku kręcili się Żydzi pełniący funkcje posługaczy czy zamiataczy. W pogłoski, że

FOT. Z PRYWATNEGO ARCHIWUM JOANNY BOJAŃCZYK

ma w Warszawie stanąć getto, nie chciano wierzyć. A kiedy 1 grudnia 1939 r. wydano zarządzenie o obowiązku noszenia białej opaski z niebieską gwiazdą Dawida na prawym ramieniu, autor pamiętnika, jego żona i syn nie przyjęli tego przepisu do wiadomości, stojąc na stanowisku, że „Żydami nie jesteśmy, a pojęcie »nie-Aryjczyk« nie było zdefiniowane". Konsekwentnie nazywał siebie właśnie „nie-Aryjczykiem". Po rozkazie płk. Umiastowskiego, by wszyscy niezmobilizowani mężczyźni między 18. a 50. rokiem życia udali się na wschód, gdzie trafią do wojska, opuścił Warszawę. Myślał wtedy tylko o jednym: „Jak stać się pożytecznym dla Polski, do której tak głęboko jestem przywiązany". Polskość była dla niego oczywista; pewnie miało też znaczenie to, że w latach międzywojennych przyjął chrzest i przeszedł z judaizmu na katolicyzm.

Głęboko wzruszają ostatnie zdania tego niezwykłego pamiętnika. Opowiada w nich Tadeusz Neuman, jak po tym, gdy 17 stycznia 1945 r. „wojska czerwone" zajęły Milanówek, gdzie się ukrywał, natychmiast postanowił wrócić do Warszawy. Odnotował zupełny brak życia w samym centrum stolicy. Widok spalonych domów był porażający. Obawiając się, że na noc zostanie sam na tym pustkowiu, przedostał się za Wisłę. „Cywile – pisał – nie mogli tego dnia przeprawiać się przez most, więc próbowałem przejść przez lód. Mróz był silny i całe koryto rzeki pokryte było zwałami lodu i śniegu. Po chwili byłem na rondzie Waszyngtona…". Dotarł do swego domu przy ul. Berezyńskiej, gdzie przywitał się ze znajomymi. Wreszcie poczuł, „że nie jestem gorszy od wszystkich innych, że znów mam wszelkie prawa przysługujące każdemu Polakowi".

Tadeusz Neuman dożył 1962 r. Jego zawodowe doświadczenie i znajomość języków obcych wykorzystało Ministerstwo Przemysłu, powierzając mu negocjacje kontraktów zagranicznych. Dotknęła go jednak jeszcze jedna tragedia. Siedem lat po wojnie jego jedyny syn zginął wraz z żoną w Tatrach, podczas śnieżycy. Z najbliższej rodziny pozostała mu tylko wnuczka, którą odwiedzał co tydzień w Milanówku i zabierał na spacery. Tamtą małą dziewczynką była nasza koleżanka redakcyjna Joanna Bojańczyk. To dzięki staraniom jej i jej bliskich rękopis pamiętnika został teraz wydany, wraz z fotografiami ze zbiorów rodzinnych, drzewem genealogicznym Neumanów i Goldfederów (żona Tadeusza Neumana, Zuzanna z Goldfederów, aresztowana przez Niemców w 1943 r., została rozstrzelana, prawdopodobnie na Pawiaku) i lakonicznymi, ale znakomitymi przypisami uzupełniającymi czy wyjaśniającymi niektóre miejsca narracji autora, który w najtrudniejszych nawet chwilach okupacyjnej nocy, przy całym hitlerowskim terrorze i w przerażającej atmosferze zaszczucia pozostał – jak pisze we wstępie do „Oficjalnie nie figuruję" Marta Janczewska – człowiekiem wewnętrznie wolnym.

Wartości tej książki niepodobna przecenić. ©℗

★★★★★★

TADEUSZ NEUMAN „OFICJALNIE NIE FIGURUJĘ. PAMIĘTNIK 1939–1945"
ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 01e2b22e99

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Płomienie

Opowiadaliśmy o tej książce niedawno w Polskim Radiu 24. Wkrótce po zakończeniu audycji „Posłowie" (prowadzimy ją z Łukaszem Orbitowskim) do mojej skrzynki e-mailowej trafił list od jednej ze słuchaczek. „Po wojnie w Bośni »Sarajewskie Marlboro« to była największa duma dla Bośniaków. Mieszkałam jakiś czas w Sarajewie osiemnaście lat temu. Mój nauczyciel bośniackiego, facet o aparycji ochroniarza z klubu nocnego, przyniósł tę książkę na lekcję z takimi emocjami, że do dziś pamiętam" – napisała pani Olga, którą niniejszym serdecznie pozdrawiam.

Pisanie ma sens, literatura ma moc, książki mają znaczenie, szkoda, że przypominamy sobie o tym głównie w sytuacjach ekstremalnych. Miljenko Jergović, chorwacki Bośniak wychowany w Sarajewie, napisał książkę, której streścić i opowiedzieć się nie da. Kilkadziesiąt krótkich opowiadań, migawek z rozdartego wojną miasta to portrety ludzi, przedmiotów, chwil. Jest w tym pisaniu moc, jak w zdjęciach wojennego fotoreportera, którym brak czasem technicznej doskonałości, lecz w zamian widzimy prawdę. Wydana w 1994 r. książka dopiero teraz ukazuje się po polsku w całości, wcześniej pojedyncze opowiadania pojawiały się w prasie, a także w innej książce Jergovicia („Drugi pocałunek Gity Danon").

Pyta Amerykanin autora/narratora, jak to się stało, że skończył w oblężonym Sarajewie. „Ja tutaj nie skończyłem, ja tu się urodziłem – brzmi odpowiedź – i nie daj Boże, żebym wyzionął ducha gdzieś daleko stąd, gdzie nie ma człowieka, dla którego coś bym znaczył, gdzie nie wspomniałby mnie pies z kulawą nogą". A tajemnicze sarajewskie Marlboro? Jest białe. Karton na paczki papierosów taki pozostaje, bo nie ma gdzie go zadrukować. Wojna. Sam karton też dziwny, bo to recykling, więc wewnątrz paczki widać „fragment plakatu filmowego, reklamy butów czy obrazka z mydła dla dzieci". Nawet kawałki prawdziwego pudełka Marlboro, ale wydrukowanego przed wojną. Wojna miele wszystko, a my z tej miazgi sklejamy życie na nowo.

Literatura ocala, ale książki płoną. Pali nimi w piecu przemarznięty mieszkaniec Sarajewa. Ogień gaśnie. „Z wygaśnięciem iluzji biblioteki domowej wygasa też iluzja cywilizacji książki" – pisze Jergović. Za oknami płonie tymczasem sarajewska biblioteka. Jaka iluzja dogaśnie, gdy płomienie zamienią się w popiół? Pytam w dniach, gdy o ogniu w Sarajewie pamięta mało kto. A ogień w Kijowie wybuchnąć może w każdej chwili. ©℗

★★★★★☆

MILJENKO JERGOVIĆ „SARAJEWSKIE MARLBORO" WYDAWNICTWO AKADEMICKIE SEDNO 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Słynny zbiór esejów i tekstów drobniejszych Wittlina wydany oryginalnie na emigracji w 1963 r. – teraz po raz pierwszy w edycji krytycznej z obszernymi przypisami. Opracowanie: Katarzyna Szewczyk-Haake.

JÓZEF WITTLIN „ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU" INSTYTUT LITERATURY

Sąsiedztwo niby bliskie, ale wiemy o sobie niewiele: mieszkający w Polsce autor przygląda się tysiącletniej historii relacji polsko-szwedzkich z punktu widzenia Szweda, ale z miłością do naszego kraju w sercu. Fascynujące.

HERMAN LINDQVIST „PRZEZ BAŁTYK" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

„Refleksje o śmierci zwierząt domowych" (podtytuł) to tak naprawdę pełna taktu i miłości opowieść o specyficznej więzi, którą gatunek ludzki nawiązał z psami i kotami. Nie trzeba antropomorfizować, by poczuć wzruszenie.

JEFFREY MOUSSAIEFF MASSON „KIEDY ODCHODZI PRZYJACIEL" RELACJA

Autor świetnej pozycji non-fiction „Grzechy Paryża Północy. Mroczne życie przedwojennej Warszawy" przekuwa swą obszerną wiedzę historyka w mroczny kryminał z wątkami politycznymi. Witajcie na Polesiu w 1937 r. ©℗ ***Piotr Gociek***

PAWEŁ RZEWUSKI „SYN BAGIEN" WYDAWNICTWO LITERACKIE

KOMIKS TYGODNIA: „PIEŚŃ O RENARCIE"

Mistrzowska interpretacja wątków ze słynnej „Powieści o lisie", czyli zbioru anonimowych francuskich opowieści z XII i XIII w., których bohaterem jest Lis Przechera Renart. Pojawiają się więc obok m.in. jego przyjaciel/wróg wilk Isengrim i jego romansująca z Renartem żona. Jako że mamy do czynienia z interpretacją bardzo swobodną, ujrzymy też m.in. czarodzieja Merlina czy Marię z Francji (pierwszą francuską pisarkę). Wyszła z tego historia rubaszna, zabawna i niekoniecznie pouczająca, bo kłamca, złodziej i cudzołożnik Renart wzorem cnót wszelakich nie jest. Za to okpić potrafi samą śmierć – co zawsze godne jest uwagi. ©℗ ***Piotr Gociek***

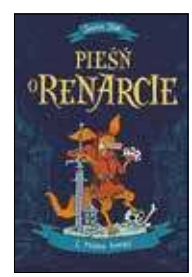

JOANN SFAR „PIEŚŃ O RENARCIE", TOM 1 TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2022

eprasa.pl 01e2b22e99

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Z Wawelu do Lublina

Wiele z tych królewskich skarbów praktycznie nigdy nie opuszcza Wawelu, możliwość obejrzenia ich na wystawie w Lublinie jest więc prawdziwą okazją. Która nie potrwa długo, bo zbliżamy się do finisażu wystawy „Z Wawelu do Lublina. Skarby z królewskiego dworu. Wystawa ze zbiorów Zamku Królewskiego na Wawelu et non solum".

Do zamku w Lublinie przyjechały z Krakowa królewskie pamiątki, przedmioty osobiste i dary. Wśród nich są ofiarowana Zygmuntowi III szachownica czy złoty łańcuch z grobu jego żony – Konstancji Austriaczki. Są elementy dekoracji wnętrz z barokowym zapleckiem tronu z herbami Władysława IV Wazy, są arrasy z kolekcji zamówionej w Brukseli przez Zygmunta Augusta. Zobaczyć też można największą i najcenniejszą staropolską monetę – studukatówkę Zygmunta III. Są przykłady malarstwa i rzeźby, a także artystycznego rzemiosła, m.in. klejnoty, złotnictwo, meble, numizmaty, oprawy ksiąg z królewskimi superekslibrysami, zegary, broń, kobierce, hafty. A wszystko to – jak zachęcają kuratorzy – tworzy panoramę przemian stylowych, których inicjatorami byli kolejni monarchowie. ©℗

FOT. DOROTA AVWORKO/MNWL

GDZIE? ***Muzeum Narodowe w Lublinie***
KIEDY? ***do 27 lutego***

FOT. CENTRUM HISTORII ZAJEZDNIA

MACHINY LEONARDA

Sześć tysięcy stron zapisków, szkiców, pomysłów, w tym koncepcji najróżniejszych machin – na bazie tej spuścizny po jednym z najbardziej niezwykłych umysłów w dziejach ludzkości powstała wystawa „Machiny Leonarda da Vinci". Zobaczymy rekonstrukcje machin, które wyprzedzały swoją epokę, a które były inspiracją dla konstruktorów żyjących wiele lat po śmierci da Vinci. Na wystawie są także repliki obrazów renesansowego mistrza. ©℗

GDZIE? ***Centrum Historii Zajezdnia, Wrocław, ul. Grabiszyńska 184***
KIEDY? ***do 15 maja***

Niekoronowany król

Odszedł Zbigniew Namysłowski, jeden z najwybitniejszych polskich jazzmanów.

Urodził się 9 września w pociągu, którym rodzice uciekali z płonącej Warszawy do Wilna. Rodzice zginęli w czasie okupacji, więc wychowywała go babka Julia Żeromska, która zadbała o jego gruntowną edukację muzyczną. Zbyszek ukończył średnią szkołę muzyczną w klasie fortepianu i wiolonczeli. Na fali odwilży porwał go jazz i zaczął grać na... puzonie w zespołach dixielandowych.

Błyskawicznie stał się jedną z czołowych postaci rodzącej się sceny muzycznej. Jeszcze jako nastolatek wystąpił na drugim festiwalu jazzowym w Sopocie i na pierwszym koncercie jazzowym w warszawskiej Filharmonii Narodowej. Jako członek formacji Polish All Stars wziął udział w 1959 r. w pierwszym wyjeździe polskich jazzmanów do Europy Zachodniej. Trzy lata później wraz z zespołem The Wreckers Andrzeja Trzaskowskiego grał na prestiżowym festiwalu Newport '62 w Stanach Zjednoczonych. Jako członek tej grupy znalazł „swój" instrument – saksofon altowy – i, co równie ważne, porzucił jazz tradycyjny dla modern jazzu.

Zbigniew Namysłowski nagrał swój debiutancki album „Lola" w 1964 r. w Wielkiej Brytanii! Wydała go wytwórnia Decca (wydawca m.in. The Rolling Stones). Płyta nie odniosła na Zachodzie sukcesu, choć została opublikowana w Nowej Zelandii. Po latach, na portalu Discogs, album osiągnie cenę 399 funtów.

W 1969 r. saksofonista gościł na sesji nagraniowej swego rówieśnika – Czesława Niemena. Efektem był przełomowy dla polskiego rocka album „Niemen Enigmatic" z suitą „Bema pamięci żałobny rapsod".

Lata 70. to najlepszy okres w karierze Namysłowskiego. W odróżnieniu od swoich kolegów jazzmanów nie wkracza ani w sfery free jazzu (Tomasz Stańko), ani jazz rocka (Michał Urbaniak). Tworzy natomiast autorską wersję słowiańskiego jazzu, w której elementy muzyki ludowej odgrywają znaczącą rolę. Nagrywa albumy „Winobranie" (1973) i „Kujaviak Goes Funky" (1975), które na długie lata wyznaczą drogę polskiego jazzu. W plebiscycie „Polski Jazz – Top Wszech Czasów", zorganizowanym z okazji 50-lecia magazynu „Jazz Forum", płyty te zajmują odpowiednio drugie i trzecie miejsce.

W ślad za Michałem Urbaniakiem Namysłowski w 1978 r. wyrusza do USA. Niestety i tym razem zachodnia kariera „nie wypala". Po dwóch latach i wydaniu jednego albumu wraca do kraju. W Polsce czuje się dobrze, jego muzyka cieszy się uznaniem oraz inspiruje kolejne pokolenia.

Mimo posiadania wielkiego autorytetu on sam nie wybijał się na pierwszy plan. Jego przyjaciele podkreślają, że miał dystans do siebie i niebywałe poczucie humoru.

FOT. ADAM BRZOZA/FOTONOVA

Są to cechy rzadko spotykane wśród artystów. Może dlatego z wielką łatwością nawiązywał kontakt z młodymi muzykami i wielu z nich zawdzięcza mu udany początek własnych karier, choćby Leszek Możdżer i Krzysztof Herdzin.

We wspomnianym plebiscycie magazynu „Jazz Forum" Zbigniew Namysłowski został uznany za trzeciego najwybitniejszego polskiego jazzmana w historii. ©℗

Grzegorz Brzozowicz

eprasa.pl 01e2b22e99

Rodzina, ach, rodzina

Krzysztof Masłoń

FOT. ADOBE STOCK

Życie rodzinne ma z pewnością swoje uroki, ale wymaga kilku przynajmniej telewizorów. Na razie instaluję trzeci, dziwiąc się, jak długo wytrzymywałem z dwoma. Stałych domowników można wprawdzie spacyfikować, a to szantażem, a to korupcją. Co jednak począć z familiantami, którzy nie bacząc na pandemię, postanowili złożyć wizytę, na nieszczęście przedłużającą się w nieskończoność? W skrócie wygląda to tak, że niczego do końca obejrzeć się nie da, dajmy na to – pasjonującego finału Australian Open trwającego, bagatela, pięć godzin z okładem, bo ukochaną wnusię roznosi przedłużająca się nieobecność na ekranie „Ciekawskiego George'a", szczeniaków z „Psiego Patrolu" czy innej cholery; żona dopomina się bez skutku o dwa tysiące pięćset sześćdziesiąty któryś odcinek „Barw szczęścia", a tu wyraźnie goniący w piętkę kuzyn zaśmiewa się, oglądając „Misia" (podejrzewam, że to jedyny film, jaki w końcu zrozumiał), to znów cioteczka przymierza się do Apelu Jasnogórskiego. No horror.

Z młodzieżą mniej kłopotów, bo każde wślepi się w komputer i pochłania produkcje Netflixa, ale przeszkadzają im małe ekrany. A kiedy w przypływie miłości bliźniego oddaję im pilota, odmawiają ze łzami w oczach, bo oglądanie telewizji jest, ich zdaniem, passé. Jakby gapiąc się w swoje kompy, robili co innego.

Programy polityczne oczywiście nie wchodzą w grę. Nie mówię o „Szkle kontaktowym" czy „W tyle wizji", bo ten problem mamy już dawno za sobą. W końcu możemy sobie skakać do oczu bez pośrednictwa medialnych funkcjonariuszy. Poważny problem istnieje jednak z doinformowaniem, bo nawet serwis wiadomości w takim, na przykład udającym neutralność polityczną Polsacie strach oglądać, bo a nuż niczym diabeł z pudełka wyskoczy jakiś Sikorski czy Schetyna i cały dzień trzeba spisać na straty.

Powie ktoś, ten to ma zmartwienia! Wykasuj, człowieku, z pilota niebezpieczne programy, rodzinie włącz programy rozrywkowe i będzie cacy. Ale na litość boską, ile razy i na ilu programach jednocześnie można oglądać „Hity polskiego kabaretu", które hitami nie były nawet wtedy, gdy je nagrywano, a było to gdzieś na przełomie wieków. Każdy wprawdzie powspominać lubi, a i łezkę uronić przy okazji, ale te perły humoru są za młode na łzy, a za stare na śmiech. Telewizję publiczną zaś należy omijać i z tego powodu, że w masie rzekomo premierowo nadawanej rozrywki na okrągło puszcza „Sylwestra Marzeń". Dobrze chociaż, że w ostatnim spędzie Dwójki pod Tatrami zabrakło Viki Gabor, która tym razem śpiewała z Polsatem, bo internauci narzekają, że 14-latka zaniedbuje naukę kosztem estradowej kariery. Co, swoją drogą, młodsza część mojej familii przyjmuje ze zrozumieniem. Ale Zenka Martyniuka ani Radosława Liszewskiego nie chce słuchać. Ciekawe dlaczego? Chłopaki obowiązek szkolny mają już dawno za sobą.

Olimpiada w najlepsze, i to jest jakieś rozwiązanie, ale trudno wiekowej ciociuni tłumaczyć zasady short-tracku czy curlingu. Czy ze spokojem wytrzymywać natrętne dopytywanie się kuzyna, jak tam nasi dają sobie radę? Można zaeksperymentować z kanałami obcojęzycznymi, w realizacji jednak okazuje się to kłopotliwe. Programy niemiecko- i rosyjskojęzyczne nie wchodzą w grę z powodów zasadniczych. Francuskiego córka uczyła się w liceum, ale bez specjalnych efektów. Włoszczyzny mamy ostatnio dosyć na stole i tego będzie dość. Zresztą ciotka żadnych języków obcych nie posiada, a kuzyn i polskim słabo włada, za to mądrzy się, narzekając na poziom tłumaczeń. Żeby pogodzić wszystkich, włączyłbym jakiś przyrodniczy program w rodzaju „Hustlera", ale baby zaczną krzyczeć o Sodomie i Gomorze, a ciotka jak przyssie się w Stopklatce do powtarzanej tam „Plebanii", to nie popuści.

W takiej sytuacji należy się udać do Canossy i z fałszywym uśmiechem na ustach zafundować wszystkim jeden z teleturniejów. Albo, ostatecznie, „Nasz nowy dom", na który trafimy bez kłopotu, bo jakoś zawsze nadaje go któryś z kanałów Polsatu. Godna polecenia jest też ramówka czegoś, co nazywa się HGTV, bo w nim remonty odchodzą na okrągło, konkurując jedynie z prognozą pogody. „Kuchennych rewolucji" nie polecam, bo z czasem wywołują odruch wymiotny i u panów, i u pań. Te drugie za to zapatrzą się zapewne w telewizję TLC z jej „Sukniami ślubnymi dla puszystych" czy „Kilogramami do szczęścia". Komentarzy nie musimy słuchać. W tym czasie wyciągamy bowiem kuzyna do drugiego pokoju, rozpijamy ćwiarteczkę, w porywach do pół litra, i od razu humor nam się poprawia. Z telewizją nasz bój codzienny wznowimy rano. ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

POLSKA WOBEC KONFLIKTU ROSJA - UKRAINA debata DO RZECZY

Anglia daleko, Rosja blisko

Piotr Zychowicz

Antyrosyjski sojusz Polski i Wielkiej Brytanii byłby sojuszem nierównomiernie rozłożonego ryzyka

Oś Londyn-Warszawa-Kijów – oto jeden z najgorętszych tematów ostatnich tygodni. Wizyta premierów Mateusza Morawieckiego i Borisa Johnsona na Ukrainie zelektryzowała opinię publiczną. Czy Polska wejdzie w skład trójstronnego sojuszu obronnego, którego celem będzie powstrzymanie Rosji?

Wielu komentatorów przyjęło tę wizję z entuzjazmem. Zachodnie mocarstwo zaoferowało nam ścisły sojusz! Polska znowu w pierwszej lidze! Razem damy popalić temu paskudnemu Putinowi! Niestety, zasady realizmu politycznego i nasze tragiczne doświadczenia historyczne nakazują hamować tę euforię.

Kto jak kto, ale Polacy powinni być szczególnie ostrożni, gdy Wielka Brytania składa nam ofertę sojuszu…

NIERÓWNE RYZYKO

Prowadzenie polityki powinno się zacząć od spojrzenia na mapę. Zobaczmy więc, gdzie znajduje się Wielka Brytania, a gdzie Polska. Od razu widać, że ewentualny antyrosyjski sojusz zawarty między naszymi państwami byłby sojuszem nierównomiernie rozłożonego ryzyka.

Wielka Brytania ma do Rosji daleko – my mamy do Rosji blisko.

Wielka Brytania posiada trzy zabezpieczenia na wypadek konfliktu z Rosją: bufor w postaci połowy Europy, kanał La Manche i broń atomową.

Polska jest tych trzech zabezpieczeń pozbawiona. Nie jesteśmy wyspą dryfującą nad Europą. Jesteśmy państwem kontynentalnym, graniczącym z Federacją Rosyjską. Naszą stolicę od obwodu kaliningradzkiego dzieli 300 km. A rosyjskie wojska znajdują się również na Białorusi.

Zastanówmy się, co by było, gdyby – Boże uchowaj! – doszło do konfrontacji zbrojnej między osią Londyn-Warszawa-Kijów a Federacją Rosyjską. Oczywiście to nie Wielka Brytania ponosiłaby największe straty i ofiary. Największe straty i ofiary ponosilibyśmy my i Ukraińcy.

Ze względu na miażdżącą przewagę militarną Rosji byłyby to straty kolosalne.

Premierzy Boris Johnson i Mateusz Morawiecki przekonywali w Kijowie, że Ukraina może liczyć na sojuszników FOT. JUSTIN NG/AVALON/EAST NEWS

eprasa.pl 01e2b22e99

Nasz kraj nie posiada systemu obrony przeciwrakietowej. Bylibyśmy więc dla Rosjan wielką tarczą strzelniczą. Nasza infrastruktura zostałaby zdruzgotana, tysiące naszych rodaków straciłoby życie.

Polska musi więc prowadzić politykę ostrożną, zgodną z naszymi możliwościami. A nie marzeniami. Nie powinniśmy dobrowolnie pakować palców w drzwi. Nawet jeśli zachęcają nas do tego zamorskie mocarstwa.

STRATEGIA ALBIONU

Jaki interes ma w całej tej rozgrywce Wielka Brytania? Wiadomo bowiem, że Anglicy w polityce zagranicznej zawsze kierują się swoimi egoistycznymi interesami. A nie idealizmem.

Odpowiedzi na to pytanie należy szukać w książce „Tragizm polityki mocarstw" prof. Johna Mearsheimera. Czołowy amerykański realista ofensywny analizuje w niej odwieczną politykę Albionu. Polega ona na pilnowaniu równowagi sił na kontynencie europejskim. Gdy w Europie pojawia się państwo, które tę równowagę narusza, Wielka Brytania stara się to państwo powstrzymać. Tak było w przypadku Francji Napoleona, a potem Niemiec cesarza Wilhelma II i Adolfa Hitlera.

Podstawowym narzędziem tego powstrzymywania jest – jak nazywa to prof. Mearsheimer – taktyka „przerzucania odpowiedzialności". Polega ona na zmontowaniu koalicji państw kontynentalnych, które wezmą na siebie ciężar walki w pierwszej fazie wojny. Obecne działania Wielkiej Brytanii idealnie wpisują się w ten schemat. Szefowa brytyjskiej dyplomacji Liz Truss z jednej strony deklaruje, że Rosję należy powstrzymać. Z drugiej jednak strony w rozmowie z BBC przyznaje, że jest bardzo mało prawdopodobne („very unlikely"), żeby brytyjscy żołnierze walczyli z Rosją.

Kto więc ma walczyć i kto ma umierać? Oczywiście Ukraińcy i Polacy. Pani Truss w tym samym wywiadzie przyznała, że zamiast kierować do walki własne wojska, Londyn woli „wysyłać broń Ukrainie" oraz „oferować wsparcie dla innych pobliskich sojuszników z NATO". Czyli dla nas.

Gdybyśmy chcieli być złośliwi, wypowiedzi pani Truss można by skomentować znanym bon motem: Wielka Brytania walczy do ostatniej kropli krwi… ale swoich sojuszników. Teraz kluczowe pytanie: Czy interesy Polski i Wielkiej Brytanii pokrywają się w stu procentach? Śmiem wątpić. W Londynie coraz głośniej mówi się o tym, że Ukraina powinna stać się dla Rosji tym, czym był Afganistan dla Związku Sowieckiego. Czyli piekłem. Długotrwałym, wyczerpującym konfliktem, na którym Kreml połamie sobie zęby.

Zgodnie z tą wizją pociski przeciwpancerne NLAW, które Brytyjczycy dostarczyli niedawno Ukraińcom drogą lotniczą, mają być odpowiednikami stingerów – amerykańskich pocisków, którymi mudżahedini niszczyli sowieckie śmigłowce.

W interesie Polski na pewno nie leży to, żeby tuż za naszymi granicami powstał drugi Afganistan. W interesie Polski nie leży też – zapowiadana przez Anglosasów – „wielka partyzancka wojna na Ukrainie". Oznaczałoby to bowiem destabilizację całego regionu. A nasz kraj zostałby zalany falą uchodźców.

Zresztą nie tylko Polacy powinni być wyjątkowo ostrożni. Dotyczy to również Ukraińców. O tym, ile jest warte słowo Anglosasów, Kijów przekonał się w latach 90. Ukraina zgodziła się wówczas na oddanie arsenału nuklearnego odziedziczonego po Związku Sowieckim.

W zamian otrzymała od Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych gwarancje nienaruszalności swojego terytorium. W 2014 r. Rosja oderwała od Ukrainy Krym, ale Anglosasi nie kiwnęli w jej obronie palcem.

A więc strzeżcie się Danaów, nawet gdy przynoszą dary.

CHCIEĆ NIE ZNACZY MÓC

Podczas jednej z dyskusji na temat obecnego kryzysu mój adwersarz nie krył oburzenia. „Jak to – dziwił się – to pan nie chcesz niepodległej Ukrainy?! Przecież to leży w polskim interesie". Oczywiście, że chcę. Nie mam nic przeciwko Ukraińcom i życzę im z całego serca, żeby utrzymali swoją niepodległość.

Podzielam również zdanie, że w interesie Polski leży istnienie suwerennej Ukrainy. Kraj ten jest bowiem buforem oddzielającym nas na kierunku południowo-wschodnim od Federacji Rosyjskiej. Ma więc dla nas kluczowe znaczenie geopolityczne.

Problem w tym, że realna polityka nie jest sztuką chęci, ale możliwości. Polska nie dysponuje żadnymi realnymi narzędziami, dzięki którym mogłaby uratować Ukrainę. Pisząc wprost: jesteśmy na to po prostu za słabi. Jedyne, co możemy zrobić, to skoczyć w przepaść razem z Ukrainą.

Nasze wojska – gdyby zostały wysłane na Ukrainę – nie mogłyby zmienić wyniku konfrontacji ukraińsko-rosyjskiej. Zostalibyśmy pobici razem z Ukraińcami. Jaki sens ma więc podejmowanie działań, o których z góry wiadomo, że nie mają najmniejszych szans na powodzenie? Próbując obronić niepodległość Ukrainy – co jest dla nas mission impossible – moglibyśmy utracić niepodległość własną. Byłby to raczej kiepski interes.

Oczywiście istnieje pogląd, że stworzenie osi Londyn-Warszawa-Kijów ma podziałać na Putina odstraszająco. Że rosyjski prezydent przestraszy się takiej groźnej koalicji i wycofa swoje wojska z granic Ukrainy. No cóż, o Putinie można powiedzieć różne rzeczy, ale raczej nie to, że jest bojaźliwy. A już na pewno nie lęka się papierowych tygrysów.

Z całej tej historii wypływają dwa wnioski. Po pierwsze, nie da się ocalić Ukrainy metodami wojskowymi. A już na pewno nie może tego zrobić Polska i Wielka Brytania. Ukrainę można uratować tylko środkami dyplomatycznymi. Nie chodzi tu oczywiście o to, żeby „sprzedać" Ukrainę Putinowi i ustąpić przed szantażem Kremla. Przeciwnie – działania dyplomatyczne należy przeplatać groźbami dotkliwych sankcji, które zabolą Rosję. Na czele z zablokowaniem Nord Stream 2.

Polska powinna więc wspierać wysiłki tych państw, które dążą do pokojowego rozwiązania sporu. Zrobilibyśmy tym Ukrainie większą przysługę, niż prężąc nadmuchane muskuły. I dając jej w ten sposób złudną nadzieję.

Drugi wniosek dotyczy wielkiego nieobecnego tej rozgrywki. To oczywiście Stany Zjednoczone. Jeżeli ktoś mógłby powstrzymać rosyjską agresję metodami militarnymi, to tylko Amerykanie. Problem w tym, że oni się zupełnie do tego nie kwapią. Amerykanie mają bowiem na głowie znacznie poważniejsze zmartwienie. W obliczu nieuchronnej konfrontacji z Chinami Stany Zjednoczone nie chcą angażować się w konflikt z innym atomowym mocarstwem na odległym teatrze działań. Jakikolwiek układ militarny wymierzony w Rosję bez Amerykanów nie ma zaś sensu.

Podczas obecnego kryzysu Warszawa powinna prowadzić politykę realną, a nie idealistyczną. W przededniu drugiej wojny światowej Polska przyjęła zaoferowane przez Wielką Brytanię gwarancje niepodległości. I poszła na frontalne zderzenie z Hitlerem. Jak to się skończyło – wiemy wszyscy. Tym razem bądźmy więc mądrzy przed szkodą. „Poland last to fight".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

POLSKA WOBEC KONFLIKTU ROSJA – UKRAINA debata DO RZECZY

Rafał A. Ziemkiewicz

Bez Putina może być gorzej

Jak zwykle w polskiej historii nie widać żadnych prób rozważnej analizy sytuacji i poszukiwań odpowiedzi na kluczowe pytanie: Jaki rozwój wypadków będzie bardziej korzystny – albo przynajmniej mniej niekorzystny – dla Polski?

Polakom wydaje się, że polityka polega na głośnym deklarowaniu, czego się chce, oraz głośnym protestowaniu przeciwko temu, czego się nie chce. Otóż tak nie jest!" – te słowa Romana Dmowskiego, podobnie jak w chwili ich pisania, czyli z górą sto lat temu, wciąż są przysłowiowym grochem o ścianę. Podobnie jak inna z jego maksym: „W polityce nie istnieją pojęcia słuszności i braku słuszności, wyłącznie pojęcia siły i braku siły". Wbrew tym trzeźwym wskazaniom ojca polskiej niepodległości nasza polityka w sferze celów i strategii podporządkowana jest byciu po słusznej stronie, a w sferze realizacji – deklarowaniu, jak być powinno, a jak nie powinno, i stosownym do tego wyrażaniu poparcia lub potępienia. Mimo wszystkich historycznych traum, jakie nam to w ubiegłym stuleciu przyniosło, wciąż stawiamy przed sobą jako główny cel zaprzyjaźnienie się z tymi, którzy w międzynarodowej grze reprezentują w naszych oczach bliskie nam wartości, przeciwko tym, którzy je odrzucają.

Widać to także w komentarzach do zgromadzenia przez Rosję ponad stutysięcznych wojsk na granicy Ukrainy i niedwuznacznego straszenia wojną na skalę, której Europa nie zaznała od 75 lat. Nasze reakcje oscylują pomiędzy zirytowanym „przecież tyle razy uprzedzaliśmy" a entuzjastycznym „no, wreszcie Zachód zrozumiał i się budzi – poza tymi wrednymi Niemcami". Całe nasze myślenie wyznacza strach przed rosyjskim imperializmem, postrzeganym jako ślepa potęga, której przeciwstawić się skutecznie mogą tylko nasi zachodni sojusznicy. Jeśli tego nie zrobią, to zgodnie z fatalistyczną wizją nakreśloną przez śp. Lecha Kaczyńskiego rosyjski potwór po Białorusi i Ukrainie pochłonie państwa bałtyckie i nas. Musimy więc zrobić wszystko, żeby ich do twardego przeciwstawienia się Moskwie skłonić, z braku innych narzędzi, przede wszystkim dając dobry przykład, i oczywiście sami bronić Ukrainy bez wahania i za wszelką cenę.

OCZYWISTA KATASTROFA

Jak zwykle nie widać żadnych prób rozważnej analizy sytuacji, żadnych poszukiwań odpowiedzi na kluczowe w tym momencie pytania: Z jakich powodów Putin pręży muskuły i co chce osiągnąć? Czym kierują się i do czego dążą państwa zachodnie? I najważniejsze: Jaki rozwój wypadków będzie bardziej korzystny, a przynajmniej mniej niekorzystny, dla Polski?

Najtrudniejsza jest odpowiedź na pierwsze z tych pytań. Z punktu widzenia rosyjskiego imperializmu i rozszerzania strefy wpływów, co w naszym przekonaniu zawsze jest jedynym motorem polityki Kremla i innych możliwości nawet nie bierzemy pod uwagę, cała akcja przeciw Ukrainie jest mistrzowsko przeciwskuteczna. Aby użyć obrazowego porównania: Putin przez wiele lat podkradał się skrycie, krok po kroku, by zacisnąć Europie palce na gardle, i właśnie w chwili, gdy już był tuż-tuż, gdy logika nakazywała zrobić ostatni krok jeszcze ciszej niż poprzednie, nagle zaczął wrzeszczeć: Uuaaa, zabiję was, zabiję zaraz was wszystkich!!! I całe wieloletnie, uparte podkradanie się krok po kroku, nizanie gazowych nitek, korumpowanie zachodnioeuropejskich elit, wszystko – w piiizzzgu! Może nie w jednej chwili, bo Zachód tak już jest omotany, że wciąż nie do końca wierzy, że to, co Putin robi, dzieje się naprawdę, ale katastrofa jest oczywista. Wszystko, co Rosja uzyskałaby cierpliwym kontynuowaniem dotychczasowej polityki, teraz w szybkim tempie traci – jej niemiecki koń trojański w Unii i NATO musiał się zdekonspirować, do europejskich elit zaczęła docierać wypierana dotąd oczywistość, że dywersyfikacja źródeł energii jest potrzebna i konieczna, ugodowa polityka prezydenta Ameryki została skompromitowana, on sam zmuszony do jej porzucenia, a wzięta na cel ofiara zyskała czas na mobilizację i konsolidację przeciwko wrogowi jeszcze dwie dekady temu przez większość Ukraińców uważanemu za największego przyjaciela.

W imię czego zdecydował się Putin ponieść takie straty? W imię czego zaprzeczył odwiecznej rosyjskiej doktrynie, by podkradać się podstępnie, a uderzać znienacka, i od tygodni straszy, grozi, napina muskuły, ale nie uderza? Czy rozszerzenie NATO na wschód albo radykalne zmniejszenie rosyjskich wpływów na Ukrainie, czy może ozdrowieńcze reformy we wciąż na poły sowiecko-mafijnym państwie ukra-

eprasa.pl 01e2b22e99

FOT. MIL.RU

ińskim były rzeczywiście na tyle realne w perspektywie najbliższych lat, że zapobieżenie im wymagało tak radykalnych działań? Nic podobnego, to raczej rosyjska agresja daje impuls do tego wszystkiego, ale i tak nie nastąpi to szybko.

KTO MOŻE ZMIENIĆ WŁADCĘ

Trzeba uznać, że albo Putin nagle zwariował, albo poczuł się czymś zmuszony ponieść te wszystkie straty jako mimo wszystko mniejsze zło. Parę tygodni temu przedstawiłem na naszych łamach kilka hipotez co do przyczyn rzucenia rosyjskich wojsk do – na razie – ogromnej zbrojnej demonstracji, a być może także pełnej agresji. Hipotezę, nazwijmy ją, „psychiatryczną", odrzucam. Wśród pozostałych postawiłem taką, że – wbrew narzucającemu się nam stereotypowi – należy w tym widzieć dowód nie siły, a właśnie słabości. Nie tylko Rosji jako państwa, które z ledwością utrzymuje swe ogromne w stosunku do realnych możliwości siły zbrojne i poza nimi oraz surowcami nie ma już innych atutów – lecz także słabości samego Putina i jego władzy. Jak często w historii bywało, agresja skierowana na zewnętrz służy uniknięciu katastrofy w polityce wewnętrznej.

Mówiąc krótko: Putin wcale nie kieruje się tradycyjnym rosyjskim imperializmem, jak to uważamy za aksjomat. Putin w imię ratowania swojej władzy poświęca rosyjskie imperialne interesy. Wszystko, co nastąpiło od czasu publikacji wspomnianego tekstu, potwierdza tę hipotezę, tak że praktycznie stała się ona już jedyną, pozwalającą „połączyć wszystkie fakty w niesprzeczną logicznie całość", jak uczył wielki detektyw Sherlock Holmes. Jak na przykład racjonalnie wyjaśnić demonstracyjne upokarzanie prezydenta Francji w chwili, gdy przyjechał z ofertą ustępstw? A wcześniej równie mużyckie zachowanie podczas telefonicznej rozmowy z prezydentem USA, który przecież tak niedawno jeszcze dał Rosji zielone światło do założenia Europie gazowej pętli na szyję i przejęcia w tandemie z Berlinem kontroli nad nią? Tylko tak, że widocznie w tej chwili dla Putina najważniejsze jest pokazać Rosjanom, iż ich władca jest dość potężny, by traktować zachodnich mocarzy z buta, a ci muszą to pokornie znosić.

Pytanie tylko: Którym Rosjanom? W Rosji nastroje społeczne raczej nie mają większego znaczenia, a oznak nastrojów rewolucyjnych na wielką skalę nie widać. Doniesienia zachodnich agencji, powołujących się na przecieki z CIA, o buntujących się jakoby przeciwko Putinowi generałach mogą z kolei wynikać z „chciejstwa" Zachodu i być projekcją własnych marzeń albo dyskretną zachętą. Ale niewątpliwym faktem jest, że jeśli szukać w Rosji realnej siły, która może zmienić władcę, to stanowią ją tylko „siłowiki". Niewiele o tym wiemy, nie mając dostępu do danych wywiadów (a i one niekoniecznie taką wiedzą dysponują), ale niezadowolenie „siłowików" z rządów Putina czy nastroje, że car „się kończy", że szkodzi im i Rosji, nie są nieprawdopodobne. Wystarczy uświadomić sobie, czym była Rosja w chwili, gdy obejmował on władzę – a czym jest teraz i jak wiele utraciła.

Jeśli Zachód ma jakieś wymarzone rozwiązanie problemu Rosji, to właśnie takie: niechby „siłowiki" sprowokowały jakieś masowe protesty, najlepiej najpierw z początku krwawo, a potem coraz bardziej nieskutecznie tłumione, i wykorzystały do osadzenia na Kremlu kogoś nowego. Nic nie uradowałoby Zachodu bardziej.

NASTĘPNY PRZYWÓDCA ROSJI TEŻ BĘDZIE IMPERIALISTĄ

Dla nas natomiast byłby to najczarniejszy ze scenariuszy. Nowy władca Kremla, choćby wykreowano na niego jakiegoś niedomęczonego dysydenta wydobytego z łagru, też będzie nacjonalistą i imperialistą – bo Rosja nie ma innej elity niż nacjonalistyczna i imperialna. Stanie się natomiast dla Zachodu – podobnie jak Gorbaczow, Jelcyn i każdy w ogóle nowy władca na Kremlu – wzorcem demokraty i liberała, obiektem bałwochwalczego uwielbienia, po prostu bożkiem, zapewne natychmiast obdarowanym „na zachętę" pokojowym Noblem i wszelkimi „resetami". I jako taki przeprowadzi wszystkie rosyjskie imperialne interesy znacznie łatwiej niż Putin.

Jednocześnie polskie pięć minut w zachodniej polityce, którymi cieszymy się wobec powszechnego potępienia dla Putina, skończy się jak nożem uciął. Tak jak skończyła się wielka sympatia Zachodu dla Kurdów, gdy tylko przestali być potrzebni do wojny z Państwem Islamskim. Nie trzeba doprawdy być niewolnikiem historycznych traum, wystarczy odrobina realizmu, by wiedzieć, że egzotyczny sojusz z Wielką Brytanią w obronie Ukrainy nie przetrwa wtedy ani dnia.

W sprawie owego sojuszu dotykamy jeszcze jednego absurdalnego mitu naszej polityki: podnoszonego do rangi aksjomatu przekonania, że niepodległość Ukrainy to nasza racja stanu. Otóż nie. W naszym interesie leży nie każda niepodległa Ukraina, ale tylko taka, która jest przyjazna Polsce, a nie taka, która, na przykład, przekazaną jej broń obróci kiedyś przeciwko nam.

Bo że broń jej wysyłać powinniśmy, to dziś oczywiste – tu przynajmniej nasza polityka jest dobra, acz przypadkiem, bo wywiedliśmy dobre działanie z fałszywych przesłanek. Powinniśmy robić wszystko, by Ukraina była w stanie jak najbardziej Rosję wykrwawić i by Rosja jak najdłużej wykrwawiała się sama. Bo taka jest istota sprawy: nasz odwieczny wróg i geopolityczny konkurent na kluczowym dla przyszłości Polski obszarze dawnych kresów Rzeczypospolitej Obojga Narodów wykrwawia się; a jeśli Putin uzna, że nie ma już nic do stracenia i nie poprzestanie na pogróżkach, to zacznie się wykrwawiać jeszcze bardziej. Nie jest w naszym interesie pchać się do pierwszego szeregu tych, którzy chcą mu w tym przeszkadzać. Gdy Zachód nagle przyznał nam rację, skupmy się z kolei na tym, co oni zwykli dotąd robić: popierajmy moralnie i krzepmy życzliwym słowem, uprzejmym gestem pokazując USA i państwom Unii Europejskiej: „mocarstwa przodem".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

Warszawa, 1980 r. Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa. Na zdjęciu: Mirosław Chojecki (z lewej) i Grzegorz Boguta z książkami wydanymi przez NOWą FOT. PIOTR JAXA/FORUM

Armia Krajowa.
Natchnienie opozycji w PRL?

Sebastian Ligarski

Konspiracja czasów wojennych była dla znacznej większości opozycji demokratycznej drogowskazem postępowania, szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Historia AK budziła ducha walki i nadziei, którego w drugiej połowie lat 80. XX w. było coraz mniej

Konspiracja czasów wojennych stanowiła istotne źródło inspiracji dla opozycjonistów, zwłaszcza kiedy musieli oni działać w podziemiu po wprowadzeniu stanu wojennego. Doświadczenia AK i Polskiego Państwa Podziemnego były najbliższym historycznie i stosunkowo świeżym źródłem etosu walki" – pisali w jednym ze swych artykułów Natalia Jarska i Jan Olaszek. Bez wątpienia opór społeczny, czas walki i jednoznacznych wyborów były dla znacznej większości opozycji demokratycznej drogowskazem postępowania, szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Niemniej jednak wydawnictwa zwarte nie wiodły prymu wśród publikacji na temat historii najnowszej.

WALKA I NADZIEJA

Dla wielu członków organizacji opozycyjnych odwoływanie się do tradycji Armii Krajowej, która powstała 80 lat temu 14 lutego 1942 r., nie miało wyłącznie charakteru manifestu politycznego, drogowskazu, który miał ich prowadzić w walce z komunizmem, a było po prostu wyniesioną z domu tradycją rodzinną. Mirosław Chojecki, twórca Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWa, był synem Marii Stypułkowskiej-Chojeckiej „Kamy", żołnierza AK, uczestniczki zamachu na Franza Kutscherę w lutym 1944 r., łączniczki w czasie powstania warszawskiego. Romuald Lazarowicz, współtwórca wrocławskiej Solidarności Walczącej, redaktor „Biuletynu Dolnośląskiego", był wnukiem Adama Lazarowicza, ps. Klamra, żołnierza Służby Zwycięstwu Polsce – Związku Walki Zbrojnej-Armii Krajowej, a potem Wolności i Niezawisłości, zamordowanego 1 marca 1951 r. w więzieniu na Mokotowie, a synem Zbigniewa Lazarowicza, ps. Bratek, również żołnierza Armii Krajowej oraz Wolności i Niezawisłości.

W szeregach NSZZ „Solidarność" oraz wśród jego sympatyków znajdowały się osoby związane w czasie drugiej wojny światowej z konspiracją Polskiego Państwa Podziemnego. Jan Strękowski związany z NOWą opowiadał: „Kiedyś Mirek Chojecki spytał mnie, czy nie pomógłbym mu znaleźć lokalu na druk. Po jakimś czasie znalazłem dom w Zalesiu Dolnym. […] To było na ulicy Jarzębinowej numer 14 u państwa Władysława i Urszuli Karaszewskich. Oni się zgodzili, bo byli zaangażowani w AK-owską działalność. Ludzie z tamtej konspiracji często nam pomagali".

Opozycja odwoływała się do tradycji Polskiego Państwa Podziemnego szczególnie silnie po wprowadzeniu stanu wojennego. Najbardziej widocznym tego symbolem było połączenie litery „S" z kotwicą, które było oczywistym odwołaniem do okresu niemieckiej okupacji, kiedy to na murach malowano literę „P" z kotwicą. Organizacją, która szczególnie mocno nawiązywała do tradycji Polski Walczącej, była utworzona w maju 1982 r., wspomniana wyżej, wrocławska Solidarność Walcząca. Szczególnie mocno czciła ona powstanie warszawskie. 1 sierpnia 1983 r. jej działacze pisali: „Dziś, w rocznicę powstania, płaczemy nad jego tragedią. Rozumiemy, czym była spowodowana i kto przyłożył do niej rękę. Tamci chłopcy i dziewczęta z biało-czerwonymi opaskami chcieli być wolni. W większości zginęli, ale to swoje umiłowanie wolności przekazali nam. Jesteśmy z nich dumni. Jesteśmy ich następcami w wielkiej sztafecie rodaków dążących uparcie ku wolności".

Do rocznicy powstania SW nawiązywała również w swej prasie. I tak

eprasa.pl 01e2b22e99

np. w 1986 r. na łamach „Solidarności Walczącej" przypominano, że, owszem, skończyło się ono klęską militarną, ale – jak dodawano – z drugiej strony „być może Powstanie Warszawskie, nieoczekiwanie wstrzymując na kilka miesięcy sowiecką ofensywę, uratowało Europę Zachodnią przed komunizmem". I kolejny raz deklarowano: „Jedno jest pewne: była to walka o Wolność i Niepodległość, o to, żeby Polska po wojnie pozostała Polską i mimo strasznych ofiar jej efekt nie poszedł na marne. Dziś walkę tę kontynuujemy innymi metodami, z innym wrogiem, ale jej sens i nadrzędna idea są te same: Wolność i Niepodległość". Również sam tytuł artykułu był niezwykle wymowny, oddawał stosunek działaczy SW do wydarzenia sprzed ponad 40 lat – „Rocznica ostatniej bitwy o niepodległość".

Skoro mowa już o książkach i prasie drugoobiegowej, to warto odnotować, że „książki historyczne należały do najpewniejszych w drugim obiegu i zawsze znajdowały drogę do czytelnika" – pisał Mateusz Falkowski. Były zatem pewną inwestycją. Jak wynikało z badań Pawła Sowińskiego, aż 1,7 tys. pozycji (czyli ponad 20 proc.) wszystkich ukazujących się publikacji w drugim obiegu, stanowiły te odwołujące się do drugiej wojny światowej. Oczywiście nie wszystkie dotyczyły Armii Krajowej i okresu wojennego. Absolutnym hitem podziemia w tej kategorii literatury były książki o Katyniu autorstwa choćby Ryszarda Zielińskiego, Janusza Kazimierza Zawodnego czy Jerzego Łojka.

Drugie miejsce zajmowały publikacje o Armii Krajowej. Jak wskazywał Jan Olaszek, „pewne wątki historii Polski eksponowano nie tylko z powodu ich przekłamania przez oficjalną politykę historyczną, lecz także dlatego, że były one ważne dla budowania tożsamości ruchu. Opozycja w jakimś sensie żyła historią – zwłaszcza historią powstań narodowych i »polskich miesięcy«". Jednym z hitów rynkowych lat 80. XX w., szczególnie po grudniu 1981 r., były publikacje Władysława Bartoszewskiego aż 26 przedruków („Dni walczącej stolicy: kronika Powstania Warszawskiego" czy „Polskie Państwo Podziemne 1939–1945"), Jana Nowaka-Jeziorańskiego 31 przedruków („Kurier z Warszawy"). Ponadto wydawano również fundamentalne pięciotomowe dzieło, którego redaktorami byli żołnierze AK, pt. „Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945" (tom szósty ukazał się w 1990 r.), „Armia Podziemna" Tadeusza „Bora" Komorowskiego, Romana Koraba-Żebryka „Operacja wileńska 1944: epilog", Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego „U podstaw tworzenia Armii Krajowej: Polskie Państwo Podziemne 1939–1945" i „W imieniu Rzeczpospolitej"… Stefana Korbońskiego czy z pozycji „lżejszych" „Piosenki Armii Krajowej".

Ponieważ głód książki historycznej był olbrzymi, czasem dochodziło do sytuacji wręcz kuriozalnych. Paweł Sowiński pisał o masowym wykupowaniu tych publikacji nawet w obiegu oficjalnym i osiąganiu przez nie niewiarygodnych wręcz cen na czarnym rynku. Dochodziło do sytuacji, gdy ich obieg przypominał łudząco ten drugoobiegowy, a co tym bardziej interesujące – zaangażowani w niego byli również współpracownicy bibuły. Sowiński wspominał historię z 1984 r., w której aktywnie uczestniczył Zdzisław Walczuk, współpracownik NOWej, który pracując jako kelner w jednej z restauracji w Nadarzynie, „oferował po 1500 złotych przychodzącym do restauracji książkę o batalionie »Parasol«, legalnie wydaną w 1981 roku, ale szybko wykupioną".

ZNACZKI PODZIEMNEJ POCZTY

W latach 80. Polskie Państwo Podziemne było upamiętniane również w nowy sposób, poprzez znaczki podziemnej poczty. I tak np. w serii znaczków Poczty Konfederacji Polski Niepodległej pt. „50 lat walki o niepodległość" obok tego poświęconego KPN ukazały się również kolejne, dedykowane Służbie Zwycięstwu Polski, Związkowi Walki Zbrojnej, Armii Krajowej oraz Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość.

W innej serii znaczków tej samej organizacji przypominano z kolei wyższych oficerów Armii Krajowej – szefów poszczególnych oddziałów Komendy Głównej AK (np. Kazimierza Iranka-Osmeckiego – stojącego na czele wywiadu i kontrwywiadu, czyli Oddziału II) czy delegatów Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj w latach 1940–1945. Znaczkami upamiętniano również oddziały powstania warszawskiego, żołnierzy odznaczonych Orderem Virtuti Militari, drukarzy Tajnych Wojskowych Zakładów Wydawniczych, a nawet uzbrojenie Armii Krajowej. Poczta Solidarność wydała z kolei wiele znaczków poświęconych poszczególnym oddziałom. Co ciekawe, nie tylko Armii Krajowej (np. Zgrupowaniom Partyzanckim AK „Ponury"), lecz także Narodowym Siłom Zbrojnym (Brygada Świętokrzyska). Nie zapominano też o najważniejszych akcjach podziemia – specjalny znaczek poświęcono np. brawurowemu atakowi z sierpnia 1943 r. oddziałów Armii Krajowej na więzienie w Radomsku. Oczywiście Polskie Państwo Podziemne przypominano również w inny sposób, poprzez karty pocztowe, kalendarze czy ulotki przypominające jego wkład w drugą wojnę światową.

W latach 80. druga wojna światowa zagościła również na antenie podziemnej radiofonii. Poświęcano jej specjalne, rocznicowe audycje, informowano o okolicznościowych demonstracjach czy nabożeństwach. Grzegorz Majchrzak pisał, że najgłośniejszą wśród społeczeństwa audycją „była chyba ta z okazji 38. rocznicy Powstania Warszawskiego zorganizowana przez Grupy Oporu na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. Nic dziwnego, odbyła się ona w biały dzień na oczach osób zgromadzonych w tzw. Dolince Katyńskiej, w tym bezradnego funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej. Za pomocą tzw. gadały, czyli zestawu składającego się z magnetofonu oraz głośników, nadali oni specjalny program, którego najważniejszym elementem było okolicznościowe przemówienie ukrywającego się przywódcy mazowieckiej Solidarności Zbigniewa Bujaka. Mówił on m.in.: »Mieszkańcy Warszawy! Sierpień stał się dla Polaków symbolem walki o nasze prawa [...]. Powstańcy Stolicy rozpoczęli walkę o wolność i niepodległość naszej Ojczyzny. W roku 80. robotnicy Wybrzeża rozpoczęli walkę o sprawiedliwość społeczną, o prawa świata pracy. Od przeszło dwustu lat kolejne pokolenia podejmują tę walkę na nowo. Kolejne narodowe zrywy pochłonęły wiele ofiar, ale dzięki nim dziś istniejemy jako naród«.

Ponadto w audycji znalazły się fragmenty »Hymnu Polski Podziemnej«, nagranie archiwalne z relacją byłego komendanta głównego Armii Krajowej Tadeusza »Bora« Komorowskiego o przyczynach wydania rozkazu do rozpoczęcia Powstania Warszawskiego oraz fragmenty »Mszy żałobnej w katedrze nowojorskiej« Kazimierza Wierzyńskiego i »Nocnej modlitwy« tego samego autora".

Historia Armii Krajowej budziła zatem ducha walki i nadziei, którego, szczególnie w drugiej połowie lat 80. XX w., było coraz mniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem OBBH IPN Szczecin.

eprasa.pl 01e2b22e99

Fragment ankiety osobowej Zarządu II dotyczącej Bogdana Góralczyka FOT. ARCHIWUM IPN

Podpułkownik Jan Lewiński – oficer Zarządu II, który zwerbował i prowadził Bogdana Góralczyka jako współpracownika o ps. Jacek FOT. ARCHIWUM IPN

Góralczyk brothers

Sławomir Cenckiewicz

Michał Kozłowski

Wśród głośnych tomów cyklu „Resortowe dzieci" zabrakło niestety książki poświęconej ludziom Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Dawni komunistyczni dyplomaci i eksperci z kręgu Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (PISM) współtworzą grupę, która nie tylko w jakikolwiek sposób niezweryfikowana odnalazła się w systemie III RP, lecz także z powodzeniem kształtuje międzynarodową wyobraźnię nowych pokoleń specjalistów światowej polityki i adeptów dyplomacji

Ludzie ci są często na tyle zuchwali, że nie myślą o jakiejś formie publicznej autolustracji, licząc, że w obliczu całkowitej abdykacji państwa w obszarze weryfikacji życiorysów i osłony kontrwywiadowczej nikt nie zapyta ich o przeszłość i nie zapuka do drzwi stojących otworem archiwów.

Ich naukowo-dyplomatyczne kariery przebiegały często pod rękę ze szpiegostwem, w którym przecież nie chodziło o interes Polski, ale o globalny interes bloku sowieckiego. Ścieżki kariery wyznaczało poparcie zarówno cywilnych, jak i wojskowych tajnych służb PRL. Fikcja reform i zmian w MSZ po 1989 r. uprawomocniła cały komunistyczny proces kreacji elit dyplomatyczno-eksperckich i zasymilowała dawne kadry do nowej rzeczywistości, czego symbolicznym przykładem może być mentorska pozycja w MSZ i PISM jednego z głównych ideologów sowieckiej koncepcji „ustanowienia w Europie systemu bezpieczeństwa zbiorowego" i strefy bezatomowej prof. Adama Daniela Rotfelda (wieloletniego agenta bezpieki ps. Ralf, Rauf, Rad i Serb).

Warto wspomnieć, że na 14 ministrów spraw zagranicznych wolnej Polski aż pięciu było rejestrowanych w kategorii tajnych źródeł osobowych przez służby specjalne PRL (łącznie pełnili swój urząd przez blisko 12 lat i to w ciągu pierwszych 15 lat istnienia III RP)! Na niższych poziomach gmachu przy al. Szucha sytuacja wyglądała jeszcze poważniej… Przeszłość agenturalna, studia dyplomatyczne w Związku Sowieckim, rosyjsko-białorusko-ukraińskie związki rodzinne, tzw. kontekst wielopokoleniowy MSZ i niejasne „ogony" towarzyskie z przeszłości dopiero niedawno stały się częścią weryfikacji kadr, choć wymiar zagrożeń kontrwywiadowczych takich procedur wydaje się wciąż zaprzepaszczony.

SINO-SOWIECJA

Nieśmiałość i opóźnienie tego procesu, a także deficyt dyplomatycznych ekspertów potrafiących opisać zagrożenia wykraczające poza rosyjsko-amerykański biegun konfliktów sprawiły, że liderami opinii w zakresie spraw azjatyckich, południowoamerykańskich czy afrykańskich stali się nierzadko postkomuniści z agenturalną przeszłością. Szczególne wzięcie ma w ostatnich latach sinologia (chinoznawstwo), ze względu

eprasa.pl 01e2b22e99

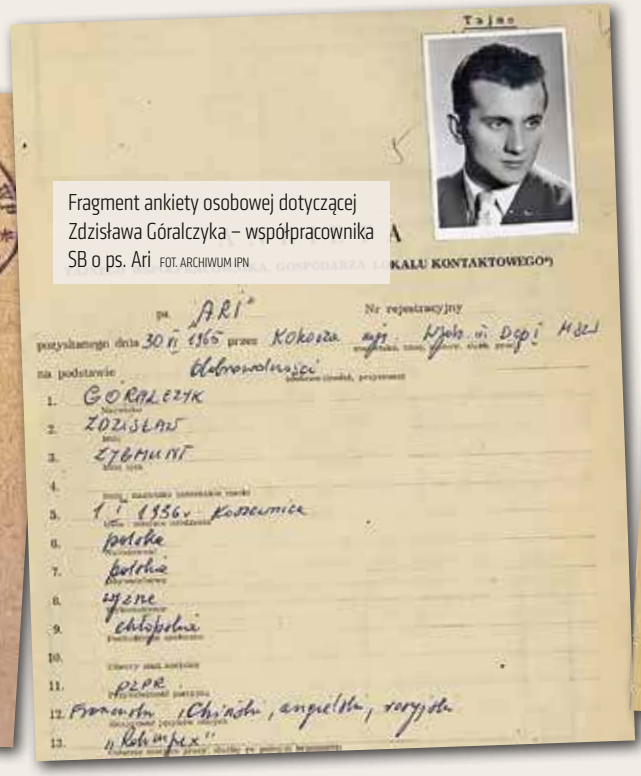

Fragment ankiety osobowej dotyczącej Zdzisława Góralczyka – współpracownika SB o ps. Ari FOT. ARCHIWUM IPN

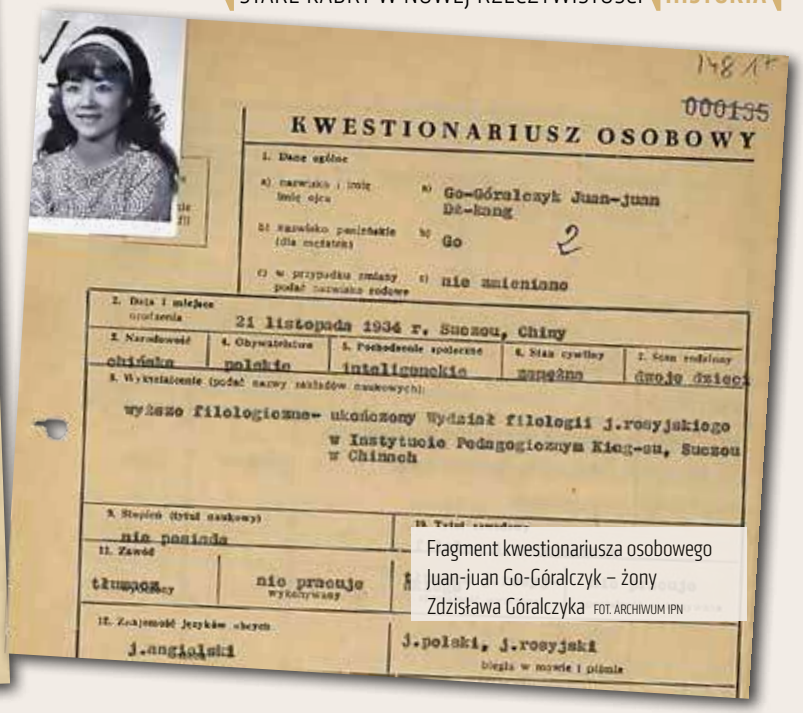

Fragment kwestionariusza osobowego Juan-juan Go-Góralczyk – żony Zdzisława Góralczyka FOT. ARCHIWUM IPN

na wzrastającą w świecie pozycję Chin, ofensywność kapitału chińskiego oraz rywalizację amerykańsko-chińską. „Genealogia" współczesnej sinologii polskiej jest w istocie komunistyczna, a sama nauka ma wiele cech charakterystycznych dla interpretacyjnego postkomunizmu.

Politologiczna sinologia, choć zawsze pozostawała elitarna, w PRL rozwinęła się pod wpływem narastającego konfliktu i zerwania więzi ChRL ze Związkiem Sowieckim. Nieprzypadkowo rozwój studiów i analiz sinologicznych przypadł na przełom lat 60. i 70 XX w., czyli na czas chińskiej „wielkiej schizmy" dzielącej światowy obóz komunistyczny. Od tej pory polityczne studia orientalistyczne i sinologia w PRL podążały za sowieckim modelem objaśniania zbliżenia chińsko-amerykańskiego i konfliktu chińsko-sowieckiego.

Koncentrowano się zatem na analizie „stosunków dyplomatycznych poszczególnych państw NATO z ChRL", „intensywności i stopnia zaangażowania kapitałów zachodnioeuropejskich i USA w procesie modernizacji gospodarki ChRL", „dywersyjnej polityki kierownictwa chińskiego w stosunku do ZSRS oraz polityce dyferencjacji w stosunkach z krajami socjalistycznymi". W ten sposób sinologia politologiczna w znaczącej części stała się zapleczem dla realizacji polityki bloku sowieckiego i jego służb specjalnych. Z czasem stało się to wręcz imperatywem polityki sowieckiej, czego ważnym potwierdzeniem jest specjalna instrukcja centrali KGB z 1973 r. o „Środkach poprawy pracy przeciwko Chinom w krajach trzecich" na lata 1974–1978, gdzie wspomina się o potrzebie penetracji i wykorzystania ośrodków sinologicznych przez tajne służby. W tym czasie sinologia i sinolodzy-politolodzy rekrutowani na uniwersytetach i w całkowicie kontrolowanym przez SB Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych (przygotowywane tam rozprawy o Chinach zasilały na bieżąco bibliotekę wywiadu) stali się (świadomie i nieświadomie) częścią układu partyjnego i dyplomatycznego, a także aparatu wywiadowczego w kraju i na placówkach w Chinach. Nie bez przyczyny wielu z nich zostało „zabezpieczonych" lub zawerbowanych przez wywiad, a w jednej z instrukcji Departamentu I MSW z 1978 r. jest mowa o potrzebie zatrudniania sinologów także bezpośrednio w rezydenturach wywiadowczych (formalnie punktach operacyjnych) na terenie Chin, gdyż „już na miejscu byliby w stanie robić szersze analizy i opracowania problemów chińskich".

Paradoksalnie osiągnięcia PRL-owskiej sinologii politologicznej w swym antychińskim wymiarze (będącym wówczas przejawem sowietyzmu) zostały w ostatnich latach przetransformowane albo w kierunku antychińskości już nie sowiecko-rosyjskiej, ale amerykańskiej, lub stały się wezwaniem do realistycznej polityki względem Chin, czyli takiej, która nie uwzględnia czynnika ideologicznego i totalitarnego reżimu w Pekinie. Co ciekawe, obie szkoły łączy niemal całkowite pomijanie czynnika wywiadowczego w chińskiej strategii politycznej, ale i rosyjskiego kontekstu polityki Pekinu. I choć uważamy zagrożenie chińskie za realne (także dla Polski) w każdym wymiarze (zarówno gospodarczym, politycznym, jak i szpiegowskim), to chcemy jedynie zwrócić uwagę na tak zasygnalizowany mechanizm i problem, będący zarówno wyzwaniem poznawczym, jak i kontrwywiadowczym. Chociażby z tego tytułu zasługuje on na naukowe zainteresowanie, odrębne studium i dziennikarskie śledztwo. Pod tym względem niewątpliwie ciekawym przykładem jest historia sinologów z agenturalną przeszłością, czyli braci Zdzisława i Bogdana Góralczyków. Kulisy ich karier i związki z komunistycznymi służbami specjalnymi nie były dotychczas znane opinii publicznej, a są interesującym przyczynkiem do historii sinologii politologicznej w Polsce.

ŻYCIE JAWNE

W duecie braci Góralczyków bardziej znany jest Bogdan, o czym zapewne zadecydowała różnica wieku, a także umiejętność wykorzystania współczesnych mediów do eksperckich analiz sytuacji w Chinach i chińskiej polityki. Poza wszystkim medialne „noszenie" dała mu część środowisk konserwatywnych, zapraszając często do branżowych debat czy wręcz nadając mu status współpracownika prawicowych think tanków (jak Nowa Konfederacja). W każdym razie prof. Bogdan Góralczyk (rocznik 1954) jest o kilkanaście lat młodszy od Zdzisława (rocznik 1936), również wysokiego rangą dyplomaty PRL i III RP. Bogdan, aktywista ZMS (w szkole średniej) i SZSP (na Uniwersytecie Warszawskim), zawsze marzył o pracy w PISM (wcześniej pracował w Biurze Współpracy Naukowej

eprasa.pl 01e2b22e99

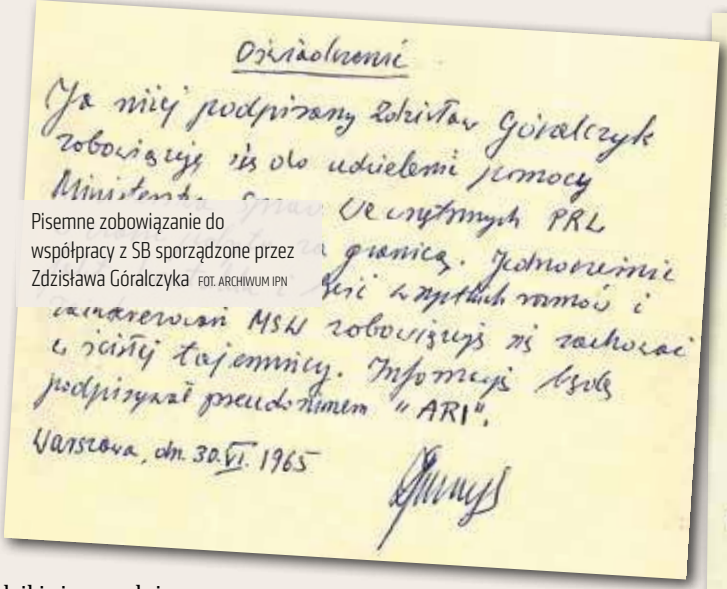
Oświadczenie

Ja niżej podpisany Zdzisław Góralczyk zobowiązuję się do udzielenia pomocy Ministerstwu [illegible] Wewnętrznych PRL [illegible] granicą. Jednocześnie [illegible] i wszystkich rozmów i [illegible] MSW zobowiązuję się zachować w ścisłej tajemnicy. Informacje będę podpisywał pseudonimem „ARI".

Warszawa, dn. 30.VI.1965

Pisemne zobowiązanie do współpracy z SB sporządzone przez Zdzisława Góralczyka FOT. ARCHIWUM IPN

z Zagranicą PAN) i dzięki wykształceniu (studiował hungarystykę, nauki polityczne i orientalistykę), protekcji brata i wsparciu wywiadu wojskowego od 1981 r. związał się z PISM, w którym z czasem (w 1984 r.) został asystentem i adiunktem w Zakładzie Ameryki Północnej. PISM uchodził wtedy za całkowicie „czerwoną" instytucję, czego symbolem był fakt, że w latach 1980–1981 nie powstała tam komisja zakładowa NSZZ „Solidarność".

Okres pracy Bogdana Góralczyka w PISM to czas pracy naukowej. Opublikował wtedy trzy książki („Stosunki Chińska Republika Ludowa – Japonia w latach 1969–1979", 1983, doktorat; „Polityka Stanów Zjednoczonych wobec Chin po normalizacji stosunków 1979–1985" z 1987 r. i „Polityka USA wobec Dalekiego Wschodu w latach osiemdziesiątych" z 1990 r.), których treść, choć trzeba przyznać, że raczej mało zideologizowana, odpowiadała jednak ówczesnym trendom interpretacyjnym, żeby poprzestać jedynie na akcentowanej satysfakcji z powodu tajwańskiej przeszkody w ułożeniu wzorowych relacji amerykańsko-chińskich oraz niemożności konsekwentnego wykorzystania „karty antyradzieckiej" w stosunkach Waszyngtonu z Pekinem.

Poza tym Bogdan Góralczyk często wyjeżdżał za granicę: najczęściej (co rok) na Węgry (także w ramach obsługi prasowej Krajowej Konferencji Partyjnej w 1988 r.), a także do Jugosławii, Czechosłowacji, NRD (tu m.in. na zjazd amerykanistów bloku sowieckiego pod wodzą prof. Longina Pastusiaka), Bułgarii, Rumunii, ZSRS i do ChRL, w tym na staż do Ambasady PRL w Pekinie (1976–1977 i 1979–1980), gdzie z kolei w latach 1972–1979 jako II i I sekretarz ambasady przebywał jego brat Zdzisław. Warto wspomnieć, że – jak wynika z akt paszportowych – w dniach 15–18 maja 1989 r., czyli w okresie protestów studenckich w Chinach, Góralczyk miał akredytację prasową (z ramienia PISM i „Polityki") na szczyt Gorbaczow-Deng Xiaoping w Pekinie. Dzięki pracy w PISM (nie mówiąc w tym miejscu o roli tajnych służb) i aranżowanej tam współpracy międzynarodowej oraz wsparciu redakcji „Polityki", z którą związał się w 1987 r., Góralczyk zaczął wyjeżdżać do Stanów Zjednoczonych. I tak ostatni kwartał 1987 r. w ramach wymiany stypendialnej spędził na Uniwersytecie w Pittsburghu, gdzie na Wydziale Związku Sowieckiego i Europy Wschodniej m.in. wygłaszał wykłady – jak napisał później w sprawozdaniu dla Zarządu II Sztabu Generalnego (wywiadu wojskowego PRL) „na temat obecnych reform – głównie gospodarczych – w państwach socjalistycznych".

Bogdan Góralczyk pracował w PISM do 1991 r. Lata 1991–1998 spędził już wygodnie w polskiej placówce w Budapeszcie, gdzie był kierownikiem wydziału politycznego i zastępcą ambasadora RP. W tym czasie jego brat Zdzisław był ambasadorem RP w Pekinie (1994–1999). Nie będzie też zaskoczeniem, że w okresie od listopada 2001 r. do maja 2003 r. Bogdan Góralczyk był szefem gabinetu ministra spraw zagranicznych Włodzimierza Cimoszewicza (rejestrowanego w latach 1980–1984 przez Wydział II Departamentu I MSW jako kontakt operacyjny „Carex"). Gdy zbliżał się koniec rządów SLD, jego zwierzchnik zapewnił mu stanowisko ambasadora RP w Tajlandii (sprawował tę funkcję w latach 2003–2008). Po powrocie do kraju pracował w Centrum Europejskim Uniwersytetu Warszawskiego i stał się komentatorem spraw azjatyckich w TVN24 i na antenie Radia TOK FM. Co ciekawe, wśród kilku wypromowanych przez Góralczyka doktorów jest i znany geopolityk Jacek Bartosiak, którego przewód doktorski („Geostrategiczna sytuacja USA i Chin na zachodnim Pacyfiku i Euroazji a amerykańska koncepcja wojny powietrzno-morskiej") przeprowadzono w 2017 r. w Instytucie Studiów Politycznych PAN (recenzenci: prof. gen. S. Koziej i prof. H. Królikowski).

NARODZINY „JACKA"

Największa tajemnica Bogdana Góralczyka spoczywała przez ostatnią dekadę PRL w Zarządzie II Sztabu Generalnego, po 1991 r. w Wojskowych Służbach Informacyjnych, a po 2001 r. w zbiorze zastrzeżonym IPN, gdzie dopiero w 2020 r. odtajniono teczkę współpracownika o pseudonimie Jacek.

W 1980 r., podczas przeglądu wykazu studentów sinologii Uniwersytetu Warszawskiego, Bogdan Góralczyk (wówczas student piątego roku zamieszkały w bloku należącym do Urzędu Rady Ministrów) został wytypowany przez kmdr. ppor. Tadeusza Czyżykowskiego na kandydata na współpracownika komórki krajowej Zarządu II (Oddział X/Agenturalny Wywiad Operacyjny). Co ciekawe, w tym samym czasie pozostawał on już w zainteresowaniu Departamentu I MSW (wywiadu cywilnego), który na początku 1980 r. nadał mu kryptonim Ralf i przewidział do werbunku w kategorii kontaktu operacyjnego. Ostatecznie „cywile" zrezygnowali z formalnego zwerbowania Bogdana z uwagi na możliwość „demobilizującego" wpływu tego werbunku na współpracę agenturalną Zdzisława (współpracownik ps. Ralf). I – co ważne – kierownictwo Departamentu I nakazało podwładnym „wykorzystać kapturowo" Bogdana. Decyzje te otworzyły drogę do działań wojskowych.

Pierwszy kontakt z Góralczykiem nawiązał mjr Jan Lewiński z AWO 8 października 1980 r., występując pierwotnie pod legendą pracownika biura paszportowego, aby w krótkim czasie odsłonić się jako oficer wywiadu (Bogdan podpisał zobowiązanie do zachowania rozmowy w tajemnicy na formularzu wywiadu wojskowego) i przejść na stopę znajomości towarzyskiej („wspólne zainteresowania"). Opracowanie i rozpracowanie kandydata (przy wsparciu WSW i SB) przyniosło pozytywne skutki potwierdzone cechami charakteru, aspiracjami, możliwościami operacyjnymi, więziami rodzinnymi i „ukierunkowaniem" przez Zdzisława Góralczyka. W każdym razie ze względu na biegłą znajomość języka chińskiego i „perspektywy pracy na terenie Chin" wywiad wojskowy planował po zawerbowaniu „uplasowanie" kandydata na etacie w PISM, a później wykorzystanie w pracy wywiadowczej na terenie Chin.

Podczas kilku kolejnych kontaktów i rozmów z mjr. Lewińskim Bogdan Góralczyk ze zrozumieniem odniósł się do potrzeb wywiadowczych Zarządu II. Podczas spotkania w kawiarni Empiku na Nowym Świecie w dniu 21 października

eprasa.pl 01e2b22e99

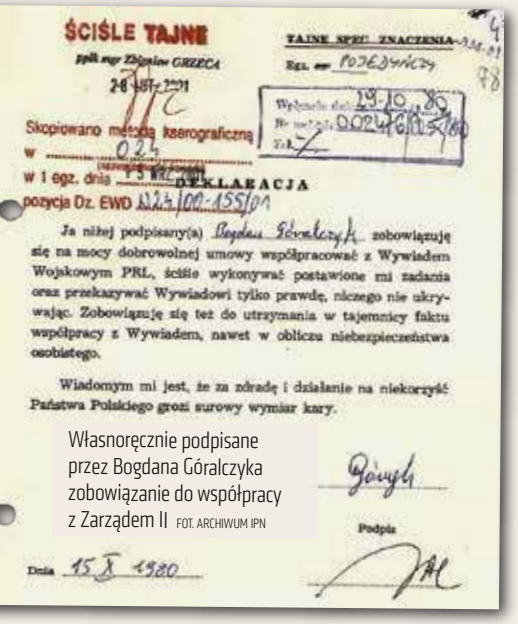
ŚCIŚLE TAJNE

TAJNE SPEC. ZNACZENIA

Skopiowano metodą kserograficzną

w egz. dnia

DEKLARACJA

pozycja Dz. EWD

Ja niżej podpisany(a) zobowiązuję się na mocy dobrowolnej umowy współpracować z Wywiadem Wojskowym PRL, ściśle wykonywać postawione mi zadania oraz przekazywać Wywiadowi tylko prawdę, niczego nie ukrywając. Zobowiązuję się też do utrzymania w tajemnicy faktu współpracy z Wywiadem, nawet w obliczu niebezpieczeństwa osobistego.

Wiadomym mi jest, że za zdradę i działanie na niekorzyść Państwa Polskiego grozi surowy wymiar kary.

Podpis

Data 15 X 1980

Własnoręcznie podpisane przez Bogdana Góralczyka zobowiązanie do współpracy z Zarządem II FOT. ARCHIWUM IPN

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
MINISTER
SPRAW WEWNĘTRZNYCH

DORADCA
MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH
TOWARZYSZ
DR ZDZISŁAW F. GÓRALCZYK

Serdecznie dziękuję za przesłane zdjęcia.

Stanowić one będą miłą pamiątkę z pobytu w Chińskiej Republice Ludowej, który dostarczył mi wiele ciekawych wrażeń.

Jednocześnie proszę przyjąć życzenia wszelkiej zawodowej i osobistej pomyślności.

gen. broni Czesław KISZCZAK

Warszawa, 1986-11-22

Podziękowania gen. Czesława Kiszczaka dla Zdzisława Góralczyka FOT. ARCHIWUM IPN

1980 r. wyraził wstępną zgodę na współpracę agenturalną, zaznaczając jednak, że nie chciałby się ukadrowić, gdyż swoją przyszłość wiąże z karierą naukową, pracą w PISM lub MSZ. Wypełnił wówczas własnoręcznie ankietę osobową, do której dołączył życiorys, po czym kilka dni później (29 października) w kawiarni Pod Arkadami doszło do formalnego werbunku zakończonego podpisaniem deklaracji (z datą 15 października) o współpracy z Zarządem II oraz ustaleniem zasad współpracy i łączności.

TAJNA DROGA KARIERY

Wszystkie dostępne historykom opinie o współpracy Bogdana Góralczyka z Zarządem II są bardzo pozytywne. Akcentowano jego patriotyzm, ideowość, walory intelektualne i przestrzeganie zasad konspiracji. Szczupłość jego dochodów i perypetie zatrudnieniowe żony – Krystyny Żurek (Węgierka z pochodzenia i absolwentka hungarystyki na Uniwersytecie Warszawskim) – kazały wywiadowi wesprzeć współpracownika „Jacka" przede wszystkim w zakotwiczeniu go w Zakładzie Ameryki Północnej PISM (pozytywnie do pracy w instytucie opiniował go w 1983 r. także Departament I MSW), uzyskiwaniu zgód na wyjazdy zagraniczne, współpracę z redakcją „Polityki" (został wówczas zobligowany przez wywiad do kontaktów z pracownikami różnych ambasad na terenie Warszawy) i pobyt stypendialny w Ameryce w 1987 r.

Miarą współpracy Góralczyka z Zarządem II może być fakt, że z okazji 42. rocznicy bitwy pod Lenino (w październiku 1985 r.) podczas spotkania w restauracji hotelowej Domu Chłopa w Warszawie został on odznaczony Brązowym Medalem za Zasługi dla Obronności Państwa. „W czasie spotkania – czytamy w notatce ppłk. Jana Lewińskiego – wręczyłem współpracownikowi Brązowy Medal ZZDOK, gratulując tego odznaczenia, podkreśliłem jednocześnie duże zaangażowanie, zwłaszcza w zakresie opracowania i dostarczania materiałów informacyjnych dotyczących głównie problematyki azjatyckiej, a w szczególności chińskiej". I dalej: „Współpracownik wyraził podziękowanie za to zaszczytne wyróżnienie i stwierdził, że tak jak dotychczas będzie dokładał wiele wysiłku dla umocnienia obronności kraju. Podziękował również za poparcie jego starań o wyjazd na 10-cio miesięczny staż do USA w ramach fundacji Fullbrighta".

Wyjazd do Pittsburgha, który pozytywnie opiniował także Wydział X Departamentu I MSW (cywilny kontrwywiad zagraniczny), zaowocował notatką charakteryzującą zapoznane w Ameryce osoby, a w wymiarze osobistym zebraniem materiału (głównie książkowego) do planowanej rozprawy habilitacyjnej, która w formie 183-stronicowej maszynopisowej broszury została wydana przez PISM w 1990 r.

OPERACYJNA MIĘDZYEPOKA

Paradoksalnie przełom roku 1989 otwierał przed Bogdanem Góralczykiem nowe możliwości. Był sprawdzonym i lojalnym współpracownikiem wywiadu wojskowego, sinologiem-politologiem z perspektywą habilitacji, badaczem o międzynarodowych koneksjach i z wysoko postawionym w hierarchii MSZ bratem Zdzisławem Góralczykiem. Transformacja ustrojowa (zwłaszcza w obszarze wojska) dawała mu pełną gwarancję konspiracji związków agenturalnych, o których zerwaniu zresztą w ogóle nie myślał. Zarząd II z kolei wciąż uznawał „Jacka" za „współpracownika z dużymi możliwościami wywiadowczymi", któremu w 1989 r. starano się nawet pomóc w uzyskaniu mieszkania.

W takich warunkach, między kolejnymi wyjazdami do Jugosławii, Chin (obsługa prasowa wizyty Gorbaczowa) i Stanów Zjednoczonych (wyjeżdżał ponownie na roczne stypendium Fullbrighta, ale bez zadań wywiadowczych postawionych przez Zarząd II), doszło do wymiany oficera prowadzącego Bogdana Góralczyka. W ostatnich dniach kwietnia 1989 r. dotychczasowego opiekuna „Jacka" – ppłk. Jana Lewińskiego – zastąpił mjr Jerzy Bogusławski z centrali Zarządu II.

Kiedy Bogdan Góralczyk wracał z żoną do kraju po pobycie stypendialnym w Ameryce, otwierała się przed nim wielka kariera naukowo-dyplomatyczna w III RP, a Zarząd II Sztabu Generalnego przechodził transformacyjny lifting, stając się najpierw Zarządem Wywiadu i Kontrwywiadu Wojskowego, a od 1991 r. Wojskowymi Służbami Informacyjnymi. Jego agenturalna teczka personalna wcale nie powędrowała wówczas do archiwum WSI, o czym świadczą zaczernione zapisy na kartach rejestracyjnych świadczące o zainteresowaniu wykraczającym poza rok 1990. Łatwo zauważyć także niepousuwane adnotacje ewidencyjne widoczne na kartach akt „Jacka". Wiemy z nich, że po współpracy Góralczyka z AWO i transformacji tego wydziału jego teczka znalazła się w Oddziale 3 („Wschód") WSI, natomiast po wymogu przekazania jej do IPN (za okres do 1990 r.) najważniejsze dokumenty z teczki personalnej „Jacka" zostały skopiowane przez wysokiego rangą oficera Inspektoratu WSI i złożone w wywiadzie wojskowym. Z oryginału teczki usunięto pełny spis zawartości z 2000 r., a „historyczną" teczkę współpracownika „Jacek" schowano na blisko 20 lat w zbiorze zastrzeżonym IPN. Tajemnicą pozostaje „wyparowanie" teczki pracy agenturalnej Bogdana Góralczyka ps. Jacek z zasobu archiwalnego IPN, choć ostrożność procesowa nie pozwala nam podzielić się z czytelnikami naszą wiedzą w tym zakresie…

ZAKULISOWY AKTOR „ARI"

Nie odbierając indywidualnych zasług i podmiotowości Bogdanowi Góralczykowi, trzeba jednocześnie przyznać, że trudno

eprasa.pl 01e2b22e99

wyobrazić sobie jego karierę bez wsparcia starszego brata Zdzisława, który nie tylko należy do nestorów sinologii politologicznej w Polsce, lecz także przez ćwierć wieku był agentem wywiadu cywilnego, aktywistą PZPR o wpływach sięgających Komitetu Centralnego, a z MSZ PRL/RP związał się na jeszcze dłużej. Jego lojalna współpraca z Departamentem I MSW była co jakiś czas nacechowana troską o brata Bogdana, którego uczył i o którym wiedział wszystko, poznając także kulisy jego współpracy z Zarządem II. Niewykluczone, że w czasie „rozpychania" się służb wojskowych w MSZ w latach 80. on sam inspirował brata do interakcji z Zarządem II. Kiedyś, w 1985 r., pisał w notatce dla wywiadu cywilnego, że sam był wielokrotnie indagowany przez wywiad wojskowy, ale nie przyjął „oferty" współpracy, gdyż jest lojalnym współpracownikiem bezpieki, szczególnie „związanym z Centralą". Dodał jednak, że wojskowi „zaangażowali" „mojego młodszego brata, początkującego sinologa, pracownika Zakładu Amerykanistyki PISM. Bogdana G.". Od tej pory w notatkach SB Bogdan Góralczyk („również sinolog") funkcjonuje oficjalnie jako pozostający w zainteresowaniu Zarządu II.

Ze względu na wielowątkowość kariera Zdzisława Góralczyka zasługuje na odrębną opowieść. W młodości został on wysłany na studia do komunistycznych Chin, gdzie od 1953 r. najpierw uczył się języka chińskiego na uniwersytecie w Pekinie, a później studiował w Pekińskim Instytucie Handlu Zagranicznego. Poznał tam zresztą swoją przyszłą żonę – Juan-juan Go, absolwentkę filologii rosyjskiej, z którą przyjechał do PRL w 1959 r. W zamordystycznych, a wówczas i prosowieckich Chinach dość powszechną praktyką było niewydawanie zgody na małżeństwo obywatela ChRL z cudzoziemcem. Góralczyk miał szczęście i w 1956 r. zgodę na ślub Zdzisława Góralczyka z Juan-juan Go oraz na jej wyjazd na stałe do Polski wydał sam premier Chin – Zhou Enlai.

W PRL pracował jako handlowiec w jednej z central handlu zagranicznego Rolimpex, aby we wrześniu 1963 r. zostać oddelegowanym przez Ministerstwo Handlu Zagranicznego do pracy w Brazylii. 30 czerwca 1965 r. Zdzisław Góralczyk został zwerbowany i przeszkolony przez Wydział III Departamentu I MSW jako współpracownik „Ari". Był wydajnym współpracownikiem „placówkowym", informującym nie tylko o Polakach w Brazylii. Później, już po powrocie z Brazylii (we wrześniu 1967 r.), związał się z PHZ Agros, ale w 1972 r. rozpoczął wieloletnią karierę w MSZ. Został wówczas II, a następnie I sekretarzem Ambasady PRL w Pekinie (do 1977 r.) i współpracował z Wydziałem XI Departamentu I MSW jako kontakt operacyjny „Ralfa". Co ciekawe, w okresie jego pobytu w Chinach mieszkanie Góralczyków przy ul. Smoczej w Warszawie stało się lokalem kontaktowym SB (co zostało ustalone specjalną umową).

SINO-„RALFA"

Po powrocie do PRL w 1979 r. Zdzisław Góralczyk obronił doktorat w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR w Warszawie pod kierunkiem prof. Janusza Gołębiowskiego, który miał opinię towarzysza blisko powiązanego z ambasadą ZSRS. Jego rozprawa „Komunistyczna Partia Chin a Stany Zjednoczone (lipiec 1921–czerwiec 1950)" jest – pomimo tytułu i tematu pracy – apologią sowieckiego spojrzenia na problematykę chińskiego komunizmu i „wręcz reakcyjnego wymiaru" polityki ChRL od lat 60. Stąd też książka Góralczyka otrzymała w 1981 r. III nagrodę Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych w dziedzinie współczesnych stosunków międzynarodowych. W 1988 r. Góralczyk opublikował też przekład wyboru prac chińskiego dyktatora Denga Xiaopinga.

W latach 1980–1984 Góralczyk znów przebywał z Chinach, tym razem jako pierwszy radca i zastępca ambasadora PRL w Pekinie, współpracując dalej z wywiadem. O klasycznej działalności szpiegowskiej mowy być jednak nie mogło, skoro nawet KGB utyskiwało w tym czasie na faktyczne zamrożenie jakichkolwiek możliwości operacyjnych w Chinach. W tym sensie oczekiwania centrali wywiadowczej z Warszawy były nie do zrealizowania. Bo w jaki sposób pracownicy Punktu Operacyjnego Departamentu I MSW i sam Góralczyk mieli rozpoznać „działalność służb specjalnych przeciwnika skierowanej przeciwko Polsce i innym państwom socjalistycznym"? Ostry reżim kontrwywiadowczy w Chinach sprawiał, że „Ralf" czytał więc prasę, rozmawiał z chińskimi oficjelami, dyskutował z dyplomatami z zaprzyjaźnionych ambasad, opisując to wszystko w meldunkach do Centrali i… donosił na „rodaków placówkowych". W tym czasie jego żoną – tłumaczką w Biurze Radcy Handlowego w Pekinie – zainteresował się rezydent KGB. W lutym 1984 r. Sowieci pytali towarzyszy polskich, czy „Ralf" cieszy się zaufaniem bezpieki i w jaki sposób wygląda kontrola żony „Ralfy" w świetle „operacji służb specjalnych przeciwnika", skoro Juan-juan Go jest „chińską nacjonalistką" i pozostaje obywatelem ChRL. Zapewnienie o wieloletniej lojalności Góralczyków wobec służby nie przekonało Sowietów, a w raporcie dla centrali Departamentu I MSW opisano w szczegółach rozkład ich małżeństwa oraz skandaliczne zachowania „Ralfy" względem kierownika placówki wywiadu PRL, którego Zdzisław Góralczyk zaczął traktować jak podwładnego.

W niczym jednak nie przeszkodziło to w dalszej karierze Góralczyka, któremu centrala wywiadu zapewniła później możliwość bezpośredniego kontaktowania się z Centralą, bez potrzeby kontaktowania się z nim oficerów Punktu Operacyjnego Departamentu I MSW w Pekinie i Szanghaju. Po powrocie do kraju w 1984 r., dzięki wsparciu SB, Zdzisław Góralczyk został wicedyrektorem, a później dyrektorem Wydziału Dalekiego Wschodu w Departamencie II MSZ (1984–1988). Sam naczelnik Wydziału XI Departamentu I MSW mjr Aleksander Makowski pisał o „Ralfie", że jest od lat „bardzo przywiązany" do SB, a jego informacje o tematyce chińskiej wzbogacały nie tylko wiedzę kierownictwa resortu spraw wewnętrznych, lecz także najwyższych władz PRL, z Wojciechem Jaruzelskim na czele. Stąd też w latach 1988–1990 Zdzisław Góralczyk ponownie przebywał na placówce w Chinach, skąd słał interesujące raporty do Warszawy na temat protestów studenckich oraz postrzegania przez Chińczyków transformacji ustrojowej PRL i przemian w ZSRS.

Był tak wpływowym dyplomatą, ekspertem i zaufanym tajnych służb, że w wolnej Polsce Zdzisław Góralczyk doradzał ministrom spraw zagranicznych z przeszłością agenturalną (Krzysztofowi Skubiszewskiemu i Andrzejowi Olechowskiemu), był ambasadorem Polski w Chinach (1994–1999), radził prezydentowi Aleksandrowi Kwaśniewskiemu (2000–2001), premierom Leszkowi Millerowi (2002–2004) i Markowi Belce (2004–2005) oraz wicepremierowi Waldemarowi Pawlakowi (2008–2012).

***

Kiedy antykomunizm jest w Polsce sierotą, wtedy postkomunizm wieńczy triumfy. Opisana historia Góralczyków i ich wpływów środowiskowo-narracyjnych jest tego kolejnym przykładem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Katyń w Norymberdze

Major Siegfried Knappe, dwukrotnie odznaczony Krzyżem Żelaznym, trzykrotnie ranny. W szeregach Wehrmachtu walczył we Francji, we Włoszech i na froncie wschodnim. W 1945 r. bronił gruzów Berlina przed Armią Czerwoną.

Major Knappe miał szczęście w nieszczęściu. Szczęście, bo jakimś cudem udało mu się przeżyć drugą wojnę światową. Nieszczęście – bo na sam koniec wojny trafił do sowieckiej niewoli. I cztery kolejne lata spędził w łagrze. Cierpiąc straszliwy głód oraz walcząc z chmarami wszy i pluskiew.

W swoich wspomnieniach Knappe pisze, że wraz z nim za drutami obozu specjalnego w Krasnogorsku siedziało wielu Polaków. Między innymi książę Janusz Radziwiłł, uwięziony przez bolszewików razem z rozległą rodziną.

Dla polskiego czytelnika najciekawszy jest jednak wątek katyński. Otóż wraz z Knappem w obozie siedział niemiecki żołnierz, którego Sowieci wytypowali na „świadka" zbrodni katyńskiej. Poinstruowali go, co ma mówić, a następnie zawieźli na proces norymberski.

Ów Niemiec zeznał tam, że jednostka Wehrmachtu, w której służył podczas wojny, pod Smoleńskiem wymordowała kilka tysięcy polskich oficerów. W zamian za to zeznanie bolszewicy obiecali mu lepsze traktowanie i zwolnienie z obozu.

Jak wiadomo, sędziowie Trybunału Norymberskiego nie dali wiary Sowietom. I zbrodnia katyńska – ku wielkiemu rozczarowaniu Stalina – ostatecznie nie została włączona do aktu oskarżenia przeciwko Niemcom. Cała intryga zakończyła się fiaskiem.

A co się stało z przywiezionym z Krasnogorska niemieckim „świadkiem"? Otóż Sowieci słowa nie dotrzymali. Po odegraniu norymberskiej komedii nie został wypuszczony do domu, tylko wpakowany z powrotem do łagru. Gdy zaczął się skarżyć na swój los – pewnego dnia zniknął w tajemniczych okolicznościach.

Na koniec ciekawostka. Po wielu latach mjr Knappe – który dożył do 2008 r. – został zatrudniony jako główny konsultant historyczny do filmu „Upadek". Słynnego obrazu o ostatnich dniach Hitlera w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy. ©℗

★★★★★★

SIEGFRIED KNAPPE
„SOLDAT: REFLEKSJE NIEMIECKIEGO ŻOŁNIERZA"
FUNDACJA HISTORIA.PL

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Vivente rege i wojna kokosza

Królowa Bona, chcąc uniknąć niespodzianek po ewentualnej śmierci Zygmunta Starego, postanowiła zapewnić synowi koronę jeszcze za życia ojca. Tron polski był bowiem elekcyjny i zawsze mogło się wydarzyć coś nieprzewidzianego, a bezkrólewie nie służyło dobrze krajowi. Zabrała się do działania z typową dla siebie energią i niebawem kanclerz Krzysztof Szydłowiecki skarżył się w jednym z listów, że król został tak opętany przez żonę, iż nic nie dzieje się bez jej zgody. Doszło nawet do tego, że podczas kolejnej wojny z Moskwą hetman wielki litewski Jerzy Radziwiłł zwracał się bezpośrednio do królowej o zaopatrzenie swoich wojsk w proch i pociski!

Wprawdzie dotychczas nie było tradycji obioru króla za życia poprzednika, ale zdarzył się przypadek, gdy panowało dwóch równorzędnych władców. Jadwiga Andegaweńska i jej mąż Władysław Jagiełło nosili bowiem królewskie tytuły. W październiku 1529 r. Zygmunt August został ogłoszony wielkim księciem Litwy. Było to potwierdzenie reguły, że najkrótsza droga na Wawel prowadzi przez Wilno i faktycznie, dwa miesiące później dziewięcioletniego królewicza wybrano na króla Polski. Natomiast 20 lutego 1530 r. odbyła się jego koronacja.

Bona zapomniała jednak, że w polityce ważne są symbole. Wprawdzie po ewentualnej śmierci Zygmunta Starego jedynym liczącym się kandydatem byłby jego syn, ale uznano, że wybór i koronacja władcy za życia poprzednika (vivente rege) były zagrożeniem dla ustroju państwa. Dlatego sejm zwołany jesienią 1536 r. w Krakowie miał burzliwy przebieg. Ostatecznie nie zawarto żadnego porozumienia i rozjechano się bez podejmowania uchwał. Przedstawiciele szlachty nie zamierzali jednak zrezygnować i wykorzystali do tego fakt zwołania w następnym roku pospolitego ruszenia na wojnę z hospodarem mołdawskim. Zebrana w obozie pod Lwowem szlachta ogłosiła się Izbą Poselską Sejmu, a gdy pojawił się król, wystąpiono wobec niego z postulatami z Krakowa. Następnie zawiązano oficjalny rokosz, pierwszy w epoce Jagiellonów.

Do wyprawy na Mołdawię ostatecznie nie doszło, ale nie wybuchła też wojna domowa. Całe wydarzenie nazwano wojną kokoszą, gdyż jedynymi ofiarami były kury, które wygłodniali rokoszanie wyrzynali w dużej liczbie. Sprawa zakończyła się na kolejnych dwóch sejmach: w Piotrkowie i Krakowie. Zygmunt Stary zobowiązał się do przestrzegania praw królestwa i zabroniono też vivente rege. Elekcja nowego króla miała się odbywać dopiero po śmierci poprzednika, a uczestniczyć w niej mogła cała szlachta. Czyli w praktyce ci, którym chciało się na nią przyjechać. ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

Maciej Pieczyński

Moskwa nie chce świata podbijać. Woli ten świat rozbijać na strefy wpływów. W imię cywilizacyjnego pluralizmu. Putin naprawdę zamierza „jedynie" bronić oblężonej twierdzy „rosyjskiego świata". A najlepszą obroną jest atak

FOT. KREMLIN.RU

Gdzie zatrzyma się Putin?

Władimir Putin zażartował kiedyś, że „granice Rosji nigdzie się nie kończą". Oczywiście nie była to zapowiedź podboju świata. Raczej demonstracja pewności siebie i kpina z obaw przed rosyjskim imperializmem. Putin chętnie straszy i grozi, pręży mocarstwowe muskuły, wymachuje głowicą jądrową. Umiejętnie utrzymuje stan, w którym Zachód przez wiele miesięcy w napięciu zastanawia się, czy Rosjanie na Ukrainę „wejdą czy nie wejdą". Przewidzieć przyszłości nie sposób. Warto natomiast zastanowić się, jak daleko mogą sięgać roszczenia terytorialne Rosji. Czego tak naprawdę chce od świata – w tym również od Polski – Putin?

KONCERT RÓWNORZĘDNYCH MOCARSTW

Z pewnością jego celem nie jest odbudowa Związku Sowieckiego. Co prawda, rozpad ZSRS nazwał największą w XX w. katastrofą, ale nie ustrojową, tylko geopolityczną. Putin tęskni za czerwonym imperium nie dlatego, że było czerwone, ale dlatego, że było imperium. Rewolucja to we współczesnej Rosji słowo zakazane. Z poprzedniej epoki liczy się głównie zwycięstwo nad faszyzmem, czyli nad Zachodem. Putin krytykuje też bolszewików za to, że podzielili Rosję na narodowe republiki ze swoimi granicami, ułatwiając im późniejsze wybicie się na niezależność od Moskwy.

Pod względem ustrojowym z pewnością wolałby odtworzyć imperium carów. Często z podziwem mówi o Piotrze Wielkim, który – będąc okrutnym despotą – zeuropeizował jednak średniowieczne państwo moskiewskie. Putin nie zamierza naśladować Zachodu. Nie jest okcydentalistą. Buduje mocarstwo synkretyczne, łączące w sobie elementy różnych tradycji państwowości rosyjskiej. Ich wspólnym mianownikiem jest świadomość odrębności i samodzielności – niekoniecznie otwartej wrogości – względem Zachodu. Upadek Związku Sowieckiego oznaczał koniec dwubiegunowego świata i początek świata jednobiegunowego ze Stanami Zjednoczonymi na czele.

Pogodzona z takim układem sił była Rosja w epoce Jelcyna. Okresy demokracji, liberalizmu i okcydentalizmu nigdy jednak w tym kraju nie trwają zbyt długo. Rosja w końcu zawsze i tak musi wrócić na imperialne i antyzachodnie tory, co też się stało pod rządami Putina. Nie oznacza to, że celem jest powrót do świata biegunowego czy też detronizacja USA w układzie jednobiegunowym. Kreml oficjalnie – w swoich dokumentach strategicznych – od lat stawia diagnozę, w myśl której świat, wobec słabnącej pozycji Waszyngtonu, staje się policentryczny. Rosja chce być po prostu jednym z wielu regionalnych mocarstw. Rządzić się po swojemu i po swojemu prowadzić politykę wobec własnej strefy wpływów. Brać udział w nowym koncercie równorzędnych mocarstw. Putin walczy z Zachodem, ale nie chce go podbić – chce, żeby Zachód się do Rosji nie zbliżał i pozwolił jej na agresywne, sprzeczne z zachodnimi standardami działania w rosyjskiej strefie wpływów.

eprasa.pl 01e2b22e99

Kreml wyznaje zatem specyficzny geopolityczny pluralizm. Jego korzenie sięgają XIX-wiecznej myśli Nikołaja Danilewskiego. Sprzeciwiał się on uznaniu cywilizacji zachodniej (w ówczesnym wariancie: germańsko-romańskiej) za jedyny możliwy wariant rozwoju ludzkości. Danilewski wyliczył 13 różnych typów historyczno-kulturowych, z których każdy ma prawo do funkcjonowania według własnych wartości. Pluralizm obowiązywał pomiędzy typami, ale już nie wewnątrz danego typu. Cywilizacja słowiańska miała być zdominowana przez Rosję, a wszyscy Słowianie – podporządkowani władzy cara. Z tej koncepcji w mniejszym lub większym stopniu czerpali dwaj współcześni geopolitycy, którzy wywarli wielki wpływ na charakter Putinowskiego imperializmu: Aleksander Dugin i Wadim Cymburski.

Pierwszego przedstawiać nie trzeba. Putin, idąc neoeurazjatyckim tropem, ubrał Rosję w szaty antyliberalnego konserwatyzmu i poszedł na zderzenie z liberalnym Zachodem, „cywilizacją morza”. Jednocześnie szukał porozumienia z Niemcami, których Dugin zalicza do „cywilizacji lądu” i których uważa za potencjalnych „wspólników” eurazjatyckiego imperializmu. Putin inspiruje się ideami neoeurazjatyckimi, ale nie traktuje ich doktrynersko. Wbrew nadziejom Dugina zatrzymał się i nie podbił – jeszcze! – całej Ukrainy. Nie rozpętał też – jeszcze! – pełnowymiarowej wojny z amerykańskimi „atlantystami”.

ROSJA-WYSPA?

Rosja Putina do pewnego stopnia jest też ucieleśnieniem koncepcji Rosji-wyspy, opracowanej jeszcze w latach 90. przez mało dziś znanego geopolityka Wadima Cymburskiego. Podstawą tej wizji jest izolacjonizm. Rosja nie powinna ani podbijać Europy, ani jej naśladować. Jest bowiem wyspą – osobną cywilizacją, od wrogiej reszty świata (czytaj: od pozostałych cywilizacji) oddzieloną „cieśninami”, tzw. Wielkim Limitrofem, czyli terenami pogranicznymi, buforowymi. Do nich zaliczał kraje postkomunistyczne i postsowieckie, w tym Polskę i Ukrainę. Cieśniny nie muszą bezpośrednio należeć do wyspy. Ukraina czy Polska nie muszą być w granicach Rosji. Ważne jednak, by nie stały się częścią jednej z wysp sąsiednich. Muszą pozostać buforami, kontrolowanymi przez Rosję-wyspę, która swoją władzę nad nimi może w razie potrzeby zwiększać bądź zmniejszać.

Podobną strategię Putin zdaje się stosować wobec Ukrainy. Uderzył w 2014 r., aby zablokować jej prozachodni kurs. Swój pogląd jasno wyłożył podczas niedawnej wspólnej konferencji prasowej z Emmanuelem Macronem. Stwierdził, że w sytuacji, gdy Ukraina chce odzyskać Krym, a Rosja nie chce go oddać, wejście Ukrainy do NATO oznaczałoby niechybną wojnę NATO z Rosją. A tego Moskwa nie chce. Jej celem bowiem jest odparcie NATO jak najdalej od swoich granic. Wpływowy prokremlowski politolog Siergiej Karaganow nazwał niedawno pakt północnoatlantycki „rakiem”, którego wycięcie byłoby śmiertelnie niebezpieczne, dlatego trzeba go „terytorialnie ograniczyć”. Czyli – zamiast walczyć z Zachodem, zatrzymać jego polityczną ekspansję. A nawet dojść z nim do porozumienia, kiedy wreszcie ustąpi i zrezygnuje ze wspierania Ukrainy.

IMPERIALISTA PRAGMATYK

Czy wtedy Putin, zgodnie z koncepcją Cymburskiego, zamknie się na „wyspie” i zostawi „cieśninę” w spokoju? Wątpliwe. Putin to imperialista pragmatyk. Planem minimum jest „wyspiarski” izolacjonizm – odsunięcie NATO od granic Rosji i neutralność Ukrainy. Planem maksimum – całkowite uzależnienie jej od Rosji. Najlepiej bez rozlewu krwi – jak w przypadku Białorusi. Dziś praktycznie niemożliwe. Bardzo wątpliwe, by Putin zaryzykował podbój całej Ukrainy. Zgodnie z rosyjską kulturą strategiczną sięga po to, co łatwo zdobyć. Dlatego w 2014 r. zajął Krym. Miał poparcie (przynajmniej sporej części) ludności, Rosjanie nie zdążyli zapomnieć, że do nich należał, a Kijów nie zdążył go zukrainizować.

Gdyby więc Zachód spełnił żądania Kremla i wycofał się z „cieśnin”, „wyspiarze” mogliby ruszyć na ich podbój. Wówczas Putin mógłby zacząć starą jak wielkie księstwo moskiewskie koncepcję „zbierania ziem ruskich”. Co do tego, że chciałby mieć pod butem całą wschodnią Słowiańszczyznę, trudno mieć jakiekolwiek wątpliwości. W opublikowanym latem ubiegłego roku artykule Putin dał do zrozumienia, że naród ukraiński jako odrębny od rosyjskiego został wymyślony przez Polaków i Austro-Węgrów jako narzędzie do walki z Rosją. Stwierdził też, że skoro Ukraina zawdzięcza swoje granice bolszewikom, którzy utworzyli Ukrainę Sowiecką również z ziem „historycznie rosyjskich”, to teraz, gdy zerwała przyjaźń z Moskwą, powinna jej te ziemie oddać. Jeśli Kijów tak bardzo odcina się od komunistycznej przeszłości, to powinien konsekwentnie odciąć się również od wytyczonych przez komunistów granic. Na rzecz Rosji, oczywiście.

Putin głosi, że Ukraińcy, Białorusini i Rosjanie to jeden naród – „trójjedyny naród rosyjski”. Wiernie wspiera go w tym Łukaszenka, który stwierdził kiedyś, że Białorusin to Rosjanin ze znakiem jakości. Integracja z Białorusią postępuje. Zbieranie ziem ruskich przybrało konkretną, nowoczesną formę koncepcji Rosyjskiego Świata („russkij mir”). Pod tą nazwą działa założona przez Kreml fundacja, wspierając Rosjan poza granicami kraju. Agresję na Ukrainę Putin tłumaczył między innymi potrzebą obrony tamtejszych Rosjan przed prześladowaniami. Jedność wschodniosłowiańską wzmacnia też sprzymierzona z kremlowskim tronem Cerkiew. Pozując na obrońcę konserwatywnych wartości przed zachodnim lewicowym liberalizmem, odwołuje się do idei Moskwy – Trzeciego Rzymu. Poza tym wspólnym korzeniem Rosji, Białorusi i Ukrainy jest Ruś Kijowska, której władca – imiennik Putina – przyjął prawosławny chrzest na Krymie.

Putin nie zrezygnuje z imperialistycznego planu maksimum. Będzie robił wszystko, by Ukraińcy kiedyś sami zrozumieli, że są częścią Rosyjskiego Świata. I sami poprosili o „ponowne zjednoczenie”. Polska tą częścią nigdy nie była, nie jest i nie będzie. Co do jej odrębności cywilizacyjnej Putin nie ma wątpliwości. Nie mamy mniejszości rosyjskiej, która byłaby zarzewiem rusofilii i pretekstem do moskiewskiej interwencji. Gdyby jednak Rosja wchłonęła kiedyś nie tylko Białoruś, lecz także Ukrainę, to my stalibyśmy się dla niej najbliższym sąsiadem. Czyli limitrofem, cieśniną, która musi być zneutralizowana i osłabiona, aby „oblężona twierdza Moskwa” czuła się bezpiecznie. Putin miałby o wiele mniejsze możliwości neutralizacji i osłabiania niż dziś w przypadku Ukrainy, ale z pewnością wykorzystałby je maksymalnie. Hybrydowa operacja Łukaszenki pokazała już, gdzie system bezpieczeństwa państwa polskiego ma swoje słabe punkty. Dlatego lepiej, aby to Ukraina była buforem oddzielającym Rosję od Zachodu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

FOT. KREMLIN.RU

Z Michajłą Gonczarem, prezesem Centrum Studiów Globalnych „Strategia XXI", kijowskiego think tanku specjalizującego się w kwestiach bezpieczeństwa energetycznego
rozmawia Piotr Semka

Generał Mróz nie służy Kremlowi

eprasa.pl 01e2b22e99

PIOTR SEMKA: Jakie działania Rosja może podjąć przeciwko Ukrainie? Czy uderzy w systemy energetyczne?

MICHAJŁO GONCZAR: Rosja już prowadzi działania przeciw Ukrainie metodami hybrydowymi. Ostatnie przykłady to cyberataki, które miały miejsce w połowie stycznia. Największe od czterech lat. Zaatakowano strony internetowe wielu ministerstw i organizacji państwowych. Źródłem ataku była grupa hakerska UNC1151, która działała pod auspicjami białoruskiego KGB. Wcześniej brała udział w cyberatakach na litewskie, łotewskie i polskie organy państwowe. Podczas ataków próbowała zostawić „polski ślad".

Na początku lutego obecnego roku doszło do zakłóceń w funkcjonowaniu sieci komórkowej Kyivstar. Niektóre usługi płatnicze również nie działały. Nie można było na przykład zapłacić za prąd przez Internet. Rządowy zespół reagowania na nagłe wypadki komputerowe CERT-UA oficjalnie powiadomił o złośliwych działaniach grupy Armagedon (nadzorowanej przez FSB Rosji). Ogólnie rzecz biorąc, nie była to udana operacja, ale takie ataki powodują panikę. Ludzie nie mogą się do siebie dodzwonić, nie można zapłacić w Internecie, więc natychmiast wyciągają wnioski: o, już się zaczęło, zaraz będzie rosyjska inwazja.

A jak może wyglądać prawdziwy atak militarny? W prasie pojawiają się różne scenariusze...

Kreml postawił na blitzkrieg. Rosja spędziła ostatni rok na demonstracji siły na granicach Ukrainy, ściąganiu wojsk do wschodniej granicy, rozmieszczaniu kontyngentu wojskowego na Białorusi, który przewyższa liczebnie wszystkie białoruskie wojska lądowe. To naraża Ukrainę na atak z północy. Taki północny front miałby za zadanie zaatakować Kijów. Trwały też przygotowania do ewentualnych operacji desantowych na południu – od strony morza.

To miało sprawiać wrażenie, że nastąpi frontalny atak z kilku kierunków, że kolumny czołgów przebiją się przez granicę i masowo podążą w kierunku stolicy. To, moim zdaniem, nie nastąpi.

Najprawdopodobniej chodzi o punktowe uderzenie na Kijów. Wiemy o tym. Nasi sojusznicy – Brytyjczycy i Amerykanie – też to wiedzą. Dlatego w pilnym trybie otrzymaliśmy broń przeciwpancerną oraz przenośne przeciwlotnicze systemy rakietowe z USA i Wielkiej Brytanii.

Putin stracił jednak przewagę zaskoczenia. O przygotowaniach do wojny wiemy od listopada 2021 r. Od tego czasu nasze siły zbrojne są w stanie podwyższonej gotowości. Od 1 stycznia nastąpiły przyspieszone tworzenie i mobilizacja wojsk obrony terytorialnej. Jesteśmy gotowi na twardy opór w przypadku rosyjskiej inwazji. W tym kontekście warto przytoczyć słowa terrorysty Igora Striełkowa, lidera rosyjskiej grupy z FSB, która w 2014 r. uczestniczyła w inwazji na Donbas pod przykrywką „milicji ludowych".

Zaledwie kilka dni temu w wywiadzie powiedział, że Rosja już przegrała, ponieważ Putin nie odważył się uderzyć, kiedy powinien to zrobić. Wszyscy uważnie monitorują sytuację. Nie będzie niespodzianki. Jeśli Putin odważy się na atak, to będzie ogromna liczba ofiar. I nie będzie efektu, na który liczy Kreml.

Dlaczego Rosja robi to teraz?

To nie przypadek. Rok 2022 to dokładnie 100 lat od powstania Związku Sowieckiego. To, co Putin robi w ostatnich latach, jest próbą rekonstrukcji ZSRS. Tu symbolika ma znaczenie. Najpierw przeprowadzili de facto anszlus Białorusi. Potem zrobili to, co bolszewicy nazywali „szturchaniem Europy bagnetem" – serię hybrydowych ataków migrantów na Litwę i Polskę. Reakcja była twarda, Putin przekonał się również, że USA i Wielka Brytania zachowały się w sposób zdecydowany.

Warto podkreślić, że stanowisko Wielkiej Brytanii jest bardzo korzystne zarówno dla Ukrainy, jak i Polski. Oprócz Trójkąta Lubelskiego, czyli umowy o współpracy Litwy, Polski i Ukrainy, powstaje kolejny sojusz między Polską, Ukrainą i Wielką Brytanią, co ma ogromne znaczenie, bo ważne jest pokazanie skonsolidowanej pozycji wobec Rosji przynajmniej grupy państw. Wiadomo, że różne kraje zachodnie mają niejednolite podejście do Rosji. A tutaj musimy zademonstrować zorganizowany opór. To bardzo różni się od oporu osamotnionego jednego państwa. Niestety, za plecami Ukrainy i Polski stoi nasz „hybrydowy przyjaciel", Niemcy, który jest właściwie biernym sojusznikiem Rosji.

Jak mógłby wyglądać scenariusz destabilizacji Ukrainy w oparciu o surowce energetyczne?

Rosjanie od dawna grają na rzecz wewnętrznej destabilizacji Ukrainy. Idea zimowego scenariusza ofensywnego jest następująca: zima jest surowa, na Ukrainie brakuje gazu i węgla. Ceny ogrzewania rosną, a ludzie wychodzą na ulice. Widzieliśmy próby realizacji takiego scenariusza rok temu, kiedy w obwodzie połtawskim doszło do poważnych protestów na tle rosnących cen gazu. To się na razie nie udało. Połowa sezonu grzewczego dobiegła końca. Żartujemy, że kolejny raz w tym roku „Generał Mróz" nie był sojusznikiem Putina.

Rok 2022 to dokładnie 100 lat od powstania Związku Sowieckiego. To, co Putin robi w ostatnich latach, jest próbą rekonstrukcji ZSRS

W jaki sposób udało się Ukrainie kontrolować wzrost cen energii?

Kluczowe znaczenie mają tu nasze elektrownie atomowe. Pierwszy raz w historii ukraińskiego sektora energetycznego wszystkie 15 bloków energetycznych we wszystkich czterech elektrowniach jądrowych pracuje pełną parą. Ogólnie rzecz biorąc, w ciągu ośmiu lat od początku rosyjskiej agresji energia jądrowa była podstawą naszego bezpieczeństwa energetycznego. Jak również dostawy gazu z Unii Europejskiej. Putin liczył, że deficyt gazu w Europie będzie jeszcze większy, i znacząco ograniczył dostawy istniejącymi gazociągami przez Ukrainę, a także przez Polskę.

Europa mimo wysokich cen gazu jakoś sobie radzi. Czy Putin będzie nadal blokował dostawy?

To się zmienia, bo okazało się, że do Europy zamiast rosyjskiego gazu trafia skroplony gaz amerykański. Putin sądził, że uda się rzucić Europę i nas na kolana, ale tak się nie stało. Ponadto USA zwróciły się do Australii i Kataru, największych producentów LNG, o zwiększenie dostaw do Europy. Wysokie ceny sprawiają, że to się opłaca producentom. Nie wiem, czy Putin zrozumiał, że podnosząc ceny na rynku unijnym i ograniczając dostawy, straci jego część. Takie działania Gazpromu przybliżają „koszmar", o którym

eprasa.pl 01e2b22e99

mówiło się w rosyjskich mediach od 2016 r. – kiedy do Europy dotarł pierwszy transport LNG z USA. To był temat wałkowany miesiącami przez rosyjską propagandę, mówiącą, że Amerykanie chcą wyprzeć „tani" rosyjski gaz z Europy.

Oczywiście nie da się całkowicie zastąpić rosyjskiego gazu w Europie. Ale częściowo i w określonych miejscach jest to absolutnie możliwe.

My na Ukrainie możemy mieć problemy następnej zimy. Skończy się gaz z podziemnych magazynów, wykupiony w 2020 r. po niskich cenach, a nowe zakupy to zupełnie inne pieniądze. Rząd będzie musiał podnieść ceny na rynku krajowym, co z pewnością wywoła poważne napięcia społeczne. Wyższe ceny energii prowadzą do wyższych cen w całym łańcuchu dostaw, a w końcu do wyższych cen podstawowej żywności i towarów przemysłowych. Problemy jeszcze przed nami.

Jak silna jest prorosyjska frakcja na Ukrainie?

Obecnie rosyjskie wpływy na Ukrainie znacznie osłabły. Nastroje antyrosyjskie nasiliły się szczególnie w regionach uznawanych za rosyjskojęzyczne – w regionie Charkowa, obwodzie odeskim. Jest to wynik nie tylko działalności organów państwowych, lecz także organizacji pozarządowych i publicznych. Ogromną rolę odegrało zamknięcie niektórych kanałów telewizyjnych, które były wprost zaangażowane w rosyjską propagandę. Kum Putina, Wiktor Medwedczuk, trafił do aresztu domowego. Na jego miejsce chcą umieścić niejakiego Jewgienija Murajewa, byłego deputowanego, otwarcie prorosyjskiego polityka. Nie jest on specjalnie popularny, ale skoro nie ma nikogo lepszego, to dla Rosji dobry i taki.

Czy zwolennicy Rosji mogą przejąć władzę na Ukrainie?

Putin tego chciał. Plan był taki: doprowadzić do protestów społecznych na tle rosnących cen najpierw gazu i węgla, a potem wszystkiego innego. Na protestach pojawią się najpierw hasła gospodarcze, potem otwarcie polityczne – zmiana władzy. Prezydent i parlament muszą zaproponować nowego premiera, który dogada się z Moskwą. Ten załatwi tani gaz z Rosji za cenę politycznej zależności. Wszystko po to, by żyło się lepiej. I do tego scenariusza niepotrzebne są działania wojskowe. Ale to nie wyszło.

Teraz wraca pomysł okiełznania Ukrainy już innymi środkami. W końcu 100 lat Związku Sowieckiego zobowiązuje.

Silna reakcja np. USA i Wielkiej Brytanii pokazuje, że nie wszystko jest tak, jak chciałaby Moskwa

Jaką rolę odgrywa w tym względzie Nord Stream 2?

Od momentu uruchomienia Nord Stream 2 powstanie zupełnie nowa relacja biznesowa między Gazpromem a jego europejskimi spółkami partnerskimi. To pięć firm: niemiecka i po jednej francuskiej, austriackiej i holenderskiej. Gazprom dostarcza gaz, firmy kupują go i odsprzedają na rynku europejskim.

Jeśli Rosja podejmie agresywne działania, np. przeciwko Ukrainie czy krajom bałtyckim, to UE będzie miała związane ręce. Wyobraźmy sobie, że USA i Unia Europejska nakładają sankcje gospodarcze na Rosję, a wśród nich będzie zamknięcie Nord Stream 2. Ale nie da się go po prostu zamknąć. Kurek gazowy znajduje się na terytorium Rosji, a centrum sterowania w Szwajcarii, w kantonie Zug, tj. wszystko poza Unią Europejską. Co więcej, te pięć firm razem z Gazpromem pójdzie do sądu przeciwko niemieckiemu rządowi i Komisji Europejskiej. Będą się powoływać na długoterminowe kontrakty handlowe, ochronę inwestycji itp., a znając sądy europejskie, mają dużą szansę wygrać taki spór. Albo przynajmniej przeciągać go na lata. Dlatego najlepiej nie dopuścić w ogóle do uruchomienia tego gazociągu.

Zachód zachowuje się wobec Rosji reaktywnie. Rosja coś zrobiła – Zachód reaguje. Wprowadza jakieś zazwyczaj niespecjalnie dolegliwe sankcje. Tu trzeba działań wyprzedzających. To jest coś, czego Putin się obawia.

Putin się przeliczył?

Miał nadzieję, że nie będzie żadnych działań prewencyjnych, ponieważ Zachód nie był skonsolidowany. Jednak silna reakcja np. USA i Wielkiej Brytanii pokazuje, że nie wszystko jest tak, jak chciałaby Moskwa.

Problem polega na tym, że niemieccy przyjaciele Rosji, prawdziwi, a nie hybrydowi, faktycznie pomagają Putinowi. Najniebezpieczniejszym wrogiem nie jest ten, którego widzisz na polu bitwy, ale ten, który udaje przyjaciela i atakuje zza pleców. Polska i Ukraina mają kilka miesięcy na zablokowanie NS2 przy wsparciu amerykańskich polityków, takich jak Ted Cruz. Potem może być już za późno.

Jak Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski radzi sobie z tymi wyzwaniami?

Obecny prezydent jest naszym słabym punktem. Nie robi tego, co powinien, głównie dlatego, że w jego najbliższym otoczeniu, „wewnętrznym kręgu", są prorosyjscy agenci wpływu. O konieczności rozwiązania tego problemu mówili mu i Amerykanie, i Brytyjczycy. Ta agentura wpływu popycha prezydenta do „rozmów pokojowych" z rosyjskimi pełnomocnikami tzw. republik Donieckiej i Ługańskiej. Jak dotąd na nic się to jednak nie zdało.

Na szczęście równolegle mamy do czynienia z konkretnymi i zdecydowanymi działaniami armii i ukraińskiej dyplomacji. I to są działania adekwatne do sytuacji i prawidłowe, nastawione na twardą obronę suwerenności. Prezydentowi trudno iść pod prąd opinii publicznej. Ma przed oczami świeży przykład Janukowycza. Jeśli prezydent i jego otoczenie zaproponują jakieś rozwiązania kapitulacyjne w imię jakiegoś mitycznego pokoju, to Zełenski może podzielić los Janukowycza. Pozycję prezydenta osłabiły też ostatnio różne skandale korupcyjne w jego najbliższym otoczeniu, np. duży program budowy dróg często nazywany jest programem wielkiej kradzieży i niestety nie bez powodu. Tak, są nowe drogi, a także nowi oligarchowie i ich fortuny wyrosłe na tych budowach.

To szkodzi Zełenskiemu i obniża jego poparcie, osłabia państwo. Ale Ukraina to nie Zełenski. Zełenscy przychodzą i odchodzą, a Ukraina trwa. A Rosja pozostaje naszym wrogiem. Jeśli nawet wycofa się teraz pod naciskiem USA i opinii międzynarodowej, to nie znaczy, że się zatrzyma. Nie miejmy złudzeń. Putin się nie cofnął, nawet jeśli tak czasem może się wydawać. Musimy zacisnąć zęby i trwać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Michajło Gonczar – prezes Centrum Studiów Globalnych „Strategia XXI", kijowskiego think tanku specjalizującego się w kwestiach bezpieczeństwa energetycznego.

eprasa.pl 01e2b22e99

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY

eprasa.pl 01e2b22e99

Zaczarowana

Małgorzata Wołczyk

Autorom projektu „O naprawie i przywróceniu pamięci ofiar skazanych za czary” najmniej chodziło o same ofiary, a najbardziej o to, aby w tej rezolucji zaprotestować przeciwko odwiecznemu problemowi mizoginii i maczyzmu na hiszpańskiej ziemi

Od dziś czarownice mogą latać z dumą i powszechną aprobatą po niebie historii Katalonii. Parlament zatwierdził projekt rezolucji mającej na celu naprawę i przywrócenie pamięci ponad 800 kobiet oskarżonych o czary, które między XV a XVII wiekiem zostały oskarżone, torturowane i skazane na śmierć jako ofiary »mizoginistycznych prześladowań«” – tak otworzył swój artykuł 26 stycznia kataloński dziennik „La Vanguardia”, opisując z przekąsem kolejny wykwit geniuszu polityków katalońskich.

Właściwie należałoby pogratulować Katalończykom, bo obradowanie nad rezolucją „O naprawie i przywróceniu pamięci ofiar skazanych za czary” może dowodzić, że w przeciwieństwie do reszty Europejczyków naprawdę nie mają większych problemów i spokojnie mogą powalczyć o dobre imię wiedźm.

Odrobina znajomości politycznej sceny Hiszpanii potwierdza, że za najdziwniejszymi inicjatywami stoją zawsze te same skrajnie lewicowe i separatystyczne partie, które już zdołały przekształcić Barcelonę w miasto bezprawia (nazywane jest „ciudad sin ley”). Te same partie, które według raportu think tanku Atlantic Council określane są „koniem trojańskim Rosji” w Hiszpanii, choć raport dotyczył przede wszystkim partii Podemos i jej związków z Kremlem. Sprawa o tyle ważna, że to koalicjant w rządzie premiera Pedra Sáncheza.

ZREWOLTOWANA KATALONIA

Propozycja rezolucji o przywracaniu dobrej pamięci dla czarownic wyszła od proniepodległościowych i skrajnie lewackich grup ERC, JXC, CUP i En Comú Podem. Co warte podkreślenia, socjaliści nie podpisali się pod projektem i uznali, że sesje plenarne powinny być zarezerwowane „dla poważnych i rzeczywistych problemów, które obecnie dotykają obywateli”. Jeszcze więcej sprzeciwu było ze strony posłów VOX i PP, ale to partie separatystyczne mają bezwzględną większość w katalońskiej izbie, więc opór na niewiele się zda.

Sympatykom Hiszpanii trzeba przypomnieć, że Katalonia jest jednak regionem wyjątkowym, bo najbardziej zrewoltowanym społecznie i najbardziej zislamizowanym. Polacy bardzo chętnie udają się na weekend do Barcelony czy na Costa Brava, zapominając, że to region przyprawiający resztę Hiszpanów o nieprzerwany ból głowy z powodu swoistego terroryzmu „grupy trzymającej władzę” w Katalonii. Od wielu lat owa ekipa usiłuje oderwać region (a przy tym Baleary!) od Hiszpanii, choć nie ma większościowego poparcia dla swojego pomysłu nie tylko w samym regionie, lecz także wśród reszty obywateli Hiszpanii. Przede wszystkim zaś konstytucja chroni integralność i nienaruszalność terytorialną Królestwa Hiszpanii. Jedyną jak do tej pory realną konsekwencją tzw. procesu niepodległościowego jest zanotowany spadek PKB Katalonii aż o 4,6 proc. i obsadzenie ponad 4 tys. osób związanych z separatyzmem na publicznych stanowiskach, które „zarabiają więcej niż prezydent rządu Hiszpanii” – przynajmniej taka informacja pojawiła się tydzień temu w „El Mundo”.

Tym, o czym mało się mówi, a co najbardziej dotknęło mieszkańców, jest ucieczka z regionu 7 250 firm i korporacji (stan na 31 grudnia 2021 r.). Najbardziej spektakularnym objawem działania separatystów są nie tylko okresowo płonące ulice, budynki i napaści fizyczne na ludzi VOX, lecz także terror językowy, którego doświadczają mieszkańcy Katalonii, którzy mają życzenie wciąż posługiwać się językiem ojczystym, a nie katalońskim, tyle że to temat na oddzielny artykuł.

ULICE „CZARODZIEJEK”

Ani pandemia, ani inflacja, ani nawet pensje urzędników przy tak ogromnej skali bezrobocia nie są jednak tak ważne jak przywrócenie dobrej pamięci ofiarom prześladowań za czary ze strony kościelnych inkwizytorów. Wszystko to odbywa się jednak wbrew wieloletnim staraniom gremiów naukowych i historyków, aby wreszcie oczyścić tę instytucję z fałszywych zarzutów podnoszonych przy okazji tematu inkwizycji hiszpańskiej.

Obwinia się ją o śmierć tysięcy kobiet oskarżonych o czary, przesądy i zabobony, choć wiadomo, że oskarżał je raczej świecki wymiar sprawiedliwości i to niezwykle często wskutek porachunków sąsiedzkich. Hiszpanie twierdzą, że czarną propagandę

eprasa.pl 01e2b22e99

Barcelona

FOT. ADOBE STOCK

krwawej inkwizycji wymyślili i rozpowszechniają ich odwieczni wrogowie, czyli Anglosasi. Fakt, że Hiszpania zawsze miała szczęście i instynkt samozachowawczy, by nie mieszać się do wojen światowych, dał i tę korzyść, że dość skrupulatne archiwa inkwizycji pozostały nienaruszone i przebadano je już na wszelkie możliwe sposoby. Stąd badacze historii Hiszpanii mają dowody, aby dać odpór krążącym legendom i stwierdzić, że w Hiszpanii przez cztery wieki trwania inkwizycji odnotowano tylko 300 przypadków wyroków za czary, a na stos skazano zaledwie 59 kobiet! To akurat nie jest żadną niespodzianką dla Hiszpanów, bo ich Kościół był bardzo wyrozumiały wobec wybryków kobiet i tak też sobie tłumaczył różne donosy, które napływały do instytucji spod znaku krzyża, szpady i gałązki lauru (herb inkwizycji hiszpańskiej).

Jak wyjaśnił García Cárcel, autor książki „Inkwizycja”: „Pod koniec XVI wieku problem polowania na czarownice nabrał rozmachu, ponieważ europejska i racjonalistyczna inteligencja popadła w obsesję na punkcie diabła i powiązała tę ideę z ideą czarownic”. I nie jest tajemnicą, że ten okrutny fenomen dotknął przede wszystkim kraje protestanckie i najbardziej rozwinięte: Niemcy i Anglię. Gdy nieurodzaj i zaraza powodowały kryzysy gospodarcze i zwyczajny głód, wzmagały się polowania na czarownice. Obecnie badacze szacują, że między połową XV a połową XVIII w. wydano od 40 tys. do 60 tys. wyroków śmierci. Napięcia religijne między katolikami, luteranami, kalwinistami i innymi herezjami zwiększyły brutalność prześladowań.

Publicyści zastanawiają się więc, skąd autorzy rezolucji wzięli liczbę aż 800 zabitych czarownic w samej tylko Katalonii, z których – jak się uważa – większość została powieszona po torturach w świeckich procesach. Ponad dwa wieki po zdarzeniu parlament kataloński zdecydował, że nadszedł czas, aby wymierzyć sprawiedliwość i przystąpić do swego rodzaju ułaskawienia tych kobiet, wzywając do uhonorowania ich. W jaki sposób? Tekst wzywa katalońskie rady miejskie do „zrewidowania nazw ich ulic w celu włączenia imion kobiet skazanych za czary w ich gminie jako ćwiczenie w historycznym naprawieniu ich pamięci i feminizacji nazw miejskich”. Bo – jak tłumaczyła jedna z deputowanych – „Która z nas nie wolałaby mieszkać na ulicy czarodziejki Antonii Rosquellas niż kardynała Cisnerosa?!”.

Dla Susanny Segovii „polowanie na czarownice odegrało fundamentalną rolę w mechanizmach kontroli kobiet w średniowieczu, ponieważ były to kobiety mądre i niezależne, wykraczające poza ówczesną normę”.

ŚWIAT NA OPAK

Oczywiście autorom projektu najmniej chodziło o same ofiary, a najbardziej o to, aby w tej rezolucji zaprotestować przeciwko odwiecznemu problemowi mizoginii i maczyzmu na hiszpańskiej ziemi. Autorzy projektu uważają za absolutnie „niezbędne zadośćuczynienie w obliczu tego, co było jednym z najmniej zbadanych kobietobójstw i które nadal dotyka dzisiejsze społeczeństwo, które prześladuje i stygmatyzuje kobiety, które są poza normą”. Jak wyjaśniła reprezentantka skrajnej lewicy, Jenn Díaz (ERC), winny był też kapitalizm, bo to on „narzucił model uległej kobiety” i odseparował człowieka od natury. (Liczba cytatów w moim tekście jest wymuszona „mądrością etapu” feminizmu i jego nadzwyczajnym językiem, którego nie sposób przenieść bez uszczerbku na ludzki język publicystyki).

Można śmiało przypuszczać, że jest w tym projekcie rodzaj zemsty za narrację prześmiewczą, z którą VOX traktuje radykalne feministki terroryzujące Hiszpanię swymi postulatami. One same wygrażały otwarcie liderowi konserwatywnej partii, wykrzykując na feministycznych pochodach: „Madryt będzie grobem Abascala” i wiele innych haseł, które niestety z powodu rzadkiego połączenia wulgarności i obsceniczności nie nadają się do cytowania na zacnych łamach „Do Rzeczy”. Przy czym nadmienić trzeba, że Abascal nie daje się wyprowadzić z równowagi i zawsze odnosi się do nich z pobłażliwością i wysoką kulturą osobistą. Za to rzeczywiście w powszechnym odbiorze sympatyków VOX uchodzą za „feminazis”, czyli feministki o najgorszych instynktach i zapędach totalitarnych, które przywodzić mają na myśl najgorsze wzorce. One same w licznych marszach, odezwach wolą powoływać się na swoje powinowactwo właśnie z wiedźmami czy czarownicami, a projekt rezolucji miał również przeciwdziałać stygmatyzowaniu kobiet walczących o swoje prawa i chronić je przed językiem nienawiści używanym ponoć przez konserwatystów.

Rezolucja ma również na celu włączenie materiałów o polowaniu na czarownice do programu nauczania w szkołach. Jakkolwiek absurdalnie i kabaretowo to wszystko brzmi, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. I gdy nasze dzieci i wnuki z powodu rezolucji przyjętej na wyższym unijnym szczeblu będą uczyć się listy „świeckich świętych czarownic”, przypomnimy sobie, kto nam zafundował świat na opak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

Rogan na celowniku wroga

FOT. MANDEL NGAN/AFP/EAST NEWS

Piotr Włoczyk

Niezwykle popularny autor podcastów Joe Rogan stał się właśnie wrogiem numer jeden salonu medialnego w USA. Czy lewicy uda się w końcu złamać niepokornego Rogana lub platformę, która publikuje jego rozmowy?

Jak wielkim wyzwaniem dla amerykańskiej lewicy musi być Rogan, skoro do chóru wzywającego do uciszenia go dołączył Biały Dom? „Według nas to dobry krok, to pozytywny krok, ale można w tej sprawie zrobić więcej" – powiedziała ostatnio Jen Psaki, rzeczniczka amerykańskiego prezydenta, odpowiadając na pytanie reportera, jak Joe Biden ocenia reakcję serwisu streamingowego Spotify na kontrowersje wokół jego największej gwiazdy. Amerykańskie media mainstreamowe przyjęły słowa „Można w tej sprawie zrobić więcej" jako jasne opowiedzenie się Białego Domu po ich stronie – Joe Rogan powinien zostać usunięty ze Spotify za „sianie kłamliwych informacji".

Rogan, aktor, komik i komentator sportowy od 2009 r. prowadzi swój podcast „The Joe Rogan Experience", który z biegiem lat stał się absolutnym hitem. Obecnie każdego odcinka jego show na platformie Spotify słucha przeciętnie kilkanaście milionów ludzi. Rogan bije tym samym na głowę CNN, które jest jednym z jego głównych medialnych wrogów (w listopadzie zeszłego roku stację tę oglądało przeciętnie 650 tys. widzów). W 2020 r. Rogan podpisał ze Spotify kontrakt opiewający na 100 mln dol., co było szokiem dla wielu gwiazd tradycyjnych amerykańskich mediów.

Co stoi za fenomenem Rogana? Sprawa jest banalnie prosta: ten atletycznie zbudowany były pięściarz cieszy się ogromną sympatią publiki dzięki niezwykłej umiejętności prowadzenia ciekawych dyskusji niemalże z każdym i prawie na każdy temat. Trudno zapisać Rogana do konkretnej partii politycznej, jego światopogląd to konglomerat przekonań od lewa do prawa, choć widać, że duży nacisk kładzie na kwestie wolnościowe. Wśród jego gości pojawiają się przedstawiciele wszystkich opcji politycznych, ale także sportowcy, naukowcy, specjaliści od survivalu, zdrowego stylu życia czy znani wyznawcy teorii spiskowych (np. Alex Jones).

W przeciwieństwie do talk-show emitowanych w największych stacjach telewizyjnych (prawicowych bądź lewicowych) Rogan nie wciela się w obrońcę konkretnego światopoglądu, tylko z ciekawością w głosie pyta swoich rozmówców o ich punkt widzenia. Trzeba też przyznać, że myśli bardzo logicznie i nie ma problemu z wytykaniem swoim rozmówcom niemądrych wypowiedzi. Rogan potrafi rozmawiać długimi godzinami z Jordanem Petersonem o kryzysie męskości, ale także publicznie palić trawę z Elonem Muskiem i dopytywać go, czy budowanie elektrycznych samochodów rzeczywiście może uratować planetę, czy to jedynie marketingowa „ściema".

Dobrze podsumowała Rogana Jemima Kelly, dziennikarka „Financial Times", pisząc w tej gazecie: „Jeżeli jego krytycy słuchaliby jego podcastu, to wiedzieliby, że jest on naprawdę otwartym na idee gospodarzem programu, który słucha

eprasa.pl 01e2b22e99

przeróżnych opinii, zamiast ślepo podążać za »zestawem obowiązkowym« dla takiego czy innego plemienia politycznego".

NIGDY NA BIDENA

Ultrapopularny podcaster mocno podpadł już amerykańskiemu lewicowemu mainstreamowi w 2020 r., kiedy stwierdził, że woli już zagłosować na Trumpa niż Bidena. Podobną irytację musiała wzbudzić w tych kręgach jego ostra krytyka dopuszczania mężczyzn do rywalizacji w sportach kobiecych. Prawdziwa burza rozpętała się jednak wokół niego w styczniu tego roku, kiedy Neil Young, kanadyjsko-amerykański rockman, zapowiedział, że nie chce występować na platformie Spotify wspólnie z Roganem w związku z tym, co podcaster opowiada o pandemii i jakich gości do siebie zaprasza. „Mogą mieć Rogana albo Younga. Nie mogą mieć nas obu" – ogłosił Young. Ponieważ Spotify nie zamierzało pozbywać się swojej żyły złota, Young ogłosił, że zdejmuje z platformy swoją muzykę. Kilka dni później podobne ultimatum wystosowała kanadyjska piosenkarka Joni Mitchell. Jak tłumaczyła, podcasty Rogana są w jej odczuciu niebezpiecznym narzędziem. „Nieodpowiedzialni ludzie rozsiewają kłamstwa, które w ostatecznym rozrachunku przyczyniają się do śmierci innych ludzi" – powiedziała Joni Mitchell.

Rogan rzeczywiście zapraszał do swojego studia naukowców i lekarzy, którzy wyrażali mniejszy lub większy sceptycyzm wobec akcji szczepień przeciw COVID-19, niektórzy z nich rzeczywiście opowiadali na temat pandemii opinie, które nie wytrzymują konfrontacji z nauką, ale samego Rogana trudno zaklasyfikować jako „antyszczepionkowca". Wielokrotnie przekonywał on w wywiadach, że ludzie starsi i poważnie chorzy powinni przyjąć szczepionki na COVID-19, ponieważ zwiększają one ich szanse na przeżycie. Z drugiej jednak strony mówił też, że młodsi i zdrowi powinni się bardzo poważnie zastanowić przed podjęciem decyzji o przyjęciu szczepionki.

Największe amerykańskie media rzuciły się na Rogana po nagłośnieniu bojkotu ze strony Younga i Mitchell. Przekaz ten został wzmocniony przez list otwarty podpisany przez niemal 300 amerykańskich medyków, którzy domagali się od Spotify podjęcia ostrych działań wobec podcastera. Firma poszła na pewne ustępstwa i ogłosiła, że od teraz kontrowersyjne treści na temat pandemii będą odpowiednio oznaczane. I właśnie do tego nawiązywała rzeczniczka Białego Domu, mówiąc, że to krok w dobrą stronę, ale jednak niewystarczająco daleko idący.

W odpowiedzi na te ataki Rogan nagrał filmik, w którym jedni zobaczyli ugięcie się pod presją, a inni z kolei zwrócili uwagę na część, która wygląda jak obrona poprzez atak.

Podcaster obiecał w nagraniu, że od tej pory co bardziej kontrowersyjne opinie swoich gości będzie „równoważył" opiniami uchodzącymi za bardziej mainstreamowe. W części, która mniej spodobała się lewicowcom, Rogan zwrócił uwagę na to, jak sami naukowcy zmieniali zdanie w ciągu ostatnich dwóch lat. „Mój problem z terminem »informacje wprowadzające w błąd« (ang. misinformation) polega na tym, że wiele rzeczy, które uważaliśmy jeszcze nie tak dawno za dezinformacje, dziś uważanych jest za fakty – mówił podcaster. – Jeżeli osiem miesięcy temu ktoś powiedziałby, że mimo zaszczepienia można złapać COVID i zarażać nim innych, to taka osoba zostałaby usunięta z mediów społecznościowych, zostałaby zablokowana na pewnych platformach. Dziś jednak uważa się to za fakt. To samo z maskami ze zwykłego materiału. Dziś otwarcie to przyznają na CNN. Jeżeli wcześniej ktoś powiedziałby, że COVID powstał w laboratorium, to zostałby zablokowany. A teraz temat ten trafił na okładkę Newsweeka".

Szef Spotify Daniel Ek próbował udobruchać jakoś wściekłą lewicę, równocześnie nie odcinając się za bardzo od swojej największej gwiazdy. „Staramy się wyważyć kreatywność z bezpieczeństwem naszych użytkowników" – powiedział Ek, dodając jednocześnie, że nie chce, by jego platforma zamieniła się w cenzora.

SŁOWO NA „N"

Sposób opowiadania o pandemii to jednak niejedyny problem Rogana. Właśnie rozpętała się bowiem wokół niego kolejna burza. Tym razem chodzi o słowo „czarnuch" (ang. Nigger), którego Rogan używał lata temu w dyskusjach na temat rasy. W żadnym z tych przypadków nie chodziło jednak o intencjonalne obrażenie czarnoskórych. Rogan rozmawiał m.in. o gangsta rapie i cytował słuchaczom fragmenty utworów albo dyskutował z gośćmi nad sensownością całkowitego zakazywania białym wymawiania słowa na „N", nawet jeżeli robi to np. nauczyciel na lekcji historii, przypominając uczniom, jak kiedyś biały pan mówił do swojego niewolnika. Okazuje się bowiem, że w opinii ogromnej większości przedstawicieli amerykańskiej lewicy biały w żadnym wypadku nie może używać słowa na literę „N", nawet jeżeli chciałby wiernie zaśpiewać sobie pod nosem utwór Snoop Dogga czy Tupaca. Ku radości zwolenników ruchu Black Lives Matter Rogan pokajał się i przeprosił za wypowiedziane lata temu słowa na „N".

„Lewica uwielbia grzebać w nagraniach sprzed lat i wyciągać z nich stare, źle wyglądające cytaty. A potem robią z tego ekstrakt, który ma zmusić daną osobę do przeprosin. Musimy tu zrozumieć, że celem wcale nie jest zmuszenie Joego Rogana do przeprosin. Chodzi o to, że jeżeli Joe Rogan przeprosi, to lewica uzna, że ich zarzuty były ze wszech miar słuszne, w związku z czym będą mogli przymusić inne korporacje do realizacji innych swoich postulatów – komentował w swoim show Ben Shapiro, bardzo popularny konserwatywny publicysta. – Jeżeli wcześniej nie mieliście problemu z tym, co Rogan mówił 10 lat temu, to teraz się przymknijcie, bo wszyscy wiemy, o co naprawdę wam chodzi: Rogan ma zniknąć. Tu chodzi o zniszczenie Joego Rogana, ponieważ jest zbyt potężny, ponieważ co tydzień ma dziesiątki milionów słuchaczy".

Czy Rogan ugnie się przed mainstreamem i z obrońcy wolności słowa stanie się synonimem konformisty?

Czy Rogan ugnie się przed mainstreamem i z obrońcy wolności słowa stanie się synonimem konformisty? Znając jego rogatą duszę, nie potrafię sobie tego wyobrazić. Gdyby jednak Spotify postanowiło pozbyć się „problemu", wygląda na to, że otworzą się przed nim nowe możliwości. W zeszłym tygodniu kojarzony z prawicą serwis wideo Rumble zaoferował Roganowi 100 mln dol. za przejście na jego pokład, obiecując, że nikt nie będzie go tam w żaden sposób cenzurował.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 01e2b22e99

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

NIESKOŃCZONA SAMOIZOLACJA

Pan Muzaffer Kayasan z Turcji w listopadzie 2020 r. po raz pierwszy został zdiagnozowany pod kątem COVID-19. Test był pozytywny i mężczyzna został skierowany na samoizolację. Musiał przebywać w domu aż do wyleczenia. Kolejny test wskazał jednak, że dalej jest zarażony. A potem kolejny. Do dziś mężczyzna miał wykonanych w sumie 78 testów. Wciąż wskazują obecność SARS-CoV-2, więc Kayasan przebywa w samoizolacji. Jest uwięziony we własnym mieszkaniu już 14. miesiąc.

KOPNIĘCIE REPREZENTANTA FRANCJI

Kurt Zouma, francuski piłkarz afrykańskiego pochodzenia, właśnie zaprezentował widzom najgłośniejsze swoje kopnięcie. Grający na co dzień w klubie West Ham United obrońca kopnął bowiem nie piłkę, a swojego kota. Nagranie zostało opublikowane na Twitterze. Piłkarz natychmiast wydał oświadczenie, że tak naprawdę w jego rodzinie ten kot jest uwielbiany, a kop był po prostu „jednorazowym incydentem".

LESSIE NASZYM DZIECKIEM

Niedawno Hiszpania znowelizowała prawo i uznała, że domowe zwierzęta powinny być traktowane jak członkowie rodziny – dlatego np. przy rozwodach sądy decydują, z kim pupile powinni pozostać. No i już są pierwsze procesy. Tamtejsze media opisały spór o psa Lessie. Małżonkowie rozstali się i ustalili, że opiekę nad czworonogiem będą sprawować naprzemiennie, ale mężczyzna w końcu zagarnął psa dla siebie. Adwokat kobiety dowodzi, że pies powinien pozostać właśnie z nią, bo była bardziej zaangażowana w opiekę nad nim – dowodem mają być m.in. wyciągi bankowe z widniejącymi opłatami za usługi weterynaryjne.

MOLESTOWANIE?

Znana chińska tenisistka Peng Shuai w mediach społecznościowych wyznała, że była w przeszłości molestowana przez wicepremiera kraju Zhanga Gaoli. Krótko potem wpis zniknął z sieci. Zniknęła też sama tenisistka. Przestała grać w turniejach i pojawiać się publicznie. Ostatnio nagle się odnalazła i twierdzi, że nigdy nikogo nie posądzała o żadną napaść, a ludzie wszystko źle zrozumieli.

ZAKONNICA HAZARDZISTKA

Siostra Mary Margaret Kreuper była dyrektorem St. James Catholic School w Torrance (w Kalifornii). Okazało się, że 80-letnia zakonnica wydawała środki przeznaczone na szkołę w nietypowy sposób – uprawiała hazard w kasynach w Las Vegas. W ten sposób sprzeniewierzyła 825 tys. dol. Sąd nakazał jej właśnie zwrot tej kwoty i skazał ją na jeden dzień więzienia. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Początek końca Facebooka?

Mark Zuckerberg, założyciel znanego z cenzurowania treści serwisu społecznościowego, nie może zaliczyć do udanych ani zeszłego roku, ani początku roku obecnego. Tylko 3 lutego majątek miliardera zmniejszył się o 29 mld dol., gdy akcjonariusze Meta Platforms – firmy będącej właścicielem Facebooka – panicznie wyprzedawali akcje. Kurs spółki runął tak bardzo, że wartość spółki stopniała jednego dnia o ponad 200 mld dol.

Meta kłopotów ma wiele. Po pierwsze, w ostatnim kwartale 2021 r. pierwszy raz w 18-letniej historii serwisu spadła liczba aktywnych użytkowników Facebooka. Chiński TikTok jest popularniejszy i ciekawszy.

Po drugie, Facebook był bohaterem tak wielu afer – sprawa Cambridge Analytica, zeznania byłej menedżerki firmy w sprawie algorytmów nakręcających hejt etc. – że można zrozumieć obawy użytkowników o bezpieczeństwo danych i zachowanie prywatności. Trudno się też dziwić, że ludzie porzucają portal znany z cenzurowania nie tylko konserwatywnych treści oraz partii, lecz także z utrudniania promocji najróżniejszych postów, które mają coś wspólnego z patriotyzmem, historią, religią etc. przy zachowaniu jednocześnie wielkiej wyrozumiałości dla treści lewicowych.

Po trzecie, urzędnicy biorą się do rozwiązania problemu łamania prawa przez właściciela Facebooka. W ubiegłym tygodniu brytyjski urząd ochrony konkurencji (CMA) nałożył na Meta Platforms kolejną karę. W USA o konieczności podziału Facebooka na mniejsze firmy mówią już nawet demokraci. Facebook grozi, że zamknie swoje platformy w Europie, jeśli UE wprowadzi nowe przepisy dotyczące prywatności. Trudno. Po „standardach społeczności" Zuckerberga nikt płakał nie będzie. ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

Poniedziałek – piątek:

od 7:30 **Polska na dzień dobry**
Poranne rozmowy na dobry początek dnia

od 9:30 **Dzień z Republiką**
Konferencje na żywo, najciekawsze materiały i komentarze

od 15:20 **Republika po południu**
Ciekawi goście i burzliwe dyskusje

od 17:15 **Wolne Głosy**
Komentarze aktualnych wydarzeń

18:30 **Dzisiaj**
Główne wydanie serwisu informacyjnego

REPUBLIKA

Jeszcze więcej **informacji**
Jeszcze więcej **prawdy**
w Telewizji Republika

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, za pośrednictwem Internetu oraz drogą naziemną w systemie DVB-T (Katowice i bliska okolica), a także w systemie DVB-T2 (Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).

eprasa.pl 01e2b22e99

FOT. ADOBE STOCK

Kraj	Wydobycie soli potasowych (mln ton) 2020	2021	Przyrost wydobycia (proc.)	Zasoby (mln ton)	Produkcja zbóż (mln ton)
Kanada	13,8	14	1,4	4 500	13,6
Rosja	8,1	9	11,1	?	14
Białoruś	7,4	8	8,1	3 300	1,2
Chiny	6	6	0,0	?	260,7
USA	0,460	0,48	4,3	970	360,2

Na podstawie: https://pubs.usgs.gov/periodicals/mcs2022/mcs2022.pdf, http://www.worldagriculturalproduction.com/crops/corn.aspx

Cena sankcji

Andrzej Solecki

W przeciwieństwie do surowców energetycznych sole potasowe są nie do zastąpienia. Sankcje nałożone na Białoruś grożą wzrostem cen nawozów potasowych dla europejskiego rolnictwa

Litwa od 1 lutego 2022 r. zablokowała tranzyt białoruskich soli potasowych. Białoruś odpowiedziała blokadą przewozu na Litwę produktów ropopochodnych, nawozów chemicznych i mineralnych. Posunięcie Litwy jest kontynuacją sankcji wprowadzonych przez Unię Europejską, Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię po budzących wątpliwości wynikach wyborów na Białorusi.

Aby ocenić, jakie skutki mogą mieć te sankcje dla Białorusi i gospodarki światowej, w tym polskiej, trzeba zapoznać się ze znaczeniem gospodarczym związków potasu.

Potas jest jednym z pierwiastków niezbędnych zarówno dla roślin, jak i zwierząt. Występuje on w glebie w ograniczonej ilości w zależności od składu skał podłoża. Intensywna uprawa rolna wymaga stałego uzupełniania niedoboru potasu w glebie. Ważnym źródłem potasu był popiół z wypalania karczowanych obszarów leśnych. Popiół ze spalanego drewna może stanowić do ok. 3 proc. jego masy i zawiera ok. 16 proc. K_2O – tlenku potasu.

W wyniku ługowania popiołów drzew liściastych uzyskiwano wodorotlenek potasu, który reagując z dwutlenkiem węgla z powietrza, zmieniał się w węglan potasu. Ponieważ proces ługowania popiołu (ang. ash) prowadzony był w dużych garnkach żelaznych (ang. pot), produkt ten – zwany pierwotnie w XV-wiecznym niderlandzkim „potaschen" – po angielsku nazwano „potash". Anglojęzyczny termin „potash" służy obecnie do określenia wszelkich soli potasowych, także tych pozyskiwanych ze złóż mineralnych. W języku polskim słowo „potaż", zapożyczone w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów od niderlandzkich i gdańskich kupców, używane jest tylko dla określenia produktu pozyskiwanego z popiołów z drewna. Filip Walter, uczestnik powstania listopadowego i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wyprowadził z niej polską nazwę pierwiastka – potas.

Potaż stał się przedmiotem handlu międzynarodowego w Europie co najmniej od początku XIV stulecia. Ocenia się, że import potażu przez Anglię na początku XVII stulecia wynosił ok. 6 mln m sześc. Głównym dostawcą była Rzeczpospolita wykorzystująca porty w Gdańsku i Królewcu. Siedemnastowieczne walki ze Szwecją, które rozpoczął w swoim prywatnym, dynastycznym interesie Zygmunt III Waza, spowodowały, że centrum eksportu przesunęło się do Archangielska. W wieku XVIII na rynku brytyjskim dominował potaż rosyjski, chociaż potaż gdański był bardziej ceniony z powodu swojej wysokiej jakości.

Dzięki współpracy z polskimi specjalistami w XVIII w. na rynku brytyjskim pojawił się również potaż amerykański. Technologii jego produkcji nauczyli angielskich kolonistów Polacy sprowadzeni przez gubernatora Nowej Anglii Johna Smitha, który w swoim burzliwym życiu miał epizod pobytu w Rzeczypospolitej związany z ucieczką z tatarskiej niewoli. Prawdopodobnie wtedy poznał polskich specjalistów od przeróbki drewna, którzy dzięki jego inicjatywie przybyli do Nowej Anglii już w roku 1608, czyli 12 lat przed słynnymi „pielgrzymami", na których dziedzictwo powołują się najszacowniejsze rodziny USA. Polscy specjaliści założyli pierwsze na ziemi amerykańskiej manufaktury i w roku 1619 zorganizowali pierwszy strajk polityczny, walcząc o prawo głosu w nadchodzących wyborach.

Produkcja potażu stała się bardzo ważną dziedziną gospodarki amerykańskiej. Wynikało to z konieczności karczowania lasów pod uprawę. Z jednego kilometra kwadratowego wykarczowanego lasu można było uzyskać do 900 m sześc. popiołu, co dawało dochód

eprasa.pl 01e2b22e99

sięgający 1500 dol./km kw., wystarczający na wynajęcie pracownika do oczyszczenia tego obszaru. Aż do połowy XIX w. zastosowanie potażu ograniczało się głównie do produkcji mydła, szkła oraz bielenia tkanin.

Po odkryciu w roku 1851 soli potasowych w kopalni permskiej soli kamiennej w Stassfurcie niemieccy badacze wykazali, że są one cennym nawozem mineralnym. Współczesne rolnictwo nie byłoby w stanie zabezpieczyć żywności dla mieszkańców naszej planety w przypadku załamania ich wydobycia.

W roku 1854 w zaborze austriackim, w okolicach Kałusza, odkryto sole potasowe wieku mioceńskiego. W roku 1905 na wschodnich stokach Uralu w okolicy Solikamska również odkryto sole potasowe. W roku 1943 złoża dewońskich soli potasowych odkryto w kanadyjskiej prowincji Saskatchewan. W roku 1949 odkryto złoża dewońskich soli potasowych na Białorusi. Jak wrażliwy na konflikty zbrojne jest handel solami potasowymi, wskazuje wzrost cen na rynku amerykańskim w okresie pierwszej wojny światowej z 35 do 600 dol. za tonę w wyniku odcięcia dostaw z kopalń niemieckich.

ROZWÓJ KONFLIKTU

Dzięki wydobyciu z dewońskich złóż na Białorusi i permskich złóż w rejonie Uralu po drugiej wojnie światowej Związek Sowiecki stał się największym producentem soli potasowych. Po jego rozpadzie niezależna od Federacji Rosyjskiej polityka Łukaszenki doprowadziła do pierwszych zawirowań w synchronizacji produkcji na tym obszarze. Ceny soli potasowych gwałtownie spadły o 20 proc. po rozpadzie największego światowego, rosyjsko-białoruskiego kartelu górniczego prowadzącego ich wydobycie. Rozpad ten, do którego doszło w lipcu 2013 r., spowodowany był przez wyjście rosyjskiego Uralkali z białoruskiego kartelu Belarusian Potash Co, w którym pozostał tylko Biełaruśkalij. Aresztowanie dyrektora generalnego Uralkali Vladislava Baumgertnera w Mińsku we wrześniu 2013 r. ujawniło głęboki rozdźwięk pomiędzy sprywatyzowanym rosyjskim i państwowym białoruskim partnerem. W odwecie Rosja ogłosiła 25-procentową redukcję dostaw ropy na Białoruś i zakaz importu wieprzowiny.

Po wyborach prezydenckich w 2020 r. Biełaruśkalij stał się jednym z ośrodków strajków, co spowodowało falę represji wobec załogi. 21 stycznia 2021 r. pod naciskiem norweskiej firmy Yara International, największego sprzedawcy białoruskich soli, Biełaruśkalij oświadczył, że zwolnieni pracownicy zostaną przywróceni do pracy.

10 stycznia 2022 r., uwzględniając unijne, brytyjskie i amerykańskie sankcje, firma Yara International wydała oświadczenie, w którym stwierdza, że zobowiązuje się do przestrzegania wszystkich obowiązujących przepisów i regulacji, w tym sankcji. W pierwszej części swojego oświadczenia sygnalizuje jednak fakt, że „skutki obecnych sankcji wobec Białorusi zmniejszają zdolność Yary do pozytywnego wpływania na bezpieczeństwo i samopoczucie pracowników Biełaruśkalij".

Litewska blokada tranzytu białoruskich soli potasowych, która weszła w życie 1 lutego 2022 r. jest kolejnym etapem rozwoju konfliktu, który przyspiesza integrację białorusko-rosyjską. W obliczu zachodnich sankcji odchodzi w przeszłość rosyjsko-białoruski konflikt z roku 2013 i następuje intensyfikacja współpracy także na kierunku chińskim.

O geopolitycznym znaczeniu wydobycia soli potasowych świadczą liczby przedstawione w tabelce.

W roku 2020 W Stanach Zjednoczonych wydobyto tylko 0,460 mln ton soli potasowych. W Kanadzie w tym samym roku wydobyto 13,8 mln ton, na Białorusi 7,4 mln ton, w Chinach 6 mln ton, a w Rosji 8,1 mln ton. Rok później w Stanach Zjednoczonych wydobycie sięgnęło 0,480 mln ton, w Kanadzie 14 mln ton, na Białorusi 8 mln ton, w Chinach pozostało na tym samym poziomie 6 mln ton, a w Rosji wzrosło do 9 mln ton. Jak widać, największy wzrost wydobycia odnotowały Rosja i Białoruś, przy czym Białoruś wśród przedstawionych w tabeli krajów jest najmniejszym i najmniej ludnym krajem. Produkcja zboża na Białorusi jest niewielka, co wpływa na jej wysoką zdolność eksportową w zakresie soli potasowych. Deficyt zaopatrzenia w sole potasowe jest szczególnie duży w przypadku Stanów Zjednoczonych, które w ostatnich latach zmuszone były importować ok. 7 mln ton głównie z Kanady (75 proc.), Rosji (10 proc.) i Białorusi (8 proc.).

Dla Białorusi nie powinno być problemem przestawienie eksportu na wykorzystanie jedwabnego szlaku w celu zaspokojenia swojego głównego chińskiego odbiorcy. W przypadku białoruskich soli potasowych istnieje możliwość transportu linią kolejową przez Witebsk do Petersburga, który zaczyna odgrywać coraz większą rolę jako europejska końcówka jedwabnego szlaku. W zależności od kosztów można rozważać transport kolejowy, transport morski przez Bałtyk lub kanałami śródlądowymi do Oceanu Arktycznego lub Morza Kaspijskiego.

O zainteresowaniu Chińczyków pozyskiwaniem nowych źródeł tego surowca świadczy to, że już w grudniu 2013 r. Chinese Chengdong Investment Corporation posiadała 12,5 proc. udziału w rosyjskim Uralkali. Sole potasowe Białorusi stanowią jedną z kluczowych przyczyn rozwoju chińsko-białoruskiej współpracy.

ROSNĄCE ZNACZENIE

Rola złóż soli potasowych w gospodarce światowej będzie rosnąć w związku z koniecznością zaspokojenia potrzeb żywnościowych coraz większej liczby ludności. Już teraz zapotrzebowanie na sole potasowe na świecie jest ogromne, zwłaszcza w krajach Azji Południowo-Wschodniej i Ameryki Południowej. W chwili obecnej Białoruś nie będzie miała problemów z przekierowaniem tam eksportu. Zwrot białoruskiego eksportu grozi wzrostem cen nawozów potasowych dla europejskiego rolnictwa. Alternatywny kanadyjski dostawca prowadzi wydobycie w położonej w centrum kontynentu prowincji Saskatchewan i koszty transportu są znaczne. Wstępnie rozpoznane polskie złoża pod Zatoką Pucką, które były przedmiotem sporu KGHM z brytyjską firmą Darley Energy Poland, zawierają prawdopodobnie ok. 600 mln ton tego surowca, ale daleko jeszcze do ich dokładnego zbadania i udostępnienia.

W dalszej perspektywie wyeliminowanie Białorusi z europejskiego (czy nawet światowego) rynku znacząco wzmocni pozycję kanadyjskich producentów, stworzy też bardzo korzystne perspektywy dla budowanej w Anglii przez Anglo American PLC gigantycznej kopalni Woodsmith planującej produkcję rzędu 20 mln ton rocznie przez okres 100 lat.

Na razie pozostaje nam w rezerwie alternatywa powrotu do użyźniania ziemi popiołem ze spalanej biomasy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem Zakładu Gospodarki Surowcami Mineralnymi, kierownikiem Zakładu Gospodarki Surowcami Mineralnymi.

eprasa.pl 01e2b22e99

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wielki spisek przeciw Polsce

Podejmiemy wszelkie działania w Brukseli i w Polsce, by ochronić Polaków przed skutkami błędnej polityki, jaką serwuje Komisja Europejska. Zrobimy wszystko, aby pakiet »Fit for 55« nie wszedł w życie" – oświadczył wicepremier Sasin. A mówił, koniecznie trzeba dodać, o pakiecie „Fit for 55", zaaprobowanym, i to uroczyście, przez jego szefa – premiera Morawieckiego.

Cóż, gdy uważnie wsłuchać się w ostatnie wypowiedzi wielu wysokiej rangi polityków PiS, bo przecież nie tylko Jacka Sasina, nietrudno dojść do przekonania, że w UE zawiązano jakiś przeogromny, o niesłychanym zasięgu spisek – a może nawet całą serię potwornych spisków, których ofiarą padła, a właściwie co i rusz, i to od lat, raz po raz, a ostatnio jakby coraz częściej, pada Polska.

Oto bowiem – a to ktoś w jakiś przedziwny sposób zachęci (?), nakłoni (?), przymusi (?) premiera Polski do zaakceptowania i podpisania niedorzecznie wyśrubowanego pakietu klimatycznego UE, który potem, jak się okazuje, jest dla Polaków – a więc i dla Polski, w imieniu której dokument ten został podpisany – po prostu nie do udźwignięcia, a to znów ktoś to samo uczyni z premierem Polski w sprawie tzw. unijnego Funduszu Odbudowy (odbudowy po absurdalnych lockdownach w związku z COVID-19), z którego – jak szybko wychodzi na jaw – Polska nie dostaje nic oprócz rachunków do zapłaty, które zobowiązała się uiszczać itd.

I przecież niepodobna inaczej niż zawiązanym przeciw Polsce i jej legalnym władzom spiskiem – i to spiskiem gigantycznym, rozgałęzionym, wielowymiarowym, wielopaństwowym i na domiar wielonarodowym – wyjaśnić, że polski premier podpisał w imieniu Polski umowy sporządzone akurat w takim właśnie brzmieniu, które niedługo potem – i to nawet w oczach polityków rządzącego PiS – uchodzić zaczynają za w istocie wprost wymierzone w Polaków, a więc w Polskę i jej żywotne interesy.

Albowiem z całą pewnością nie jest tak – bo po prostu tak być nie może – że premier Polski podpisuje w imieniu Polski jakiekolwiek umowy, uprzednio ich nie przeczytawszy, i to nie przeczytawszy ze zrozumieniem, a to oznacza – ze świadomością skali zmian i kosztów tych zmian, jakie wraz z podpisaniem tych umów w imieniu Polski sprowadza na Polskę, a więc i na Polaków. Ani też – bo to również wykluczone – że premier Polski podpisuje takie umowy z pełną świadomością, iż są one dla Polaków i Polski nie do przyjęcia, po cichu licząc, że… „jakoś to będzie", a my się z ich postanowień i tak nie wywiążemy.

W tej sytuacji niezbędne jest natychmiastowe podjęcie szeroko zakrojonego śledztwa – proporcjonalnie szeroko do wielkich rozmiarów owego spisku; śledztwa, które wyjaśni, kim są owi nastający na polskiego premiera spiskowcy, oraz doprowadzi do ich szybkiego ujęcia i postawienia przed sądem. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Tamowanie strumienia

Próby powstrzymania przedsiębiorczości są jak próby postawienia w górskim, wartkim strumieniu tamy z niedopasowanych i niczym niespojonych otoczaków. To się nie może udać. Tę lekcję dostali już komuniści, również w tych latach, kiedy za bycie przedsiębiorcą – czyli „spekulantem" – groziły drastyczne kary. W Internecie można bez trudu odszukać dawne kroniki filmowe, w których pokazywano schwytanych przez dzielną milicję złoczyńców w sposób podobny, jak w nazistowskich Niemczech pokazywano Żydów. Komuniści mieli piękne wzorce.

Już od dość dawna sondaże pokazują jednoznaczną przewagę zwolenników zniesienia zakazu niedzielnego handlu

Niczego natomiast nie nauczyła się Solidarność, która uparcie stara się uszczelniać zakaz niedzielnego handlu. Kiedy po 2015 r. PiS postanowił spłacić dług Piotrowi Dudzie i wprowadzić najbardziej restrykcyjną wersję zakazu – mimo że na stole były rozsądne, kompromisowe propozycje – pisałem, że to nic nie da. Że to będzie klasyczna zabawa w kotka i myszkę między socjalistycznym państwem a przedsiębiorcami. I dokładnie tak się stało.

Już od dość dawna sondaże pokazują jednoznaczną przewagę zwolenników zniesienia zakazu handlu nad zwolennikami jego utrzymania. Tych pierwszych jest dobrze ponad 50 proc., tych drugich trochę powyżej 30 proc. Tymczasem władza uszczelnia zakaz, który plasuje nas w unijnej mniejszości (żadnych ograniczeń nie ma w aż 17 państwach UE), zaś Solidarność namawia ludzi do donosicielstwa i sama też donosi na tych, którzy wykorzystują istniejące możliwości. Co nie jest łamaniem prawa.

Jakie będą konsekwencje, nietrudno przewidzieć. Gdyby wprowadzono zasady kompromisowe – np. obowiązkowa wyższa stawka za pracę w niedzielę plus dla każdego pracownika dwie wolne niedziele w miesiącu do wyboru – regulacja po ewentualnie przegranych przez PiS wyborach pewnie by się ostała. Ale jako że przyjęto wersję ekstremalną, zakaz zostanie zapewne po prostu skasowany – i tyle. Gdybym był na miejscu następców PiS z obecnej opozycji, zrobiłbym to bez wahania, po prostu spoglądając na sondaże. I zgarnąłbym za to premię w punktach poparcia.

Na dodatek przyjęte w Polsce regulacje są potężną zachętą, aby pracować nad jak najszybszym uruchomieniem sklepów całkowicie samoobsługowych. Takie zresztą już istnieją, choć na razie są w fazie prób. Gdy staną się powszechne, zwalniani pracownicy handlu powinni serdecznie podziękować Piotrowi Dudzie. ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

TEST „DO RZECZY": ZESTAW INTELIGENTNYCH KAMER EZVIZ BC1

Rewelacyjna bateria, banalnie prosta instalacja, dobra jakość nagrań, kolorowy obraz w nocy oraz możliwość jednoczesnego rejestrowania zdarzeń w chmurze lub bezpłatnie na karcie SD – to największe zalety zestawu bezprzewodowych inteligentnych kamer chińskiej firmy EZVIZ.

Testowany zestaw składa się z dwóch bezprzewodowych kamer oraz stacji bazowej, którą podpina się do prądu i to ona łączy się z domowym Internetem. W stacji bazowej instaluje się kartę microSD (o wielkości do 256 GB), w której przechowywane są nagrania z podłączonych kamer. Można też z nią sparować do czterech bezprzewodowych kamer.

Producent chwali się, że zastosowany w kamerkach akumulator o pojemności 12 900 mAh pozwala im pracować na jednym ładowaniu nawet przez cały rok. Nasz test trwał krócej, więc nie możemy potwierdzić tej informacji, choć bateria robi rewelacyjne wrażenie i bazując na tym, ile procent ubyło podczas testu, wydaje się, że akumulator rzeczywiście może wytrzymać rok pracy bez konieczności ładowania. A jeśli kamera miałaby być dłużej niż rok wykorzystywana z dala od gniazdka elektrycznego, to można ją podłączyć do panelu słonecznego EZVIZ (kosztuje ok. 150 zł).

Kamera przeznaczona jest do pracy wewnątrz lub na zewnątrz (stopień ochrony przed pyłem i wodą wynosi IP66). Jakość nagrań rejestrowanych w rozdzielczości Full HD z prędkością 30 klatek na sekundę jest bardzo dobra. Podobać może się również kolorowy obraz w nocy, choć przejście na obraz monochromatyczny sprawia, że w ciemności widać nieco więcej szczegółów.

Kamery są też wyposażone w funkcję inteligentnego wykrywania ruchu lub osób (w aplikacji można ustawić, czy urządzenie ma wysyłać alarm w przypadku jakiegokolwiek ruchu czy tylko wówczas, gdy oprogramowanie rozpozna ludzką sylwetkę). Kamery wyposażone są również we wbudowane syreny alarmowe oraz niewielkie reflektorki, które mogą migać, aby odstraszyć potencjalnego włamywacza.

Dzięki wbudowanym mikrofonom i głośnikom kamery można też wykorzystać do rozmowy z niezapowiedzianymi gości, np. z kurierem.

Wady? Korzystanie z zapisu w chmurze jest bezpłatne przez pierwszy miesiąc. Po okresie próbnym trzeba już wykupić subskrypcję, która w zależności od wybranego okresu przechowywania kosztuje 209,99 zł rocznie dla pojedynczej kamery lub 349,99 zł dla maksymalnie czterech kamer. To sporo nawet w porównaniu z takimi firmami jak Nest, Ring czy Arlo. Na szczęście bez ograniczeń bezpłatnie można korzystać z nagrywania na kartę microSD (choć szkoda, że w zestawie nie ma karty, trzeba ją dokupić). Sama usługa automatycznych powiadomień również jest darmowa bez żadnych ograniczeń. I ostatnia wada: jakość dźwięku przypomina bardziej komunikaty w tramwajach niż podcast stereo, ale jest w zupełności wystarczająca do przeprowadzenia krótkiej rozmowy na odległość.

Mimo tych drobnych minusów zestaw EZVIZ jest godny polecenia dla osób, które chcą samodzielnie i stosunkowo tanio stworzyć inteligentny system monitoringu domu lub mieszkania. Cena testowanego zestawu wynosi 1243 zł. Pojedyncze kamery można dokupić do zestawu za ok. 600 zł. ©℗

Jacek Przybylski

OPASKA Z CZUJNIKIEM TĘTNA

Heart Rate Band amerykańskiej firmy Peloton to sportowa opaska na ramię z wbudowanym czujnikiem tętna. Wyjątkowo praktyczny jest też zestaw pięciu wskaźników LED, które na bieżąco podczas treningu pokazują, w której strefie tętna jest akurat użytkownik. Urządzenie łączy się ze smartfonem poprzez Bluetooth. Brakuje jednak wsparcia dla protokołu ANT+. Bateria w opasce starcza według producenta na 10 godzin pracy na jednym ładowaniu. Gadżet jest już w sprzedaży i zbiera całkiem pozytywne recenzje. Jego cena wynosi 90 dol., czyli równowartość 360 zł.

OSUSZYĆ UCHO PŁYWAKA

DearBuds to gadżet dla osób, które chcą w prosty i nowoczesny sposób zadbać o higienę i zdrowie własnych uszu. Urządzenie wygląda jak tradycyjne słuchawki, ale nie da się przez nie posłuchać muzyki. Jego zadaniem jest osuszanie kanału słuchowego. To ważne, bo długotrwałe lub częste przebywania w wodzie – np. w basenie – lub wielogodzinne noszenie słuchawek dokanałowych może prowadzić do zapalenia ucha zewnętrznego, co wiąże się z bólem, swędzeniem, gorączką, a w skrajnych przypadkach może prowadzić do upośledzenia słuchu. DearBuds do pozbycia się zbędnej wilgoci – dzięki wykorzystaniu ciepła i światła ultrafioletowego – potrzebuje zaledwie ok. 3 minut. Poziom wilgotności uszu można sprawdzać na niewielkim ekranie w etui do „słuchawek". Cena i data premiery nie są jeszcze znane. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 01e2b22e99

Z Beniaminem Czaplą, historykiem, bibliotekarzem, publicystą
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Czas to pieniądz

Wiele osób myśli, że Antoni Patek był Francuzem lub Szwajcarem. Niewielu wie, że był Polakiem FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 01e2b22e99

Firmowy napis na genewskiej siedzibie firmy FOT. ADOBE STOCK

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Bohater pańskiej książki stworzył najsławniejszą w świecie polską markę?

BENIAMIN CZAPLA: Rzeczywiście, wielu z moich rozmówców zwraca na to uwagę. Nie ulega wątpliwości, że spółka Patek Philippe to po dziś dzień jedna z najsłynniejszych i najbardziej prestiżowych manufaktur produkujących zegarki. Nie udałoby się to, gdyby nie pomysłowość i zaradność jej założyciela – urodzonego w 1812 r. w Piaskach Szlacheckich (woj. lubelskie) Antoniego Patka. Jednak nie każdy w Polsce zna historię tej firmy. Wiele osób żyje w przekonaniu, że Patek był Francuzem lub Szwajcarem. Chyba najbardziej oryginalną teorią podzielił się ze mną pewien pan, który uznał go za… rosyjskiego Żyda! Oczywiście możemy nad tym ubolewać. W końcu to nasz rodak. Pamiętajmy jednak, że polski wątek tej historii skończył się wraz ze śmiercią Antoniego w 1877 r. Od tego czasu minęło już prawie 140 lat! A przecież zdarza nam się zapominać o wynalazcach i bohaterach żyjących znacznie później…

Za młodu był dzielnym powstańcem.

Wywodził się z drobnoszlacheckiego domu. Jego matka – Anna Piasecka – była córką drobnych posiadaczy ziemskich we wspomnianych już Piaskach Szlacheckich. Joachim Patek, czyli jego ojciec, był natomiast ważnym urzędnikiem – administratorem magazynu soli w Górze Kalwarii. Tam też (lub w pobliskiej Warszawie) Antoni spędził swoje dzieciństwo. Nie była to może bardzo zamożna rodzina, ale też nie należała do najuboższych. Niedługo po śmierci Joachima nastoletni Antoni wstąpił do armii. Służył w 1. Pułku Strzelców Konnych. Należy odłożyć do lamusa teorię, jakoby chciał w ten sposób podratować finansowo osierocone matkę i siostrę. Aby móc sobie pozwolić na taki wydatek, musiałby bardzo szybko awansować, co w ówczesnych realiach było niemożliwe.

29 listopada 1830 r. wybuchło powstanie listopadowe. Jest to bardzo ważna cezura w życiu Patka. W styczniu 1831 r. został oddelegowany przez dowódcę Pułku Strzelców do pomocy w organizowaniu Jazdy Augustowskiej – jednego z kilkunastu oddziałów formowanych z tzw. jazdy dymowej. W szeregach tej jednostki Antoni brał udział w bitwach pod Długosiodłem, Grochowem, Mińskiem czy w obronie Warszawy pod koniec 1831 r. Za zaangażowanie na polu bitwy został odznaczony Krzyżem Złotym Orderu Virtuti Militari. Niestety, rebelia upadła, a jej uczestnicy zostali zmuszeni do opuszczenia Królestwa Kongresowego i udania się na emigrację.

Na obczyźnie Patek zrazu pracował jako zecer, a potem studiował malarstwo?

Pierwszym z wymienionych zawodów parał się we francuskim Amiens. Przeniósł się tam z Morbihan, gdzie znajdował się jeden z kilku obozów dla polskich emigrantów. Co ciekawe, chęć ułożenia sobie życia za granicą nie była dla przybyłych na Zachód weteranów czymś oczywistym. Wielu z nich bardzo długo żyło nadzieją na międzynarodowy konflikt, który pozwoliłby im wrócić do ojczyzny i walczyć o jej niepodległość. Stąd też powszechne pośród wychodźstwa bieda i zatargi z prawem. Na tym tle Antoni zdaje się chlubnym wyjątkiem. Praca w drukarni nie trwała jednak zbyt długo. Już w listopadzie 1835 r. pojawił się w Genewie, najprawdopodobniej na zaproszenie swego przyjaciela, Thomasa Moreau. Tam też, rzekomo uczęszczając na zajęcia prowadzone przez wybitnego szwajcarskiego malarza i grafika – Aleksandra Calame'a, uczył się rysunku.

Kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach zaistniały w jego biografii zegarki?

Wydaje się niemal pewne, że zainteresowanie tym tematem ugruntował w Polaku wspomniany już Moreau, który dostrzegł smykałkę Patka do zegarmistrzostwa. Namówił go więc do spróbowania swoich sił w tej branży. Jego pierwszym wspólnikiem został zegarmistrz i współemigrant – Franciszek Czapek. Spółka Patek, Czapek et Cie została powołana do życia w 1839 r.

Ten wspólnik był rodakiem?

Nie, Czechem, urodził się w 1811 r. w Semonicach (obecnie część Jaroměřa), ale w czasie powstania listopadowego służył w szeregach warszawskiej Gwardii Narodowej, pilnującej porządku w mieście, a po upadku zrywu wyjechał do Szwajcarii, gdzie kontynuował przerwany wojną fach. Współpraca obu panów trwała do roku 1845 i zakończyła się trwającym wiele lat sporem. Niestety, do dziś nie zachowały się żadne listy czy wspomnienia Czapka. Znamy tylko relacje Patka. Sugerował, że jego kompan opuścił się w pracy, nie przychodził do warsztatu (absencje miały trwać nawet kilka tygodni) i odnosił się lekceważąco do współpracowników. Nie wiemy, ile w tym prawdy. Być może równie duże znaczenie odegrał w tej kwestii nieco apodyktyczny charakter Antoniego…

Owocniejsza okazała się jego współpraca z pewnym Francuzem…

Z pewnością trwalsza! Acz i tutaj nie brakowało kryzysów. Adrien Philippe, bo o nim mowa, zasłynął zaprojektowaniem i opatentowaniem systemu nastawczo-naciągowego. Mowa o koronce zegarka, tj. pokrętle, które pozwala nakręcić mechanizm i ustawić czas. Biorąc pod uwagę to, że wtedy w tym celu należało mieć bardzo nieporęczny kluczyk, był to nie lada wynalazek! Philippe zaprezentował swój projekt w 1844 r., podczas Francuskiej Wystawy Przemysłowej. Tam też jego pomysłowość przykuła uwagę Antoniego, który już rok później zaproponował mu pracę w swojej wytwórni. Skądinąd zaproponowany przez Francuza koncept nie znalazł szerszego zastosowania w warsztacie spółki Patek & Cie. Jego wiedza i ambicje stały się

eprasa.pl 01e2b22e99

jednak istotną częścią prowadzonego przez Patka marketingu. Nie zapominajmy również o trzecim wspólniku – Wincentym Gostkowskim. To również szalenie ciekawa postać!

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wyroby marki Patek Philippe nie są na każdą kieszeń...

Musimy sobie uświadomić to, że u progu XIX w. powołano w Genewie wiele instytucji regulujących tamtejszą produkcję zegarków. Jedną z nich było Le Bureau de contrôle des matières d'or et d'argent, czyli biuro kontrolujące jakość materiałów ze złota i srebra. Przykładowo, jego rozporządzeniem zegarki wyprodukowane w obrębie miasta musiały być umieszczone w kopertach (tj. obudowach) wykonanych z 18-karatowego złota! Jak nietrudno się domyślić, znacznie zwiększało to koszty wyrobu takiego czasomierza. Tego rodzaju składowych było zresztą więcej.

Kto zatem używał wyrobów Patka?

Dla niego, przynajmniej początkowo, główną grupą docelową była elita Królestwa Polskiego. Pomijając kwestię zasobności portfela, to właśnie ona potrafiła odczytać i docenić zawarty w jego ofercie przekaz patriotyczny. Jak pisał w „Pamiętnikach" Władysław Mickiewicz: „Powrócić do kraju z zegarkiem Patka w kieszeni było swego czasu czynem nieomal bohaterskim". Jego ojciec – wieszcz Adam – również posiadał kilka zegarków powstałych w pracowni bohatera naszej rozmowy. Jeden z nich, stanowiąc ozdobę sztandaru Legionu Mickiewicza, zyskał sławę w czasie Wiosny Ludów. Z biegiem czasu grono odbiorców spółki rosło. Kupowali je biznesmeni czy ówczesne gwiazdy sceny. Chyba najbardziej imponującą transakcję Patek zrealizował w 1851 r. W trakcie Wielkiej Wystawy Przemysłu Wszystkich Narodów w Londynie jego klientką została królowa Wielkiej Brytanii – Wiktoria Hanowerska!

Skąd wziął się niebywały prestiż owych chronometrów?

Jak już wspomniałem, niebagatelny wpływ odegrała w tej kwestii polityka tamtejszych organizacji cechowych. Można by wręcz zaryzykować stwierdzenie, że w omawianym okresie nie było w Genewie tanich i mniej kunsztownych zegarków. Antoni i jego wspólnicy dosyć szybko wpisali się w panujący tam klimat gospodarczy, ze wszystkimi tego konsekwencjami. To jednak nie wszystko. Ogromne znaczenie odegrał także zmysł Patka. Zdawał on sobie sprawę z istoty reklamy, budowania pewnej siatki pośredników oraz podróży handlowych. Jednym z najważniejszych zleceń w historii marki było wyprodukowanie zegarka dla aktywnego działacza społecznego, filantropa i polonofila – lorda Dudleya Couttsa Stuarta. Zegarek ten zamówił u Patka ogół Wielkiej Emigracji jako wyraz wdzięczności za opiekę i zaangażowanie na rzecz sprawy polskiej. Patek domyślił się, że może tym zyskać względy zarówno polskiej, jak i międzynarodowej klienteli. Co też się stało. Na uroczystości przekazania czasomierza lordowi zebrały się rzesze polskich emigrantów, zagranicznych reporterów, działaczy politycznych oraz przedstawicieli polskiej i angielskiej arystokracji.

Patka angażowały na emigracji sprawy polskie?

Oczywiście! Warto pamiętać, że był nie tylko wybitnym biznesmenem i zegarmistrzem, lecz także działaczem politycznym. Niestety, do dziś wokół tej kwestii narosło wiele mitów i niedopowiedzeń. Moim zadaniem, jako historyka, było je sprostować. Czasem były one wręcz porażające! Wystarczy wspomnieć, że dotychczas błędnie interpretowano jego poglądy polityczne. Okazało się, że nie był wcale demokratą, a praktykującym katolikiem i konserwatystą. Biorąc pod uwagę ówczesne realia, to diametralna zmiana! Bardzo ciekawie prezentuje się również działalność szwajcarskiej Polonii w XIX stuleciu. Osobą, która w największym stopniu animowała życie polskie nad Lemanem był Henryk Nakwaski. Powołał wiele instytucji, w tym Dozór Polski w Genewie czy Skarbunę Polską w Genewie. Ich działalność możemy badać na podstawie zachowanych do dziś źródeł – licznych sprawozdań i korespondencji. Wynika z nich, że Patek pełnił funkcję skarbnika genewskiej Polonii. Zbierał fundusze na cele charytatywne, organizował uroczystości patriotyczne, pomagał potrzebującym krajanom, próbował znaleźć im zatrudnienie czy pomóc w nawiązywaniu kontaktów. Jest to niesamowicie szeroki temat. Troska o sprawy narodowe zajmuje również wiele miejsca w jego korespondencji. Zastanawiał się, które z rozwiązań może przyczynić się do odzyskania niepodległości, a które jedynie pogorszy ich sytuację.

Żyją jacyś jego sukcesorzy?

Niestety, rodzina Patka nie posiada już żadnych praw do marki. Syn Antoniego – Leon – nie był zainteresowany zegarmistrzostwem. Spółkę przejęła więc rodzina Philippe'a. Z kolei w 1932 r. przedsiębiorstwo zostało wykupione przez braci Sternów. Dziś firma ta znajduje się w rękach ich wnuków.

Stanisław Patek, adwokat w sprawach politycznych w czasach zaborów, a w II RP dygnitarz, to krewny zegarmistrza?

Jest to jedno z ciekawszych genealogicznych odkryć, którego udało mi się dokonać. Stanisław Patek zajmował niezmiernie ważne miejsce w kilku obszarach polskiego życia politycznego. Bronił polskich patriotów oskarżonych w organizowanych przez władze carskie procesach. W latach 1919–1920 uczestniczył w pracach polskiej delegacji na konferencji pokojowej w Paryżu, a w II Rzeczypospolitej był cenionym dyplomatą. Przebywał na placówkach w Japonii, Moskwie i Waszyngtonie. Był wnukiem Wincentego Patka, przyrodniego brata Antoniego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Beniamin Czapla *– absolwent Uniwersytetu Śląskiego, historyk, bibliotekarz, publicysta, badacz dziejów emigracji polskiej w Szwajcarii. Autor książki „Antoni Patek. Zegarmistrz królów".*

eprasa.pl 01e2b22e99

Budowa domu bez pozwolenia może być szybka, bezpieczna i tania

Bartosz Dąbrowski

Domy bez pozwolenia na budowę według nowych zasad i Polskiego Ładu można budować już od 3 stycznia 2022 r. Najważniejsza zmiana względem obowiązujących w zeszłym roku przepisów to zwiększenie powierzchni zabudowy takiego domu z 35 mkw. do 70 mkw. Należy tutaj zwrócić uwagę, że ograniczenie to dotyczy powierzchni zabudowy domu (liczonej po obrysie parteru), a zgodnie z obowiązującymi przepisami budynek taki może mieć maksymalnie dwie kondygnacje. Według poprzednich przepisów obiekty takie projektowane mogły być wyłącznie z antresolą, a więc wprowadzona zmiana zdecydowanie zwiększa możliwości użytkowe takich budynków. W zależności od miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego czy uzyskanych warunków zabudowy (które dzięki nowym przepisom wydawane mają być w maksymalnie 21 dni) oraz sposobu zagospodarowania poddasza da nam to przestrzeń, która powinna z powodzeniem wystarczyć dla przeciętnej polskiej rodziny.

Ważnym przepisem, który wymaga jeszcze doprecyzowania, jest konieczność złożenia wraz z dokumentacją oświadczenia o budowie domu na własne potrzeby mieszkaniowe. Może być to punkt, który skutecznie odstraszy część zainteresowanych taką inwestycją, gdyż nie jest dzisiaj wiadomo, co się stanie w przypadku zmiany planów co do wielkości rodziny czy zmiany miejsca zamieszkania. Czy taki dom będzie można sprzedać lub wynająć – brak tutaj konkretnych informacji. Nie wiadomo również, jak do takiego rozwiązania podejdą banki udzielające kredytów hipotecznych czy firmy ubezpieczeniowe, zwłaszcza że – jak opisuję w poniższym punkcie – również nadzór techniczny nie jest wymagany.

Kolejne istotne z punktu widzenia inwestora informacje to brak konieczności prowadzenia dziennika budowy czy zatrudniania kierownika budowy oraz możliwość przystąpienia do realizacji budynku bezpośrednio po złożeniu do urzędu kompletu stosownych dokumentów. W zamian budować będzie można tylko na podstawie projektów wyłonionych w specjalnym konkursie. Projektów takich ma być ok. 40, a konkurs na najlepsze prace został rozstrzygnięty w styczniu. Według deklaracji rządu dostępne będą za darmo dla wszystkich już w II kwartale 2022 r., a same budynki mają być funkcjonalne, ekologiczne, energooszczędne i estetyczne. Tutaj pojawił się natomiast sprzeciw środowiska architektów oraz inżynierów. Obawy rodzi nie tylko ograniczona pula gotowych projektów, lecz także brak nadzoru inżynierskiego nad realizacją, jakby nie patrzeć, średniej wielkości obiektu budowlanego.

Rozwiązaniem tego problemu może być zlecenie wykonania takiego domu firmie specjalizującej się w budownictwie modułowym. Od jakiegoś czasu rozwój tej dziedziny budownictwa w Polsce jest niezwykle dynamiczny. Na rynku dostępnych jest wielu producentów i wykonawców, którzy swoje moduły wykonują z elementów drewnianych, stalowych czy betonowych, a w technologii modułowej powstają domy jednorodzinne, wielorodzinne, hotele, szkoły czy przedszkola. W zależności od wyboru technologii otrzymamy budynek lekki, nadający się do użytkowania w sezonach letnim i wiosennym, bądź trwałą konstrukcję, którą z powodzeniem użytkować będziemy o każdej porze roku, a która służyć nam będzie latami. Ponadto firmy takie dzięki swojej wiedzy i doświadczeniu poprowadzą nas przez cały proces inwestycyjny już od momentu załatwienia wszelkich formalności, poprzez projektowanie, produkcję gotowego modułu, transport i montaż na budowie. Dostępne dzisiaj na rynku rozwiązania pozwalają na zakup domów modułowych w stanie deweloperskim bądź wykończonym „pod klucz".

Budownictwo modułowe zyskuje na popularności również ze względu na rosnące koszty budowy i wykończenia. Budując dom w systemie „tradycyjnym", przy rosnących dzisiaj kosztach materiałów i robocizny, trudno jest prognozować, jak ostatecznie zamknie się nasz budżet. Podpisując umowę z renomowaną firmą, otrzymujemy w zamian gwarancję terminu, ceny i najlepszej możliwej jakości. Kolejną ważną zaletą budownictwa modułowego jest czas realizacji, który dzięki przeniesieniu większości prac do fabryki skraca się właściwie do kilku dni montażu na działce klienta.

Proponowane rozwiązanie pozwoli nam zatem wyeliminować większość pułapek i ryzyko, które czekają na potencjalnego inwestora w procesie budowlanym. Powierzenie budowy swojego domu firmie specjalizującej się w budownictwie modułowym pozwoli oszczędzić nie tylko czas i pieniądze, lecz także oszczędzi nam wiele potencjalnych problemów z niezbędnymi formalnościami. Powierzając budowę wymarzonego domu specjalistom, będziemy cieszyć się wysoką jakością na lata.

MATERIAŁ PARTNERA

Grupa Inwest
HM FACTORY Sp. z o.o.

eprasa.pl 01e2b22e99

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zamek interrexa w Łowiczu

Zamek arcybiskupi w Łowiczu to kolejny fragment utraconego piękna dawnej Rzeczypospolitej. Dziś tylko widok resztek ocalałych murów przypomina, że kiedyś był tutaj jeden z najpiękniejszych gotyckich, a potem renesansowych obiektów na Mazowszu. Mało kto wie, że w czasach dawnej Polski Łowicz pełnił czasowo funkcję drugiej stolicy państwa. Z racji tego, że na zamku rezydował interrex – dostojnik zastępujący władcę w okresie bezkrólewia. Godność ta przypadała zawsze aktualnemu prymasowi Polski.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. PEGAZ

Zamek w Łowiczu od początku istnienia związany był z duchowieństwem. Budowę rozpoczął arcybiskup gnieźnieński Jarosław Bogoria Skotnicki w 1355 r. i kontynuowano ją przez następne 150 lat. W 1511 r. twierdza położona nad Bzurą miała już od wschodu przedzamcze zwane „zamkiem niskim". W XVI w. zyskała zdobienia charakterystyczne dla budowli renesansowych – attyki na dachach i hełmy na wieżach. Na rycinie z atlasu miast europejskich Brauna i Hogenberga z 1617 r. widzimy już raczej pałac z trzema wieżami i dwoma okazałymi budynkami oraz pięknymi krużgankami. Wjazd był od południa, przez bramę ze zwodzonym mostem, a sama rezydencja oblana przez wody Bzury, która w tamtych czasach rozgałęziała się na liczne odnogi, dziś już nieistniejące. Przed połową XVII stulecia zamek otoczony został nowoczesnymi fortyfikacjami – wałem z pięcioma bastionami, dodatkowo zaopatrzony w trójkątny rawelin przed bramą. Ich fundatorem był arcybiskup gnieźnieński Wawrzyniec Gembicki, zmarły w 1624 r. Nie uchroniło to jednak przed zajęciem rezydencji w 1655 r. przez Szwedów, splądrowaniem i zniszczeniem w 1657 r., kiedy zamek został przez nich opuszczony.

Zniszczenia nie mogły być wielkie, bo w latach późniejszych służył jako rezydencja kolejnych prymasów Mikołaja Prażmowskiego i Michała Radziejowskiego. W 1730 r. przeprowadzono odbudowę i zapewne przebudowę zamku; niestety, ostateczny cios zadała mu działalność abp. Michała Poniatowskiego, który ulokował tutaj w 1787 r. manufakturę płótna. W 1794 r. na zamku wybuchł pożar, który położył kres jego istnieniu. Odtąd pozostawał w stanie ruiny, przez cały wiek XIX, do 1871 r., prowadzono jego rozbiórkę, a w czasie pierwszej wojny na jego terenie urządzono nawet cmentarz.

Zamek w Łowiczu w czasach bezkrólewia stawał się centrum życia politycznego Rzeczypospolitej. Związane są z nim liczne wydarzenia historyczne. Jednym z najważniejszych był zjazd senatorów wielkopolskich w lipcu 1572 r., w czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta zwołany przez prymasa Jakuba Uchańskiego. Podjęto tam uchwały, które nie uzyskały potwierdzenia przez zjazdy szlacheckie, utwierdzały bowiem uprzywilejowaną pozycję magnaterii. Według postanowień łowickich w czasie bezkrólewia to właśnie senatorowie mieli decydować o zabezpieczeniu pokoju wewnętrznego i obronie granic, a do nich też należało określenie czasu i miejsca elekcji. Ze wszystkich postanowień przetrwało tylko to jedno – sprawowanie przez prymasa władzy w czasie bezkrólewia, potwierdzone na konwokacji w styczniu następnego roku.

Znacznie bardziej dramatyczny zjazd miał miejsce sto lat później, pod koniec 1672 r., kiedy przyjechał tutaj hetman Jan Sobieski, nielubiany przez szlachtę i obóz królewski. Przybył, aby spotkać się z arcybiskupem gnieźnieńskim i prymasem Mikołajem Prażmowskim. Ówczesnym wrogiem publicznym numer jeden, osobiście znienawidzonym przez Jana Chryzostoma Paska. Na kilka miesięcy zamek stał się obozem stronnictwa malkontentów. Snuto plany, które w świetle późniejszej historii Rzeczypospolitej zdają się przerażające – detronizacji króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego i wywołania wojny domowej.

30 grudnia Sobieski napisał z Łowicza list do króla Francji Ludwika XIV z żądaniem przysłania jakiegoś francuskiego księcia, który mógłby objąć tron, a także 10 tys. wojska, aby zbrojnie rozprawić się z legalnie obranym królem. Sobieski dopuścił się zdrady, a jednocześnie wpadł we własne sidła. Będąc już królem, sam stał się bowiem celem takich działań opozycji Paców i Sapiehów. Na szczęście do wojny domowej nie doszło – do Łowicza przyjechali delegaci ze zwołanej w tym czasie Rady Warszawskiej, aby doprowadzić do zgody, która w marcu przekształciła wspomnianą radę w sejm pacyfikacyjny.

Łowicz stał się siedzibą malkontentów jeszcze w 1698 r. Tutaj bowiem prymas Michał Radziejowski zwołał zjazd popleczników księcia Contiego, po przegranej elekcji i wyborze na tron Augusta II. Z powodu postawy Francuza, który zrezygnował z walki o tron, szable malkontentów pozostały w pochwach. ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

ARDENY '44 – SENSACYJNY WYWIAD Z WETERANEM US ARMY

Soraya Kuklińska – **Kłusownicy z Waffen-SS w Warszawie**
Piotr Zychowicz – **Tajemnica śmierci Dirlewangera**
Arkadiusz Karbowiak – **Płonąca stodoła w Chatyniu**
Mikołaj Iwanow – **Bierut kontra Gomułka**
Sławomir Koper – **Kobiety Papcia Chmiela**
Javier Olivera Ravasi – **Rzeź katolików w Meksyku**
Jacek Bartosiak – **Czy Izrael przetrwa na Bliskim Wschodzie?**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Terror wielkich korporacji**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 01e2b22e99

KULINARNY PRZEMYT MAŁGORZATY OPCZOWSKIEJ

Uwielbiam mączne potrawy. To pewnie zasługa babci, która, gdy byłam dzieckiem, rozpieszczała mnie pierogami, naleśnikami i parowańcami.

Ale wiadomo, u babci ma być pysznie, a ja staram się, by było również zdrowo. Dlatego przemycam, gdzie się da, warzywa, które dla większości dzieci są niemal niejadalne.

Stąd mielone z ryby z warzywami, ciasto marchewkowe czy placki ziemniaczane z cukinią. I tym ostatnim przepisem chcę się z wami podzielić.

Cukinię mogłabym jeść pod każdą postacią, ale niestety jest zielona, co wyklucza ją z menu mojego synka.

Dlatego przemycam ją właśnie w plackach ziemniaczanych.

FOT. FORUMGWIAZDI/FORUM

Składniki:

- 500 g ziemniaków
- 300 g cukinii... lub więcej
- 1 jajko
- szczypta soli
- szczypta pieprzu
- szczypta ostrej papryki
- 2 łyżki mąki pszennej
- 200 ml jogurtu naturalnego
- 2 ząbki czosnku

Przygotowanie:

Ziemniaki i cukinię ścieramy na drobnych oczkach, odsączamy na sitku z nadmiaru wody i solimy. Odstawiamy na sitku, dodajemy sól. Potem mieszamy ziemniaki i cukinię w misce z jajkiem, mąką i ostrą papryką. Nakładamy placuszki łyżką na rozgrzaną patelnię – ja używam do smażenia masła klarowanego, ale można też użyć oleju. Po usmażeniu odsączam na ręczniku papierowym.

Dorosłym serwuję placuszki z jogurtem naturalnym, do którego wyciskam czosnek. Mojemu siedmiolatkowi placuszki podaję sauté lub... młody człowiek posypuje je – o zgrozo! – cukrem. No ale co kto lubi. Smacznego! ©℗

oprac. raw

Małgorzata Opczowska jest dziennikarką, prezenterką TVP.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

X czy Y?

Niektórzy sobie jeszcze z tego żartują. Niebinarny, he, he, he. Gender, he, he, he. Takie sobie liberalne głupoty. Żadne głupoty – to już jest. Proszę spróbować przejrzeć ofertę sklepów internetowych dużych sieci: H&M, Uniqlo. Ubrania prezentują tam dziewczyny krótko ostrzyżone, o chłopięcych twarzach, mężczyźni o łagodnym, androgenicznym wyglądzie, wątli, o spadzistych ramionach. I proszę zgadnąć, którzy modele są kobietami, a którzy mężczyznami.

FOT. ADOBE STOCK

Nie będzie łatwo.

Witamy w świecie no gender, gender fluid czy gender neutralny, jak mówią Anglicy. W kręgu mody tendencja ta przekroczyła już binarny podział mężczyzna – kobieta i zainstalowała się w płynności na dobre. Przypisanie komuś płci może być grzechem ciężkim, może urazić. Bo a nuż dana osoba uważa o sobie co innego. Jesteś panem, panią czy jeszcze czym innym?

Właśnie skończyły się we Florencji pokazy mody męskiej. Jeśli spodziewali się państwo zobaczyć tam garnitur, marynarkę i krawat, to rzeczywistość wam trochę umknęła. Krawat od dawna jest na męskich pokazach wielkim nieobecnym, marynarka, coś na jej kształt lub coś, co kiedyś nią było, jeszcze istnieje. Ale garnitur, taki, jak go rozumiemy, należy uznać za gatunek zaginiony. Marki przeznaczone dla mężczyzn nie wahają się wprowadzać wzorów i kolorów dotąd kojarzonych z kobietami. Kwiatki, koronki, szydełkowe wstawki, błyszczące jedwabie. Oto peleryna drukowana we wzór tygrysa (Dior), biały sweter z delikatnym haftem w kwiatki, dres z kapturem. Wszędzie za duże koszule, obowiązkowo wyrzucone na wierzch szerokich spodni, chętnie dresowych.

Muji, japońska sieć, która ma 900 sklepów w 28 krajach (w tym jeden w Warszawie), znana z minimalistycznego, funkcjonalnego wzornictwa, wprowadziła w zeszłym roku serię MUJI Labo, którą przedstawia się jako „gender-free". W warszawskim sklepie ubrań tej linii jeszcze nie ma, ubrania męskie i damskie są podobne, ale oznaczenie płci istnieje.

Przyznaję, że bez oporów przygarnęłabym parę rzeczy z męskich kolekcji. Przecież my, kobiety, robimy to od dawna. Szczerze mówiąc, nie dziwię się, że mężczyźni lub przynajmniej młodsza ich część chcą pozbyć się części garderoby, którą uważają za uciążliwy spadek XIX w. Wygodniej im w swetrze, w bluzie niż w marynarce z krawatem. Nie wiem, co się stanie z garniturem w wyniku tych zmian – ewolucja pójdzie dalej, jestem pewna. ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Idziemy w przeciwfazie

W powieści Erenburga Lejzorek Rojtszwaniec powiedział: „Jak zwalniają, to znaczy, że będą przyjmować". I tak jest u nas. Znoszą obostrzenia przy sporych wynikach zakażeń i zgonów. A wprowadzali, kiedy się nic statystycznie nie działo.

Idziemy w przeciwfazie. Przypomnijmy, jak to było. Przy 287 zgonach dziennie minister ogłasza zniesienie wszelkich obostrzeń. Rok temu przy 228 zgonach włączano właśnie skrajne zestawy obostrzeń. Słynne zamknięcie lasów odbywało się przy 100 zakażeniach dziennie, a dziś, przy ponad 42 tys. zakażeń, odwołuje się podstawowe reguły distancingu.

Skąd ten absurd, czyli jak to się opowiada? Mówi się, że to np. zamknięcie lasów uratowało nas przed hekatombą, bo gdyby nie takie środki, to dziś… Jest to podejście – zdawałoby się – nieweryfikowalne, ale jeśli się włączy do niego logikę, to słabość takiego założenia wychodzi na jaw. Wystarczy porównać się z krajami, które nie podjęły się takich reakcji. W Szwecji nie zaobserwowaliśmy szczególnej hekatomby, choć postępowanie tego kraju (postawiono tam na budowanie odporności zbiorowej) powinno doprowadzić do wzrostu krzywej zachorowań. A więc można zweryfikować taką tezę. I to negatywnie.

Inna opowieść jest taka, że to naturalne. Po prostu mieliśmy wirusa, ten się wypalił, przeszedł zaś na koniec w formy szybko zakażające, ale niegroźne i nie ma po co trzymać obostrzeń, ba! – nie ma potrzeby się szczepić. Bo to tak, jakbyśmy się szczepili na grypę z obligiem, że bez tego nie wejdziemy do knajpy czy do sklepu. Ale dlaczego jeszcze 10 dni temu, przy tym samym wirusie i jego wariancie Omikronie, śpiewano coraz głośniej tę samą sanitarystyczną piosenkę? Że idzie zagłada.

Zmieniła się narracja o pandemii. Media przechrzciły się na koronarealistyczne. A czemu się pozmieniało? Jest tu wiele teorii. Niektóre mówią, że skończyła się kasa, inni twierdzą, że badania pokazały, że cięciwa społecznej cierpliwości była już zbyt napięta. Jak długo można kontynuować tę samą propagandę, eskalując tylko środki? W końcu przy takim podwyższaniu napięcia doszliśmy do granic absurdu z następnym niewidzialnym bezobjawowym wirusem, zapaleniem spojówek jako jedynym symptomem Omikronu i zespołu ucha covidowego?

Gdzie są dziś nasi eksperci, którzy wróżyli milion ludzi w szpitalach i na… stadionach i to, że święta spędzimy na pogrzebach, a nie przy stole? Gdzie ten śmiertelny wirus, przy którego ekspansji wycofujemy się z obostrzeń? Nie, żebym się nie cieszył, ale nie dam sobie wcisnąć, że stoi za tym jakaś logika. Inna niż kompletny upadek dotychczasowej narracji, która doprowadziła część narodu do zbiorowego wymiaru histerii, a byłych jej heroldów do pogardy motywowanej bezkarnością. Co obecnie chcą przykryć niewiarygodnymi aktami nawrócenia. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Polacy, nic się nie stało!

Tutaj pojawiają się różne głosy wśród ekspertów i producentów czy organów kontrolno-regulacyjnych, jak CDC*, że w niektórych przypadkach dodatkowe szczepienia nie muszą podnosić odporności. Na razie nie ma tu szerszych badań". W wywiadzie dla dziennika „Fakt" Adam Niedzielski potwierdził, że skuteczność preparatów nie jest znana (eksperyment!), przyznając, że rząd kontraktuje kolejne dostawy od koncernów, bo mogą się pojawić „nowe badania". Z każdym dniem coraz wyraźniej widać, że nie tylko szczepienia, lecz także większość obostrzeń wprowadzanych było „w żadnym trybie". W przypadku podejmowania decyzji o takiej skali politycy powinni mierzyć zakres działań, badając inne możliwe rozwiązania – tzw. koszt alternatywny, oceniając skutki i ucząc się na błędach.

Mimo wielu sygnałów i publikacji naukowych wskazujących, że blokady i pozafarmaceutyczne środki walki z wirusem przynoszą fatalne rezultaty, tzw. walka z pandemią polegała na narzucaniu jeszcze większych ograniczeń. Gdyby w styczniu 2020 r. powiedziano, że dewastacja normalnego życia na taką skalę nastąpi nie wskutek wojny, lecz w wyniku zarządzeń ministra, nikt by nie uwierzył. Społeczeństwa dokonały samouwięzienia tylko dlatego, że nikomu wcześniej nieznani eksperci i rząd tak postanowili. Uruchomiono moralny szantaż: ludzkości grozi śmierć na niespotykaną skalę, mamy zaufać nauce i modelom matematycznym. Robimy to dla dobra innych. Blokady są doraźne, chwilowe, na jakiś czas. Jednocześnie utrwalana była teoria zarazy składająca się z czterech tez: wirus SARS-CoV-2 jest groźny, bo nie ma na to leków. O chorobie nie decydują objawy, a test. Jedyne środki to blokady i DDM, a wybawieniem będzie szczepionka.

Zatrzymanie życia powodowało niszczenie tkanki społecznej, ruinę gospodarki, bankructwo małych przedsiębiorstw, rozpad systemu edukacyjnego, wzrost patologii (alkoholizm, przemoc domowa, uzależnienia od pornografii), ale mówiono nam: wyrzeczenia są konieczne, bo chodzi o życie. Jeśli nie nasze, to starszych, grup ryzyka itp. Wypłaszczamy krzywą zakażeń, bo opieka zdrowotna może się załamać.

Opowiadano nam to, a jednocześnie absurdalnymi zarządzeniami (teleporady, zamykanie oddziałów, wysyłanie personelu na izolacje itp.) zdemolowano system opieki zdrowotnej.

Dziś, zamiast bilansu strat, pojawia się zmiana narracji. Wraz z odwrotem od obostrzeń za chwilę usłyszymy: Wspólnym wysiłkiem, dzięki wyrzeczeniom, ekspertom i naszej strategii, a przede wszystkim dzięki szczepieniom pokonaliśmy pandemię. Mamy sukces. Brawo my!

Nie możemy pozwolić na utrwalenie tego kłamstwa – po walce o wolność, nawet gdy ją odzyskamy, czeka nas walka o prawdę i rozliczenie winnych. ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Zbrodniarze z lodówki są słodcy

Teraz uwaga! Uważają Państwo? Dobrze. Dziś zaczniemy od ekstremalnego ćwiczenia na wyobraźnię. Takie zadam Państwu niewyobrażalne. Proszę sobie otóż imaginować... kłótnię między Adamem Niedzielskim a Waldemarem Pawlakiem. Ale taką kłótnię nie to, że merytoryczną, chociaż trochę może być, ale raczej taką z włoskim np. temperamentem. I co? Nooo. Łatwo nie jest. Jeśli tembr głosu, mimika i mowa ciała coś u rozmówcy zdradzają, to w tym przypadku – w tych przypadkach – niestety nic. Nic a nic. Zadałem to ćwiczenie na Twitterze i użytkownicy wszyscy polegli. Jeden się tłumaczył: „Syntezatory mowy nie mogą się pokłócić", co być może jest lekko obraźliwe, a może lekko trafne.

Ale czemu ja tu o tym Państwu? Otóż ktoś, kto nie zna języka polskiego, nie jest w stanie po tembrze, mimice, ruchach domyślić się, czy pan minister obwieszcza, że wszyscy umrzemy jutro i ratunku nie ma, czy też pandemia została pokonana całkiem, bo na kwarantannach nosiliśmy maseczki. Żeby było jasne, ja z tego nie dworuję, myślę, że u urzędnika państwowego, który nie może szerzyć paniki, to chyba dobrze. Nawet próbowałem pana ministra naśladować dla siebie przed lustrem, ale zrezygnowałem, bo bałem się, że mnie żona przyłapie. Co bym powiedział? Że Niedzielskiego naśladuję? Byłbym pod długotrwałą obserwacją... Niemniej: podziw dla pana ministra.

Poseł Krzysztof Śmiszek z Lewicy był łaskaw się wypowiedzieć, że czczenie Zygmunta Szendzielarza ps. Łupaszka to skandal, bo według niego „Łupaszka" to zbrodniarz odpowiedzialny za masakrę ludności cywilnej we wsi Dubinki. Dubinki były akcją odwetową za wymordowanie niewinnych Polaków przez kolaborujących z Niemcami litewskich policjantów, a odpowiedzialność za wydanie rozkazów samego „Łupaszki" nie jest pewna, ale przecież nie o to chodzi. Chodzi o to, że polska lewica wywodząca się wprost z komunizmu ma gigantyczny kłopot z polskimi bohaterami, więc programowo Żołnierzy Wyklętych postponuje. Ale nie o to chodzi, chodzi o to, że Twitter bywa okrutny. Otóż przypomniał ów Twitter, a dokładnie mecenas Bartosz Lewandowski, zdjęcie kuchni Krzysztofa Śmieszka i jego życiowego partnera Roberta Biedronia. W tej pięknej kuchni, na lodówce jest sobie słodki magnesik, a z magnesiku spoglądają na nas wizerunki dwóch arcyzbrodniarzy: Mao Zedonga i Che Guevary. Hm. Według różnych szacunków mają obaj na swoim sumieniu ok. 70 mln ludzi, gdyż byli bardzo lewicowi i chcieli, żeby na świecie zapanowała sprawiedliwość, ale nie dla tych, których masowo i programowo w imię ideologii mordowali. Czasem lepiej jednak nie wypowiadać się zbyt radykalnie... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

My, Petroniusze, na dworze cara

Małgośka, mówią mi Hiszpanie, na waszej nadwiślańskiej ziemi historia ma zawsze aktywne wulkany. No cóż – odpowiadam moim amigos – i dlatego nam w duszy gra polonez heroiczny, a u was gitarka w rytmie flamenco. Szczęśliwi Hiszpanie, bo nie wiedzą, co znaczy zamieszkiwać płaski teren, po którym tak lubią maszerować i deptać wojska sąsiadów. Oddzieleni murem Pirenejów od reszty Europy, skąpani w wodach morza i oceanu mają chyba najlepszą miejscówkę na mapie. Omijają ich wojny światowe, totalitaryzmy i nawet słońce świeci im cały rok. U nas zaś zawsze jakieś „czarne chmury" albo klimaty zimnowojenne. I niby zamieszkujemy tereny płaskie, nizinne, a jakoś tak… całe wieki mamy pod górkę.

Więc zdaje mi się, że gdyby powstał polski „Skrzypek na dachu", to zmęczony życiem mleczarz nie wadziłby się z Bogiem o majątek, ale raczej o to, by wreszcie choć jedno pokolenie żyło bez trwogi i pytania: „Wejdą czy nie wejdą?". I tak w rytmie „Digu digu didel, dejdel dum" mleczarz pytałby Najwyższego, czemu uparł się, że to właśnie my, którzy tak straceńczo kochamy wolność, musimy żyć w cieniu Rosji. I czy zepsulibyśmy boski plan, gdybyśmy mogli wreszcie patrzeć na Wschód bez obaw? A jakby nas tak Wszechmogący wreszcie rozdzielił z sąsiadem jakimś Morzem Czerwonym albo oceanem? Może mógłby sprawić nam z wiosną jakąś nagłą wyrwę tektoniczną na pasie granicznym – byleby Baćka z Vladimirem odpłynęli w siną dal na swoim ruskim mirze.

No ale skoro „spodobało się Panu Bogu", to na nic nasze dezyderaty w stosunku do Opatrzności. Chociaż miejsce, w którym nas urodzono, nie zawsze mogło nas ogrzać lub wyżywić, a przede wszystkim nie zawsze mogło nas ochronić od wrogów, to dało nam coś wyjątkowego. Rację ma śp. Rymkiewicz, że „polskość to straszna siła duchowa", w końcu tyle razy powstawaliśmy z popiołów. Mamy inne tiki, inną wrażliwość, a przede wszystkim mamy honor.

Więc gdy tylu przywódców łasi się do Putina, szukając oznak dobrej woli cara, my niczym sienkiewiczowski Petroniusz wymawiamy szyderczo imię cezara Wladimira Wladimirowicza po stokroć na dzień, narażając się wciąż na gniewne pomruki Kremla. To o nas mówią „najbardziej rusofobiczny kraj w Europie". To my jesteśmy niewygodnym arbitrem elegantiae na europejskim dworze. To my przypominamy i apelujemy do sumień, gdy inni chętnie układaliby się z carem w alkowie. Tak, polskość to straszna siła, która nie tylko w sprawach smaku, lecz także honoru „każe wycedzić szyderstwo, choćby za to miał spaść bezcenny kapitel ciała – głowa". ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nie ma rady?

Na to rady nie ma. Od takiej stanowczej konstatacji zaczyna się książka wiceprezesa PKN Orlen do spraw finansowych. Orzeczenie nie dotyczy jednak pieniędzy, inflacji ani cen gazu, galopujących w takt pejcza pułkownika Putina czy komisarza Timmermansa. Chodzi o coś jeszcze cenniejszego: o życie, które zawsze – tu, na Ziemi – kończy się śmiercią. Na to rady nie ma. To życie można wypełnić sensem, jeśli przyjmie się jego ograniczenia. Można je zniszczyć, jeśli chce się je zastąpić utopią wiecznej szczęśliwości. Pandemia i emocje, które wzbudziła, to okazja, by wobec tej rzeczywistości stanąć w całej powadze. Tak właśnie potraktował ją Janusz Szewczak w książce wydanej właśnie pod tytułem „Pandemia grzechu, czyli śmierć nauczycielką życia". Zbiera w niej doświadczenie zapisane w historii naszej cywilizacji i kultury, zbiera skrzętnie i systematycznie. Od Starego Testamentu, Sokratejskiej refleksji nad sensem dobrego życia w obliczu nadchodzącej śmierci aż do granicy, za którą zaczyna się cywilizacja śmierci. Tę granicę, którą teraz przekraczamy coraz śmielej. Oto przykład: w 2020 r. w Kanadzie dokonano eutanazji z powodu „zmęczenia lockdownowego" – „cierpienia psychicznego nie do zniesienia". Rzecz dotyczyła starej kobiety. Ale co z małymi dziećmi? Za nie trzeba podjąć decyzję. Guru światowej bioetyki, Australijczyk Peter Singer, twierdzi, że „rodzice powinni mieć 28 dni na podjęcie decyzji, czy chcą zatrzymać czy uśmiercić swoje nowo narodzone dziecko". Jak w dobrym supermarkecie: masz miesiąc na zwrócenie towaru, który ci się nie spodoba. Tu chodzi o zwrócenie małego, bezbronnego człowieka – niebytowi. Pytanie: Ale dlaczego nie przedłużyć „możliwości zwrotu", np. do pół roku albo do trzech lat? Tak byłoby przecież wygodniej, mniej skrępowana byłaby wolność konsumenta. Chodzi o dorosłego konsumenta życia, który powinien cieszyć się nieograniczonym prawem tej konsumpcji – cóż, dopóki swoją starością i potrzebą opieki nad nią nie narazi wygody kohorty nowych konsumentów, tych w pełni sił… Owa logika ma jednak swoje paradoksy: dzieci w łonie matki albo nawet noworodki wolno zabijać – ale wprowadza się zakazy zabijania kurcząt, organizuje się pełne przemocy i pogardy dla ludzkiego życia protesty, by upomnieć się o „dobrostan" żabek lub żuczków.

Czas biegnie nieubłaganie. Nieubłaganie dla cywilizacji, która chce wyemancypować się od śmierci, popełniając samobójstwo. O tym w istocie jest ta w pewnym sensie przerażająca książka. Pozwala zobaczyć z całą ostrością problem granic człowieczeństwa. Jedni głoszą czas posthumanizmu, koniec „antropocenu", czyli epoki wpływu człowieka na środowisko, samozawinioną przez nasz gatunek katastrofę klimatyczną i szukają radykalnych środków, by ocalić naturę. Profesor Magnus Söderlund z Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sztokholmie proponuje na przykład, by przejść na kanibalizm i w ten sposób ograniczyć emisję CO_2; inne aktywistki wzywają do tego, by nie mieć dzieci – to najskuteczniej zmniejszy szkodliwe działanie człowieka na naturę: po prostu nie będzie ludzi. Drugi nurt „emancypacji", któremu poświęca fascynujący rozdział Szewczak, nosi dumną nazwę transhumanizmu. Julian Huxley (brat Aldousa – autora „Nowego wspaniałego świata") wymyślił to hasło, które skupia wyznawców wiary w przezwyciężenie śmierci – za pomocą krioniki (zamrażania), manipulacji genetycznych albo przeniesienia ludzkiej tożsamości do komputerowej chmury… Autor „Pandemii grzechu" trzeźwo kontruje tę wiarę: „Swoją drogą dziwne, że tak mizerne sukcesy odnoszą dziś nauka, biomedycyna i sztuczna inteligencja w zmaganiach z drobnym podobno koronawirusem. A chce się zamienić homo sapiens na Homo Melius (Poprawionego), ostatecznie zaś nawet Homo Deus. […] Ktoś może chcieć stworzyć kotopsa, człowieka wiewiórkę czy kobietę węża, a może też nowe pokolenia ludzi mchów i porostów, ludzi bez mózgów, ale z megabajtami w głowach i karabinami w rękach, których nie trzeba będzie karmić ani leczyć, ani tym bardziej wypłacać im emerytur". Może o to chodzi przede wszystkim? Może aspekt finansowy, który tak trafnie wychwytuje Janusz Szewczak, jest nie mniej ważny od ideologicznych uzasadnień odgórnie realizowanego samobójstwa „starej ludzkości" i dążenia do tego, by zastąpić ją „post" czy też „transludzkością". Tańszą, bardziej efektywną w obsłudze masą niewolników uwiedzionych obietnicą rzekomego raju na ziemi?

Transhumaniści, wspierani przez takich miliarderów jak Elon Musk czy Bill Gates, przez konglomerat Google, Apple, Facebooka, Amazona (zbieraczy wszelkich danych o nas), marzą o kontroli nad ludzkim stadem i wyniesieniu ponad nie. Nie mówią jednak, że obok wybranych, „wyemancypowanych" w ten sposób nadludzi pozostaną zwykli ludzie, na których „uwiecznienie" nie starczy pieniędzy. Będą więc nadludzie i podludzie, „nowi ludzie" i „bywszyje ljudi" (jak określano w Kraju Rad klasy skazane na rozstrzelanie). To stary, odwieczny program ludzkiej pychy. ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

BANK

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W jakim celu trzymasz pieniądze w banku? Dawniej to miało sens, bo dawali procent. I ja to pamiętam z mojego dorosłego życia – zarówno w PRL, jak i w USA.

Dziś dają zero i jeszcze każą sobie płacić za prowadzenie rachunku. Dajesz komuś forsę, on nią obraca i zarabia, a dodatkowo każe ci płacić za to, że zarabia. Zostaliśmy tak otumanieni, że uznajemy tę sytuację za normalną. Uczciwa zasada była (całkiem niedawno) taka: jeżeli ktoś dostaje moją gotówkę w używanie, to mnie należy się dola, procent, honorarium. Jeśli bank nie odpala mi nic, to wraca pytanie: Po co trzymasz pieniądze w banku? Podaj mi swój cel, a wcześniej policz koszty, które ponosisz.

***

Jeżeli celem jest posiadanie karty płatniczej, czyli „wygoda i bezpieczeństwo", to z grubsza rozumiem – nie nosisz gotówki, wyciągasz kartę. Ale reszta twoich pieniędzy, nie te obrotowe do szybkiego wydania z karty, lecz cała reszta – czemu to leży w banku? Jest jakiś RACJONALNY powód?

Bank jest bezpieczniejszy niż szuflada? Nie sądzę. Grecy trzymali pieniądze w bankach, a gdy przyszedł kryzys, najpierw zabrakło gotówki w bankomatach, potem władza wprowadziła limity wypłat i już nie mogłeś używać całej swojej forsy. Jest twoja – mówił rząd – ale nie wolno ci jej ruszać. To było niedawno! I kto wtedy wygrał? Ci, którzy trzymali gotówkę w szufladzie.

Prowadzę firmy, także w Polsce, więc oczywiście rozumiem „wymogi", czyli bezczelne wymuszenia władzy polegające na tym, że podatki tylko przelewem, rozliczenia pomiędzy firmami w zasadzie też – rozumiem i mam rachunki bankowe, ale… Staram się za wszelką cenę nie trzymać pieniędzy w banku.

Mój dziadek był przed wojną dużym przedsiębiorcą – w II RP z pucybuta został milionerem. Po wojnie socjalizm zmienił milionera w pucybuta. Dzięki tym doświadczeniom dziadek dużo wiedział o prowadzeniu biznesów i uczył nas tak: najgłupszym pomysłem jest trzymanie pieniędzy w pieniądzach (papierowych). Ale jeszcze głupszym jest trzymanie papierowych pieniędzy w banku. Pieniądze powinno się trzymać w towarze, w ziemi, w złocie, nigdy w papierze. A gdybyś musiał lub potrzebował mieć trochę papierów, to znajdź dobry schowek, ale nie bank.

***

Sytuacja dziś bardzo niestabilna: kryzys, inflacja, pandemia i wojna. Jaki w tych okolicznościach jest twój osobisty powód, dla którego nadal trzymasz pieniądze w banku? Czy to mądre, bezpieczne, opłacalne oraz czy na pewno wygodne?

Płacenie kartą weszło nam w nawyk, ale… właśnie wychodzi z mody z powodu inflacji i kolosalnych podatków. Nowy Ład jest jak gnój rozrzucony na polu, gdzie rośnie czarny rynek. A czarny rynek jest jak perz – bardzo trudno go wytrzebić. Więc przygotuj się do gospodarki drugiego obiegu.

Ci faceci, którzy wprowadzają Nowy Ład, nie zdają sobie sprawy z tego, co właśnie tworzą. Przy zbyt wysokich podatkach wszystkim zaczyna się bardziej opłacać „bez faktury". Nie wszędzie się da, ale… samych Ukraińców pracuje w Polsce ponad milion, a wszystkich cudzoziemców ponad dwa miliony. To jest 12 proc. zatrudnionych. Jest na kim oprzeć czarny rynek, bo wiadomo, że łatwo dogadać się na czarno z kimś, kto wysyła forsę za granicę. Ponadto na każdy tysiąc osób, które w Polsce pracują, przypada ponad 800 osób, które nie pracują – tu też jest z kim budować gospodarkę drugiego obiegu. Ci, którzy nie pracują, nie potrzebują faktury ani paragonu, szczególnie gdy „bez" jest znacząco taniej niż „z". W sytuacji, gdy władza zabiera ci w różnych podatkach prawie połowę wszystkich legalnie zarobionych pieniędzy, pokusa zarabiania „na lewo" rośnie kolosalnie.

***

Ci goście od polskiej ekonomii to teoretycy i w dodatku od bardzo złych teorii. Balcerowicz z tym jego Planem – czy ktoś go dobrze wspomina? Owszem – uwłaszczona nomenklatura. Potem były typy w rodzaju Kołodko, Rostowski, a dziś jest Glapiński. Twierdzi, że potrzebne są kolejne podwyżki stóp procentowych. Czyli zdrożeją kredyty, ale na twoim indywidualnym rachunku bankowym nadal pozostanie oprocentowanie zero. A skoro zdrożeją kredyty, to będzie wzrost cen, czyli inflacja, czyli więcej biedy, nie bogactwa.

Gdyby to był gość rozumiejący zasady gospodarki WOLNORYNKOWEJ, a nie centralnie sterowanej, to odmówiłby sterowania stopami procentowymi. Tak, wiem, „wszędzie na świecie" wprowadzono ten przekręt, że ktoś odgórnie ustala stopy procentowe. I co z tego? Czy musimy tkwić w tym skostniałym myśleniu? Nie musimy! Stopy procentowe powinny się ruszać w sposób naturalny, komercyjny, kapitalistyczny, wolnorynkowy – czyli każdy bank samodzielnie i na własne ryzyko ustala, ile odsetek chce płacić ci za to, że trzymasz u nich pieniądze, oraz ile procent chce dostawać za udzielenie kredytu.

Dziś w Polsce panuje gospodarka planowa i za wszystkie banki odgórnie decyduje urząd państwowy. To komuna, nie kapitalizm! Urzędnik na posadzie (omylny jak każdy) ryzykuje kapitałem prywatnych banków, które powinny to robić same, bez podpowiedzi z góry. Ja wolę tak: ktoś otwiera bank i na własne ryzyko proponuje klientom jakieś odsetki. I żadna władza nie może się wtrącać do tego interesu. Tak byłoby dobrze i uczciwie.

A co z Amber Gold? – spyta ktoś. Odpowiadam: Amber Gold zorganizowano pod nosem obecnie istniejących instytucji: Rady Polityki Pieniężnej, Komisji Nadzoru Bankowego. Wniosek: te instytucje są do niczego i są niepotrzebne.

***

Pańskie pomysły są nierealne, panie WC!

Hm. Były realne, gdy Ameryka przeżywała swój najszybszy rozwój.

Tak, ale to był Dziki Zachód, świat się zmienia i dzisiaj są inne czasy.

Hm. Skoro „świat się zmienia", to równie dobrze moglibyśmy zmienić „dzisiejsze czasy" na takie, w których przywracamy wolny rynek i nie ma odgórnego ustalania stóp procentowych. Dzisiaj istnieje wyłącznie ta stara nazwa „wolny rynek", ale jest w połowie pusta. „Rynek", owszem, jest, ale „wolny" wcale. A czego ja chcę? Wolności i chleba. Czyli żeby się rząd od nas odczepił, a chleb załatwimy sobie sami. ©℗

eprasa.pl 01e2b22e99

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

M. DAMAZYN, S. GALIJ-SKARBIŃSKA, W. POLAK: „NIKCZEMNOŚĆ I HONOR. STAN WOJENNY W STU ODSŁONACH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1113 ZŁ~~

365,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 748 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 01e2b22e99

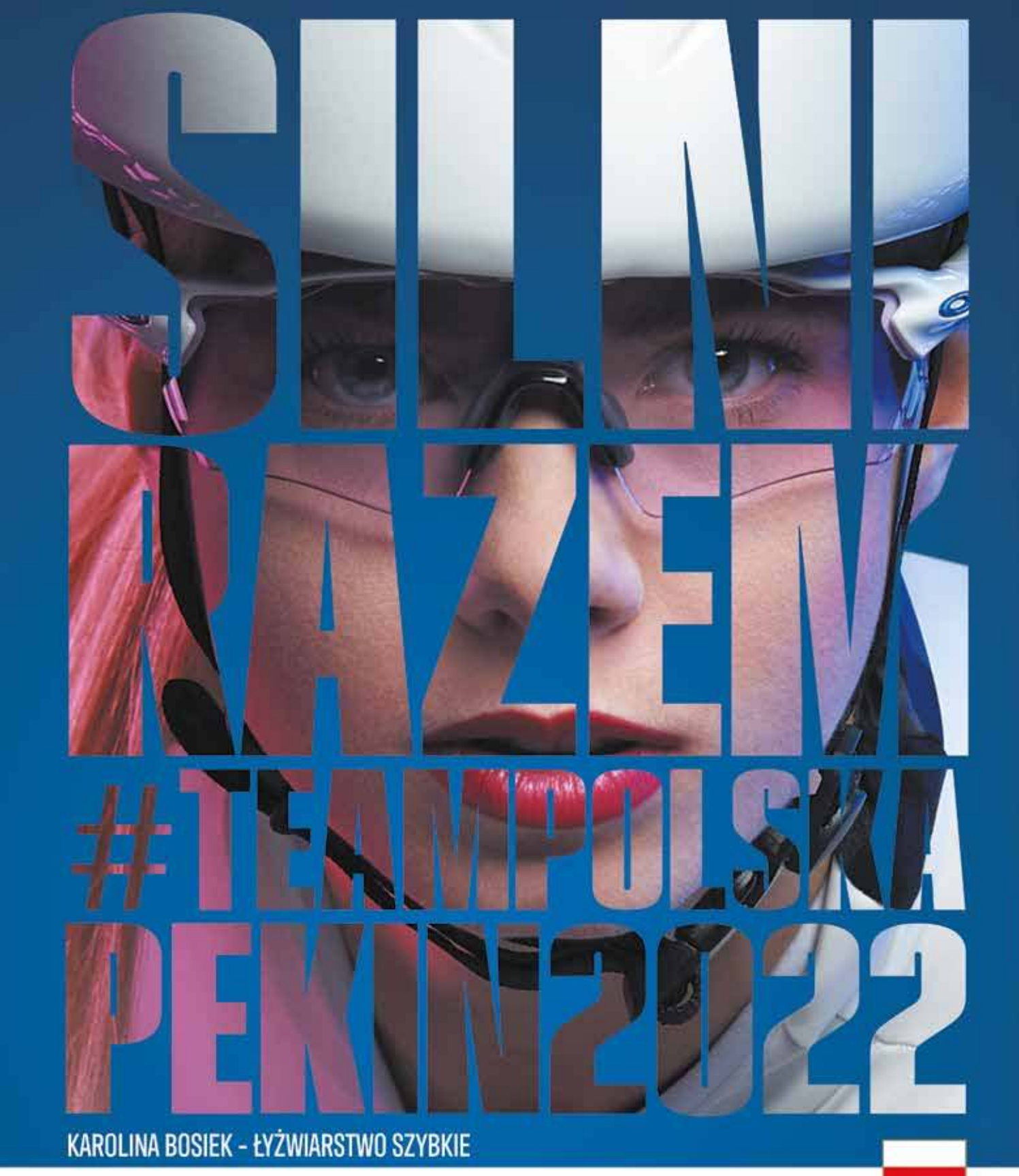
SILNI
RAZEM
#TEAMPOLSKA
PEKIN2022
KAROLINA BOSIEK - ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE

SPONSORZY I PARTNERZY PKOI I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

POLSKA

ORLEN LOTTO 4F GRUPA LUXMED LOT TVP EUROSPORT WP RZECZPOSPOLITA POLSKIE RADIO Porty Lotnicze Deloitte. Kindree

eprasa.pl 01e2b22e99